

CZARNA SERIA

KRYMINAŁ

PM

NOWAK

na pokuszenie



PM NOWAK

na pokuszenie

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2014

Redakcja
Krystyna Podhajska

Projekt okładki
DeerHead Design
Daniel Rusiłowicz

Zdjęcie na okładce
Andrew Zarivny

Skład
Dariusz Piskulak

Korekta
Maciej Korbasiński
Elżbieta Steglińska

Copyright © PM Nowak 2014
Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna
Owca, 2014

Wydanie I

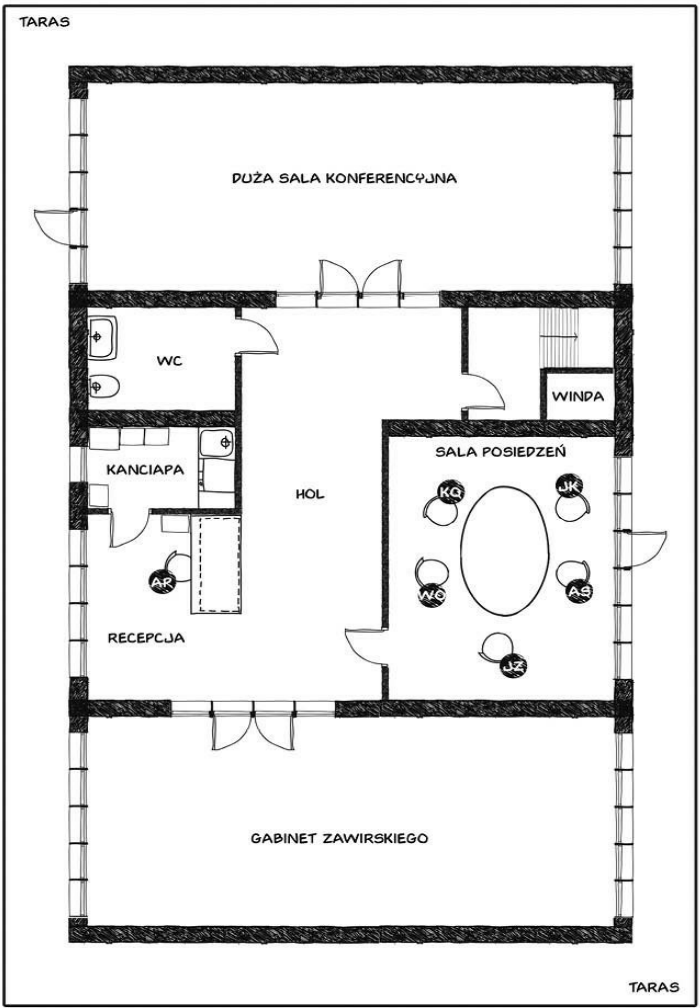
ISBN 978-83-7554-831-0

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa
e-mail: wydawnictwo@czarnaowca.pl
Dział handlowy: tel. (22) 616 2519

PLAN OSTATNIEGO PIĘTRA SIEDZIBY OKZ DEVELOPMENT



Rozdział1

Czwartek przed południem

Prezes Jerzy Zawirski odkręcił wodę, ale zanim wsunął ręce pod zimny strumień, wyprostował się, a właściwie stanął na baczność. Odchylił głowę i spróbował maksymalnie napiąć wszystkie mięśnie pleców. Znieruchomiał w momencie, w którym poczuł ból w lewym przedramieniu. Przyglądając się w lustrze lekkiemu grymasowi na swojej twarzy, niespiesznie policzył na głos do pięciu, a potem szybko pochylił się tak głęboko, jak mu na to pozwolił wystający brzuch.

Woda była rozkosznie lodowata. Poczekałby, aż uczucie zimna w dłoniach i twarzy zbliży się do granicy bólu, ale nie miał na to czasu. Prostując się, pomyślał, że to nic, bo przecież osiągnął, co chciał – odprężenie, jakiego nie zapewniłaby mu żadna sauna – na dodatek zupełnie za darmo. Kiedy się wytarł, zauważył, że zachlapał sobie kołnierzyk koszuli i węzeł krawata, więc sięgnął po jeszcze jeden ręcznik papierowy. Pojemnik był pusty.

Zanim poczuł uderzenie krwi do głowy, zobaczył w lustrze, jak szybko jego twarz staje się czerwona. Spokojnie, pomyślał, to nie powinno psuć ci nastroju w dniu takim jak ten. Ta dziewczyna, jak jej tam, Agata czy Agnieszka, może nie wiedzieć, że do jej obowiązków należy dbanie, by pojemnik na ręczniki nigdy nie był pusty. Trzeba jej to teraz łagodnie wytłumaczyć, a ona na pewno zapamięta. Zresztą niech nie zapamiętuje, przecież za niecałe trzy tygodnie zniknie, bo pani Krysia wróci z tego swojego sanatorium i wszystko znowu będzie tak jak trzeba.

Po wyjściu z łazienki Zawirski nie był już nastawiony wrogo do dziewczyny. Doszedł do kontuaru, za którym stała – zawsze kiedy słyszała, że się zbliża, zrywała się z fotela – i poczuł, że jego nastawienie zmienia się na wręcz przyjazne. Pani Krysia była niewątpliwie wcieloną doskonałością, jeśli chodzi o prowadzenie sekretariatu, ale na tej tutaj można było przynajmniej z przyjemno-

ścią zawiesić wzrok. Naprawdę niczego sobie kawałek ciała, zakończony całkiem ładną buzią, pomyślał prezes któryś już raz. Ale tak jak zawsze za tą myślą pojawiła się kolejna: że coś jest nie do końca tak, jak być powinno. Nie w tym rzecz, że dziewczyna źle się ubiera. Ciuszki, które miała na sobie, nie były może rewelacyjne, ale podkreślały miejsca, które należało podkreślić. I nie w tym, że ona się go boi, co widać w lekkim pochyleniu głowy oraz w sposobie, w jaki splata palce. To by mu wcale nie przeszkadzało. Nagle zrozumiał: ona się ani trochę nie wysila, nie zamierza nawet odrobinę wypiąć cycków ani choć raz poprawić włosów. Bo myśli, że on jest dla niej za stary.

Gdyby tylko mi się chciało, smarkulo, pokazałbym ci, jak bardzo się mylisz, pomyślał i znowu poczuł uderzenie krwi do głowy. Z najwyższym trudem zapanował nad sobą i najspokojniej, jak potrafił, powiedział dziewczynie, żeby uzupełniła zapas ręczników w łazience. Nie możesz się teraz denerwować, tłumaczył sobie w myślach i obserwował, jak ona się odwraca, wyjmując z szafki paczkę ręczników i niesie je do łazienki, nawet raz nie zakręciwszy swoim bardzo okrągłym tyłkiem. Pamiętaj, że posiedzenie zaczyna się za niecałe pięć minut i że to będzie chwila triumfu, której nie możesz sobie zepsuć, upomniał sam siebie. Wystarczająco długo czekałeś na to, żeby zobaczyć, jak ten główniarz wznosi tak gorzki dla siebie toast.

No właśnie, toast. Zawirski oderwał wzrok od dziewczyny, szybkim krokiem przeszedł na drugą stronę korytarza i otworzył drzwi do sali posiedzeń. Właściwie niepotrzebnie sprawdzał. Mógł się domyślić, że zobaczy pusty stół.

– Proszę zanieść do sali szampana i kieliszki – powiedział do wracającej z łazienki sekretarki.

– Szampana? – zrobiła wielkie oczy, ale to na pewno nie było zalotne spojrzenie.

– W lodówce powinny być dwa.

– Tak, oczywiście. Bardzo przepraszam, ale nic pan nie powiedział, panie prezesie.

Bo pani Krysi nigdy nie muszę o takich rzeczach mówić, pomyślał. Wystarczy, że przeczyta porządek obrad w mailu, który roz-

syła do członków zarządu, i już wie, czy na posiedzeniu ma być szampan.

– Kawę mam podać teraz czy jak wszyscy przyjdą? – zapytała dziewczyna.

Pokręcił głową.

– Kawy nie trzeba. To nie potrwa długo.

Kiedy za prezesem zamknęły się drzwi gabinetu, Agnieszka Pa-
jąk pokazała mu faka. Stary, nalany buc. Niby taki uśmiechnięty,
szczerzy zęby, ale widać wyraźnie, że coś mu leży na wątrobie,
tak jakby cały czas chciał jej zrobić dziką awanturę. Chyba tylko
raz czy dwa wydawało się jej, że tak naprawdę to chciałby się do
niej dobrać.

Czyli raczej długo tu miejsca nie zagrzeję, pomyślała. A szkoda,
bo poza tym to była niczego sobie fucha, przynajmniej tak się wy-
daje po pierwszych trzech dniach. Potrafiła sobie wyobrazić tę
sytuację na dłużej: przychodzenie na dziewiątą, a więc do wy-
trzymania, parzenie sobie kawy w eleganckim srebrnym ekspre-
sie, siedzenie w tym zajebistym skórzanym fotelu, łożenie po ne-
cie bez ryzyka, że ktoś będzie zaglądał przez ramię. Oczywiście
od czasu do czasu musiałyby coś tam zrobić. Ale na pewno nie
chodziłoby o nie wiadomo jaki wysiłek: przynieść kawę, coś skse-
rować, wysłać faks, kogoś zaanonsować, przełączyć telefon. To
wszystko. Albo zanieść kieliszki i butelkę do sali posiedzeń, tak
jak teraz.

Kurczę, więc może nad tym całym prezesem warto by jeszcze
jakoś popracować, pomyślała, ale zaraz potem przypomniała so-
bie, że poza prezesem jest jeszcze ta ruda małpa, która tu pracuje
na stałe. Jeśli się nie utopi w borowinie albo nie zadławi mielo-
nym na stołównie, w końcu wróci z tego swojego sanatorium. Nie
wyglądała na taką, co łatwo się podda. Za to na taką, co potrafi
wpłynąć na swojego szefa – jak najbardziej. Chociaż sypiać z nią
to on chyba jednak nie sypia, pomyślała Agnieszka i wzdrygnęła
się tak, że kieliszki stojące na niesionej przez nią tacy aż zadzwo-
niły. Na pewno nie, ale i bez tego baba wydaje się nie do ruszenia.

Czyli co? Jeszcze dwa i pół tygodnia tutaj, a potem powrót na dół, do recepcji głównej? To się Agnieszce nie uśmiechało. Tam bez przerwy ktoś przyłaził i czegoś chciał. A jak nie przyłaził, to dzwonił i chciał, żeby go z kimś połączyć. A jak nikt nie przyłaził ani nie dzwonił, wymyślała coś ta tłustawa idiotka. Pracowała trzy miesiące dłużej niż Agnieszka i dlatego jej się wydawało, że może wydawać polecenia. No i jeszcze trzeba tam przychodzić na ósmą. Kasa tylko trochę większa niż na ochronie w jakimś biurowcu w Wawie, a trzeba dojeżdżać do tej dziury. Ogólnie rzecz biorąc, masakra.

No cóż, jeśli się okaże, że to wszystko, co się da z tej sytuacji wycisnąć, prędzej czy później trzeba się będzie z firmą OKZ Development pożegnać i rozejrzeć za czymś innym. Jednak póki tu siedzi, głupotą by było nie spróbować wycisnąć więcej. Tylko w jaki sposób? Powiedziała wyraźnie Chudemu, co o tym wszystkim myśli. Te trzy tygodnie na ostatnim piętrze – owszem, fajna rzecz. Ale to tylko trzy tygodnie, więc nie załatwiają sprawy. Oczywiście, znowu obiecał, że się zastanowi, wybada, sprawdzi możliwości. I od tamtego czasu nic. Ma nadzieję, że Agnieszka zapomni? Albo mu uwierzy, że ta nędzna robota w głównej recepcji to wszystko, co może załatwić członek zarządu? Chyba kutas zarządu!

Jeszcze tylko szampan. Francuski, czyli prawdziwy, pomyślała, stawiając go na stole. A ona nie będzie go mogła nawet posmakować. No, chyba że coś zostawią na dnie butelki. Zresztą zanim posiedzenie się skończy, wszystkie bąbelki wylecą. Gdzie tu sprawiedliwość, pomyślała i w tym samym momencie zdecydowała, że nie chce dłużej czekać. Nadszedł czas, żeby przykręcić Chudemu śrubę. Dziś będzie musiał dać jej ostateczną odpowiedź. Koniec, kropka. I to odpowiedź prawidłową. Jeżeli nie będzie prawidłowa, Chudy poniesie konsekwencje...

Szczęknął elektroniczny zamek w drzwiach prowadzących na klatkę schodową. Poczowała, że puls jej odrobinę przyspiesza. Jeśli to on, trzeba będzie wykorzystać okazję. Agnieszka była dobra w rozpoznawaniu ludzi po odgłosie ich kroków, ale tutaj ta umiejętność była nieprzydatna, bo wykładzina tłumiła wszystko. Cze-

kała, kto się wyłoni zza zakrętu korytarza, i czuła rosnące napięcie. Ustąpiło ono gwałtownie, kiedy zobaczyła, że to jednak nie Chudy, tylko ta cała Szulc. Okropny babsztyl.

Drzwi sali posiedzeń zamknęły się cicho. Anna Szulc odetchnęła z ulgą. Dziewczyna zastępująca sekretarkę Zawirskiego była dziwna. Skąd oni takie biorą? Niby grzeczna, ale gołym okiem widać, że jest arogancka i coś knuje. Strach by było nawet torebkę przy niej na chwilę zostawić. Na szczęście Anna Szulc dobrze opiekowała się swoją torebką – tym razem zostawiła ją w pełni bezpieczną w gabinecie piętro niżej, chronioną przez zamki w drzwiach i pancernej szafie.

Jest szampan, zarejestrowała, obchodząc stół. Dokładnie tego się spodziewała. Tak jakby rzeczywiście było co celebrować. Choć może Zawirski naprawdę uważa, że ma powody. Bądź co bądź wyszło na jego. Zresztą dla niego i tak najważniejsza jest okazja do wypicia. Na razie szuka pretekstu, ale jak tak dalej pójdzie, to na posiedzeniu, na którym przyjdzie omawiać wniosek o ogłoszenie upadłości, też każe podać szampana.

Położyła kołonotatnik przy krześle, które zawsze zajmowała, tuż obok szklanych drzwi na taras. Chwilę później była na zewnątrz. Kilka automatycznych ruchów i dym z czerwonego marlboro rozkoszną falą rozlał się po całym jej ciele. Dobrze, że się zmusiła i odczekała bite pół godziny od poprzedniego, dzięki temu o wiele silniej poczuła odprężenie, które przynosiła nikotyna. Palenie na tarasie było z pewnością warte celebrowania. W swoim gabinecie, nawet jeśli sobie obiecywała, że na kolejnego papierosa zrobi przerwę, i tak zawsze paliła, stukając w klawiaturę, przerzucając papiery albo nawet ochrzaniając kogoś przez telefon.

Oczywiście palenie pod gołym niebem miało sens tylko przy odpowiedniej pogodzie. A tym razem pogoda była idealna, jak to się zdarza w środku lipca. Nie za zimno, nie za gorąco. Co najważniejsze, niebo było zachmurzone, ale nie w sposób zapowiadający burzę, tylko w sam raz tyle, żeby zasłonić słońce. Nie ma chyba nic gorszego niż palenie w ostrym słońcu. Nawet deszcz jest lepszy, bo wystarczy rozłożyć parasol i nie będzie przeszkadzał.

Ktoś właśnie wchodził do sali posiedzeń. Jak zwykle nie miała pojęcia, skąd to wie, ale wiedziała, że na pewno się nie myli. Oby to nie był on, pomyślała. Nauczyła się z nim przebywać sam na sam, a nawet rozmawiać, jeśli nie było innego wyjścia, tak jakby nie był kimś, komu życzy śmierci w męczarniach. Pozostało jej jednak jeszcze pół papierosa, który w jego obecności zupełnie straciłby smak. Odwróciła się.

Witold Oleńczuk skinął lekko głową Annie Szulc i przepuścił Jana Kulaka. Kiedy Kulak zajął swoje stałe miejsce w rogu pomieszczenia przy oknie, Oleńczuk usiadł plecami do drzwi, po lewej stronie pustego miejsca prezesa. Wyjął z teczki papiery, które mogły się okazać potrzebne, chwilę się zawahał i postawił ją po swojej lewej stronie. To zawsze był dylemat. Jeśli stawiał teczkę po lewej, istniało ryzyko, że w którymś momencie posiedzenia staranuje ją jego brat. Miał on bowiem w zwyczaju od czasu do czasu podjeżdżać na krzesło i dzielić się z Witoldem Oleńczukiem jakąś uwagą na stronie, oczywiście wypowiedzianą tak głośno, że słyszeli ją wszyscy. Co prawda kolizje z krzesłem Krzysztofa na razie nie zniszczyły teczki, ale zawsze wywoływały niepotrzebne zamieszanie. Stawianie teczki po prawej stronie było jeszcze gorszym rozwiązaniem, bo Witold Oleńczuk z przyzwyczajenia co kilka minut zerkał w lewo, a widok pustego miejsca automatycznie uruchamiał w nim alarm.

W pomieszczeniu panowała cisza. Na tarasie Anna Szulc zapałtała zaciągała się papierosem, zwrócona do nich bokiem, chociaż było widać, że najchętniej odwróciłaby się plecami i wyglądała na ulicę. Jan Kulak osunął się na krzesło tak nisko, że ponad blat wystawała prawie tylko jego głowa. Wydawało się, że zasnął i za chwilę całkiem zjedzie pod stół, ale w pewnym momencie otworzył oczy i spróbował uśmiechnąć się do Witolda Oleńczuka. Zrezygnował jednak z tego i zrobił grymas sugerujący, że poruszanie mięśniami twarzy sprawia mu niemały ból.

Jak zwykle ma kaca, pomyślał Oleńczuk i wziął się do porządkowania swoich papierów, chociaż doskonale wiedział, że nie da

się ich bardziej uporządkować.

Anna Szulc zgasiła niedopałek, spojrzała na zegarek i odsunęła szklane drzwi oddzielające taras od sali. Ledwie zdążyła usiąść na swoim miejscu naprzeciwko Witolda Oleńczuka, kiedy otworzyły się drzwi prowadzące do holu i wszedł Krzysztof Oleńczuk.

– Uszanowanko – powiedział, minął brata i niemal rzucił na stół gruby plik kolorowych kartek, po czym z impetem opadł na krzesło. Prawy policzek miał oklejony plastrem, który był szeroki, ale nie tak szeroki, żeby całkiem zakryć potężny siniak. Krzysztof zauważył spojrzenie brata, przejechał palcem po plastrze i uśmiechnął się tak, jakby to był powód do dumy. Rzecz jasna nie podał żadnego wytłumaczenia. – No to szykuje się nam popijawa – powiedział, spoglądając na butelkę szampana. – Ale coś skromna. Liczyłem, że będzie przynajmniej flaszka na głowę.

Nikt nie zareagował, tylko Jan Kulak, nie otwierając oczu, poruszył się na krześle – być może na dźwięk słowa „flaszka”. Jakiś czas panowała całkowita cisza. Potem Krzysztof Oleńczuk zaczął w nieregularnym rytmie bębnić palcami po stole. Nie przestawał przy tym wpatrywać się w stojącą na stole butelkę.

Prezes Jerzy Zawirski, uśmiechnięty i mniej niż zwykle czerwony na twarzy, wpadł do pomieszczenia z typowym dla siebie impetem. Odepchnął drzwi, jakby był kowbojem wchodzącym do saloonu, rzucił na stół dokumenty, zatarł ręce.

– Dzień dobry.

Rozejrzał się po zebranych jak nauczyciel oczekujący od uczniów chóralnej odpowiedzi. Na moment zatrzymał wzrok najpierw na Krzysztofie Oleńczuku, później na butelce i kieliszkach.

– Otwieram posiedzenie zarządu – stwierdził. – Czy ktoś zgłasza zastrzeżenia do proponowanego porządku, który został wczoraj rozesłany pocztą elektroniczną? No i słusznie, że nie. W takim razie przechodzimy od razu do punktu pierwszego: głosowanie nad zatwierdzeniem umowy kredytowej z Sukces Bankiem na finansowanie „Karmazynowej Przystani”. Miałem przyjemność parafować tę umowę przedwczoraj. Wszyscy wiecie, co w niej jest, więc nie będę strzępił języka, chyba że ktoś potrzebuje dodatkowych wyjaśnień.

Z promiennym uśmiechem spojrzął na Krzysztofa Oleńczuka, który odwzajemnił uśmiech, a na dodatek mrugnął.

– A więc do rzeczy – kontynuował Zawirski. – Głosujemy nad uchwałą 19/2008, która też została rozesłana wczoraj, więc rozumieniem, że wszyscy się z nią dokładnie zapoznali.

Teraz patrzył na Jana Kulaka, który jako jedyny nie przyniósł żadnych dokumentów. Młody człowiek z najwyższym trudem wyprostował się i pokiwał głową; widać było, że sprawiło mu to problem.

– Jeśli nie usłyszę sprzeciwu, uznam, że uchwała została przyjęta przez aklamację. Dobrze...

Krzysztof Oleńczuk podniósł prawą rękę tak, jakby był uczniem zgłaszającym się do odpowiedzi, ale potem nagle zgiął ją w łokciu i energicznie podrapał się po głowie. Zawirski wydawał się tym przedstawieniem raczej rozbawiony niż zirytowany.

– ...a więc uchwała została przyjęta – dokończył Zawirski. – Jak wicie, uważam to za nasz wielki sukces. Mam nadzieję, że nie odmówicie uczczenia go wypiciem symbolicznej lampki.

Otwierał butelkę, trzymając ją skierowaną przed siebie i lekko w lewo, tak jakby chciał korkiem trafić w głowę Krzysztofa Oleńczuka. Huk rzeczywiście przypominał wystrzał, ale korek pozostał w wielkiej dłoni Zawirskiego. Prezes z wielką wprawą rozlał musujący płyn do fioletowych kieliszków, po czym wziął jeden z nich. Witold Oleńczuk podał kieliszek siedzącemu za nim bratu, Anna Szulc postawiła jeden przed sobą, drugi przesunęła po blacie w stronę Jana Kulaka. Wszyscy wstali.

– Wypijmy – wygłosił uroczyście Zawirski, unosząc kieliszek – za „Karmazynową Przysiań”!

– Żebyśmy do niej dopłynęli, zanim całkiem zatoniemy! – dorzucił Krzysztof Oleńczuk.

Zawirski zamarł z ręką uniesioną do toastu, jego twarz momentalnie stała się czerwona. Odstawił kieliszek na stół powolnym ruchem, jakby chciał sobie dać czas na ochłonięcie.

– Krzysiu, czy masz coś ciekawego do powiedzenia? – wycedził i spróbował uśmiechnąć się dobrotliwie.

– Ciekawego? – Krzysztof Oleńczuk też odstawił kieliszek

i przez chwilę udawał, że się zastanawia. – Nie, skąd, nie ma w tym nic ciekawego. Po prostu tak sobie patrzę w te moje cyferki i widzę, jak się coraz bardziej rozjeżdżają. Jedne tam, drugie tam, tylko każda nie w tym kierunku co trzeba.

– Chciałbym wiedzieć – prezes sprawiał teraz wrażenie spokojnego, chociaż mówił nienaturalnie wolno – dlaczego akurat dzisiaj chcesz wracać do rozmowy, którą, wydaje mi się, zakończyliśmy definitywnie jakieś dwa miesiące temu.

– Och, prezesie – Krzysztof Oleńczuk uśmiechnął się szeroko i wykonał nieokreślony gest prawą dłonią. – Do rozmów sprzed dwóch miesięcy nie da się wrócić. Wszystko płynie, jak powiedział pan Tarei. Wtedy było źle, teraz jest... No bo widzi pan, prezesie, te moje cyferki też sobie płyną. Jak małe rybki. Niedługo niektóre z nich będą pływać do góry brzuchem.

– Na szczęście, Krzysiu, w Sukces Banku tak o nas nie myślą.

– Och, prezesie, nigdy nie wątpiłem, że tam pracują idioci. Jak ktoś nam pożycza pieniądze i przy ocenie zdolności nie bierze pod uwagę odpisów, które będziemy zaraz musieli zacząć robić...

– Odpisów? – Zawirski znowu zaczął robić się czerwony.

– Odpisów wartości gruntów. To takie sumy, które trzeba będzie odjąć od zysków, kiedy...

– Krzysiu, o tym też mówiliśmy. Ziemia nie będzie tanieć.

– Już zaczyna. Można się tylko zastanawiać, jak szybko to się będzie działo. Bawiłem się tym ostatnio, zrobiłem małą symulację. Pozwoliłem sobie przygotować prezentację z wynikami, dosłownie parę stron. Super mi wykresy powychodziły, musicie to zobaczyć.

Podniósł plik kolorowych kartek i najwyraźniej zamierzał rozdać je uczestnikom zebrania. Zawirski go powstrzymał.

– Chciałbym cię na chwilę poprosić do mojego gabinetu.

– Z przyjemnością.

– Nie, zostaw te papierki. Nie będziemy nic oglądać, chcę z tobą zamienić słówko na osobności.

Zawirski odwrócił się na pięcie i wyszedł z sali. Oleńczuk wzruszył ramionami, uśmiechnął się do zebranych, odłożył kartki na stół i wyszedł za prezesem.

Anna Szulc natychmiast zerwała się ze swojego miejsca, chwyciła papierosy i niemal wyskoczyła na taras. Jan Kulak rozejrzał się bezradnie, jakby nie wiedział, co ze sobą zrobić. Niezdecydowany odstawił kieliszek, który ciągle trzymał w dłoni.

– To ja skorzystam z okazji – wymamrotał i ruszył do wyjścia.

Zatrzymał się obok miejsca Krzysztofa Oleńczuka. Po chwili wahania chwycił plik kartek i szybko go przewertował.

– Ciekawe, co on znowu naprodukował, nie? – rzucił z uśmiechem do Witolda Oleńczuka. Nie doczekał się jednak żadnej reakcji i po chwili nie było go w sali.

Teraz albo nigdy, pomyślał Witold Oleńczuk.

Anna Szulc dopalała papierosa, kiedy uczestnicy posiedzenia zaczęli wracać. Najpierw Jan Kulak, któremu przerwa najwyraźniej pomogła, bo nie wyglądał już na sennego ani wymiętego. Sprawiał raczej wrażenie, jakby właśnie odnalazł w kieszeni dawno zgubione sto złotych – chociaż w jego przypadku musiałyby to być ze sto tysięcy. Kilkadziesiąt sekund później do pokoju wszedł Witold Oleńczuk, a bezpośrednio za nim – Krzysztof. Pochód zamykał górujący nad braćmi wzrostem oraz tuszą prezes. Annie Szulc skojarzyło się to z odprowadzaniem więźniów do celi przez klawisza. Po usadowieniu się na swoim miejscu szybko jednak uznała skojarzenie za nieadekwatne.

Cokolwiek zdarzyło się w gabinecie prezesa, musiało być bardzo dziwne, bo chociaż Zawirski wyglądał na zadowolonego, Krzysztof Oleńczuk nie sprawiał wrażenia upokorzonego.

Prezes podniósł kieliszek.

– Nasz dyrektor finansowy zgodził się poczekać z dyskusją na nurtujący go temat do końca bieżącego kwartału – poinformował. – Możemy więc wrócić do przerwanej toastu: Za „Karmazynową Przystań”!

Kieliszki powędrowały do ust. Potem wszystko działo się jak w zwolnionym tempie. Krzysztof Oleńczuk upuścił swój kieliszek, chwycił się za szyję, poczerwieniał i zaczął rozpaczliwie wciągać powietrze, ślaniając się na nogach. Potem równie nagle przestał

rzeźić i na ułamek sekundy całkowicie znieruchomiał. Wreszcie runął w prawo, przygniótł ciałem skórzaną teczkę brata i wylądował z głową na jego butach. Przez sekundę lub dwie wszyscy stali jak sparaliżowani. W końcu Witold Oleńczuk ukląkł, uniósł głowę Krzysztofa i dwa razy uderzył go w policzek, ale tak lekko, jakby nie wierzył w skuteczność tego, co robi.

– Krzysiek?

– Udar. – Zawirski pochylił się nad leżącym. Wyglądał, jakby sam miał za chwilę dostać wylewu. – Nawet takiemu młodemu może się zdarzyć.

Odwrócił się i szybko wyszedł. Anna Szulc i Jan Kulak ostrożnie zbliżyli się do Oleńczuków. Witold jeszcze raz klepnął leżącego w twarz, potem ostrożnie ułożył jego głowę na podłodze. Sięgnął do kołnierzyka, lecz cofnął rękę, bo górne guziki koszuli były rozpięte. Wobec tego chwycił bezwładną rękę brata i zaczął szukać pulsu na nadgarstku.

– Słaby, ale jest – powiedział, spoglądając na pozostałych.

– On nie oddycha – powiedziała Anna Szulc.

Witold Oleńczuk przez chwilę przyglądał się jej bez słowa, po czym szybko odwrócił się do brata, rozwarł mu usta i pochylił się nad nim. Prawie dotknął nosem jego nosa, ale nie zaczął sztucznego oddychania, tylko bardzo powoli się wyprostował.

– Karetka jedzie – poinformował Zawirski, wchodząc do sali.

Witold Oleńczuk obrócił się w jego kierunku. Sprawiał wrażenie bardzo spokojnego, tylko wąsy trochę mu drżały.

– Karetka nie będzie potrzebna – stwierdził. – Potrzebna będzie policja.

Rozdział 2

Czwartek po południu

Kiedy budzik zaczął dzwonić, komisarz Jacek Zakrzeński nie musiał otwierać oczu, żeby stwierdzić, że jest piąta rano. Nie miał jednak pojęcia, jak do tego doszło, bo przecież tak wcześnie nie wstawał od półtora miesiąca, czyli od chwili, gdy ostatecznie zdecydował, że w tym sezonie nie będzie więcej biegał.

Nie była to decyzja łatwa i podejmował ją stopniowo. W marcu i kwietniu po prostu ignorował ból w lewej stopie; za każdym razem kończyło się to kilkoma dniami utykania. W maju postanowił, że będzie reagował na pierwsze ukłucia bólu: udało mu się raz przebiec prawie trzy kilometry, w następne dni kończył po kilkuset metrach. Wreszcie gdzieś na początku czerwca stanął po raz kolejny na starcie swojej ulubionej trasy i od razu zrozumiał, że to nie ma sensu. Odwrócił się więc na pięcie i wrócił do domu. Od tego czasu wstawał o szóstej trzydzieści, w dni wolne zaś spał do oporu, co niekiedy oznaczało nawet wczesne popołudnie. Najwyraźniej lata przyzwyczajęń zrobiły swoje i wczoraj wieczorem zupełnie nieświadomie, może nawet przez sen, przestawił budzik.

Wiedział, że w końcu będzie musiał wyjść z łóżka, odnaleźć komórkę na parapecie i wyłączyć budzik. Mimo to chciał poczekać do końca pierwszej drzemki. Tylko że budzik nie sprawiał wrażenia, jakby miał zamiar zamilknąć na czas drzemki. Coś było nie tak. Po chwili Zakrzeński zorientował się co: słyszał nie budzik, ale sygnał połączenia. Skoro tak, musi od razu odebrać, bo ktoś, kto wydzwania o tak wczesnej porze, na pewno nie zrezygnuje, a jeszcze może przysłać patrol, żeby sprawdzić, co się z Zakrzeńskim dzieje. Komisarz zbierał więc siły, żeby się podnieść, gdy nagle zdał sobie sprawę, że w dalszym ciągu coś się nie zgadza. No tak, przecież sygnał połączenia w jego komórce brzmiał zupełnie inaczej.

Wreszcie zrozumiał, że dzwoni telefon stacjonarny na jego biurku na komendzie. I jest nie piąta rano, tylko środek dnia. Wyprostował się szybko. Prawą ręką chwycił słuchawkę, lewą zaczął masować kark, w którym musiał naciągnąć jakiś mięsień, śpiąc na krześle z głową przewieszoną przez oparcie.

- Wreszcie! - usłyszał głos szefa. - Nie słyszałeś telefonu?

- Byłem w łazience - skłamał Zakrzeński, z trudem otworzywszy piekielnie wysuszone usta.

- Powinieneś się kąpać w domu. Mam dla ciebie małe zadanie.

- Słuchaj, jesteśmy w tej chwili kompletnie...

- Zawaleni robotą, wiem, oczywiście. Mówię, o co chodzi. Jest prośba o pomoc z komendy powiatowej Warszawa-Zachód. Tam u nich w Ożarowie w jakiejś firmie jakiś gość wykitował nagle w trakcie jakiegoś posiedzenia. Padł jak rażony gromem.

- Zawały też już teraz robimy?

- Dzisiaj nie radziłbym ci wyprowadzać mnie z równowagi. Jest podejrzenie, że ktoś mu coś wrzucił do szampana, konkretnie cyjanek, bo świadkowie wyczuli zapach gorzkich migdałów.

Nawet gdyby chciał, Zakrzeński nie zdołałby się powstrzymać przed parsknięciem.

- Chyba mówiłem, żebyś dzisiaj uważał - w zwykłe łagodnym głosie nadinspektora słysząc było cień irytacji.

- Co za bzdura - powiedział Zakrzeński. - Cyjanek w szampanie? Zapach gorzkich migdałów? Ktoś się tam chyba naczytał kryminałów, i to starych.

- Może tak, może nie. Sęk w tym, że sytuacja na miejscu jest trochę skomplikowana. Ta firma, w której to wszystko się stało, to jakiś lokalny potentat. Rozumiesz, daje ludziom pracę, sponсорuje drużynę koszykówki czy siatkówki. Prezes z całą wierchuszką powiatu chodzi na polowania, jest honorowym obywatelem miasta, takie klimaty. Nie chciał wzywać policji, utrudnia im czynności...

- Aha, czyli lokalni chcą umyć ręce?

- Ty byś wolał, żeby tańczyli, jak im zagrają?

Zakrzeński stłumił westchnięcie.

- Dobrze. Mironczuk powinien zaraz wrócić, wyślę go, żeby ich

wsparł moralnie.

- Trudno się z tobą dzisiaj rozmawia. Czeka tam na ciebie komitet powitalny. Mam nadzieję, że za pół godziny dojedziesz, żebyś nie opóźniał zabezpieczania śladów. Nasz patolog zawiadomiony. Jak ci się podoba ten plan?

- W ogóle mi się nie podoba. Powtarzam, że to jakaś bzdura do kwadratu.

- No to w godzinę ustalisz ponad wszelką wątpliwość, że facet odszedł naturalnie, i będziesz mógł wrócić na Nowolipki. Masz do mnie jakieś pytania?

- Jedno. Skąd u ciebie takie zainteresowanie tym tematem?

- To, widzisz, jest błędne pytanie. Prawidłowe pytanie brzmi: Jaki tam jest adres? A odpowiedź jest taka, że dyżurny ci powie.

Nadinspektor przerwał rozmowę. Zakrzeński jeszcze przez chwilę trzymał słuchawkę przy uchu, masując obolały kark. Pozwolił sobie na potężne ziewnięcie i poczuł, że oczy nabiegają mu łzami. Miał wielką ochotę chociaż na chwilę położyć głowę na jednej z trzech stert akt, które zajmowały jego biurko, ale wolał nie ryzykować, że znowu zaśnie.

Ulice na szczęście nie były zakorkowane i tuż po dwunastej trzydzieści Zakrzeński znalazł się w Ożarowie Mazowieckim. Kiedy skręcił z głównej ulicy, czyli przecinającej miasto drogi na Poznań, pomyślał, że podano mu zły adres, bo przez chwilę mijają tylko domki jednorodzinne. W końcu zobaczył siedzibę firmy OKZ Development, dziwaczne połączenie nowoczesnej fasady typowego biurowca z bryłą, która przypominałaby szkołę podstawową, gdyby nie taras biegnący wokół ostatniego piętra. Budynek był nieco cofnięty od ulicy, stał na sporym otwartym placu niemal w całości zajęтым przez parking.

Zakrzeński zaparkował koło dwóch pustych radiowozów, wysiadł i przez przeszklone drzwi wszedł do ciemnego holu. Zobaczył plecy mundurowego, który pochylał się nad potężnym blatem, najwyraźniej zatopiony we flircie z recepcjonistką.

Komisarz miał ochotę kopnąć policjanta w tyłek. Zamiast tego

po prostu stanął przy recepcji. Pierwsza zauważyła go dziewczyna – szatynka, średnio ładna i nieco przy kości. Przestała się uśmiechać i próbowała przybrać profesjonalny wyraz twarzy.

– Słucham pana.

Policjant zareagował dopiero w tym momencie. Wyprostował się, udał, że poprawia mundur, i obrzucił Zakrzeńskiego spojrzeniem świadczącym o całkowitym braku zainteresowania. Wyraz jego twarzy zmienił się dopiero wtedy, kiedy Zakrzeński podsunął mu pod oczy legitymację.

– Panie komisarzu, to się stało na czwartym piętrze. O, tam jest winda. Mam pana zaprowadzić?

– Wystarczy, że się tutaj przestaniesz opierdalać.

– Tak jest.

Zakrzeński odnalazł windę w lewym rogu holu, wjechał na czwarte piętro. Wysiadł i zobaczył przed sobą przeszklone drzwi, a za nimi bardzo chudą, dosyć brzydką kobietę z rudymi włosami i bardzo piegowaną twarzą oraz niepozornego blondynka, który wyglądał, jakby dopiero niedawno zdawał maturę, niekoniecznie z powodzeniem. Kobieta natychmiast dotknęła przycisku zwalniającego zamek. Było jasne, że czekali na Zakrzeńskiego; nie wiedział tylko, czy sterczeli tu od dłuższego czasu, czy o jego przybyciu zdążył ich zawiadomić policjant z dołu.

Pchnął drzwi i podszedł do tej dość dziwnej pary. Kobieta bez wahania podała mu kościstą dłoń. Uścisk miała silny, męski.

– Podkomisarz Marta Zychowicz – powiedziała.

Zdziwił się, bo po sylwetce ocenił ją na dwadzieścia parę lat, a więc o wiele za mało na stopień podkomisarza. Z bliska zorientował się, że jest dużo starsza, prawdopodobnie bliżej czterdziestki niż trzydziestki. Skóra zawsze to zdradzi, nawet jeśli prawie nie ma na niej zmarszczek, tak jak u tej tu, pomyślał.

– Jacek Zakrzeński.

– To sierżant Leńczyk. Proszę za mną.

Minęli jedne zamknięte drzwi po prawej stronie i dotarli do kolejnych na wprost, które były oznaczone jako łazienka. Tutaj hol zakręcał w lewo. Znaleźli się w jego drugiej części, stanowiącej jakby dłuższą odnogę litery „L”. W ścianie po lewej były zamknię-

te drzwi, podobnie w krótkiej ścianie na wprost. Ściana po prawej płynnie przechodziła w masywny blat recepcji.

Zatrzymali się przy nim. Do Zakrzeńskiego dotarło, że Zychowicz patrzy na niego wyczekująco, jakby czekała na odpowiedź. Chyba właśnie skończyła mu o czymś opowiadać. Zmusił pamięć do wysiłku i udało mu się mniej więcej zrekonstruować, o co chodzi – że technicy zabezpieczyli większość śladów na piętrze oprócz tych w bezpośrednim otoczeniu ciała i teraz pracują nad gabinetem oraz samochodem denata. Skinął głową.

– W każdym razie świetnie, że pan jest – stwierdziła Zychowicz. – Nie wiem, jak długo bym dała radę ich tam zatrzymać.

Zakrzeński spojrział na nią pytająco, a ona wskazała ręką drzwi na końcu korytarza.

– W gabinecie prezesa. Chodzi o osoby, które były na tym piętrze w chwili śmierci denata. Oczywiście pilnuje ich posterunkowy.

– Pilnuje? Jest ryzyko, że ktoś ucieknie?

Ton głosu Zakrzeńskiego sprawił, że Zychowicz wyraźnie się zmieszła.

– Nie, raczej nie, zresztą wiemy, kim oni są. Ale nie pobraliśmy jeszcze odcisków, a poza tym chciałam, żeby nie mieli możliwości uzgodnienia zeznań.

Zakrzeński nie zdążył odpowiedzieć. Drzwi gabinetu się otworzyły i do holu wkroczył duży, tęgi mężczyzna po sześćdziesiątce. Był czerwony na twarzy i wyglądał tak, jakby miał zaraz wybuchnąć i rozpaść się na kawałki. Szybkim krokiem podszedł do policjantów. Popatrzył na Zakrzeńskiego z góry.

– No, wreszcie! Pan jest jej przełożonym?

Zakrzeński nie odpowiedział. Mężczyzna zinterpretował to jako odpowiedź twierdzącą.

– Mam nadzieję, że wyciągnie pan konsekwencje służbowe. To absolutnie niedopuszczalne, żeby w taki sposób paraliżować pracę mojej firmy. Oczekuję, że natychmiast skończycie z tym nonsensem, ciało zostanie zabrane, a...

Zakrzeński ominął go i otworzył przymykające się drzwi.

– Jeśli można – wykonał ręką zapraszający gest.

Mężczyzna zrobił się jeszcze bardziej czerwony, ale wszedł do gabinetu. Zatrzymał się z rękami skrzyżowanymi na piersiach w połowie drogi między drzwiami a potężnym biurkiem. Nie było wątpliwości, że to jego królestwo.

Pozostałe osoby skupiły się po lewej stronie obszernego pomieszczenia. Młody posterunkowy, którego wielkie czerwone uszy były tak odstające, jakby prezes przed chwilą go za nie wytargał, stał przy drzwiach prowadzących na taras. Trzy osoby siedziały na skórzanych fotelach rozstawionych wokół okrągłego stolika: szczupły czterdziestokilkuletni facet z wąsem, tłustawy dwudziestoparolatek z idiotycznie wyżełowanymi włosami i bardzo szczupła kobieta po pięćdziesiątce, która wyglądała, jakby miała żółtaczkę.

– Dzień dobry – powiedział Zakrzeński. – Nazywam się Jacek Zakrzeński, jestem komisarzem z Komendy Stołecznej. Jak państwo wiedzą, doszło tu do tragicznego zdarzenia i musimy wyjaśnić jego przyczyny. Niestety, niektóre czynności trochę trwają. Dlatego dziękuję za wyrozumiałość.

– Tylko dlaczego wszyscy mają siedzieć w moim gabinecie? – zapytał prezes, który najwyraźniej trochę się uspokoił.

– To standardowa procedura.

– Niech pan przynajmniej zabierze tego tutaj, żeby tak nie sterczał.

Wskazał ręką na posterunkowego, którego uszy zaczerwieniły się jeszcze bardziej. Chłopak nie sprawiał wrażenia szczególnie bystrego; nawet gdyby usłyszał coś ważnego, pewnie niewiele by z tego zrozumiał i jeszcze mniej zapamiętał. Tyle że prezes nie był człowiekiem, któremu Zakrzeński chciałby pójść na rękę.

– Posterunkowy jest tutaj dla państwa bezpieczeństwa – stwierdził, chociaż miał poczucie, że brnie w absurd.

– Bezpieczeństwa?

– Jeśli to nie była śmierć naturalna, jedna z osób w tym pokoju może się okazać mordercą.

Zakrzeński nie zdziwiłby się, gdyby prezes roześmiał mu się w twarz, ale ten wolał znowu się oburzyć. W gnieniu oka nabrał tyle powietrza, że wydawało się, iż wzniesie się pod sufit. Wresz-

cie przemówił. Jego głos brzmiał spokojnie, choć było w tym spokoju coś nienaturalnego.

– Za dużo sobie pozwalacie. Będę rozmawiał z pańskim szefem, zdziwi się pan, jak szybko.

– Dać panu numer? – rzucił Zakrzeński, po czym zwrócił się do pozostałych. – Mamy do wykonania niewiele czynności. Powinniśmy skończyć w miarę szybko. Wtedy będziemy musieli państwa prosić o odciski palców.

– Może jeszcze czegoś będziecie potrzebowali? – odezwał się prezes niespodziewanie uprzejmym tonem. – Próbkę śliny?

Za ślinę dziękuję, ale może się zgłoszę po próbkę krwi, pomyślał Zakrzeński, udało mu się jednak nie wypowiedzieć tej myśli.

– Wystarczy nam chwila indywidualnej rozmowy z każdym z państwa. Tymczasem jeszcze raz dziękuję za cierpliwość.

Odwracał się właśnie, żeby wyjść z gabinetu, i wtedy zdał sobie sprawę, że w pomieszczeniu jest jeszcze jedna osoba. To, że jej wcześniej nie zauważył, było kardynalnym błędem, który w innych okolicznościach mógł go kosztować życie. Przede wszystkim było czymś zdumiewającym, bo osoba ta z pewnością zasługiwała na miano najatrakcyjniejszej kobiety na czwartym piętrze i prawdopodobnie w całym budynku, a być może w całym tym Ożarowie.

Miała niewiele ponad dwadzieścia lat, gęste czarne włosy, naturalnie ciemną karnację, nieco skośne oczy i przede wszystkim piękne pełne usta. Siedziała po turecku na podłodze w rogu pokoju, więc figurę trudniej było ocenić. Mimo to Zakrzeński odniósł wrażenie, że pod tym względem nie było się do czego przycepić.

Ich spojrzenia się spotkały. Dziewczyna spuściła głowę, ale nie zrobiła tego od razu. Zakrzeński z trudem oderwał od niej wzrok, jeszcze raz rozejrzał się po całym pomieszczeniu. Potem wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Zychowicz czekała na niego. Odeszli na środek holu, gdzie cały czas stał sierżant Leńczyk, który najwyraźniej wolał nie zbliżać się za bardzo do prezesa.

– Do naszego komendanta pan prezes już dzwonił – Zychowicz uśmiechnęła się lekko. Jej wargi były tak cienkie, że prawie nie-

widoczne.

- I co?

- Nic, bo komendant jest na urlopie w Chorwacji. A znając go, nie lubi płacić za roaming.

Zakrzeński spojrzał na nią uważnie.

- A gdyby był w pracy?

- Już by nas tu pewnie nie było.

- Kto wpadł na pomysł, żeby nas wezwać?

- Mój szef. Szef naszej dochodzeniówki. Ale ja się z nim w pełni zgodziłam.

- Więc jeśli się okaże, że to nie było otrucie, macie przesrane?

- Tak by wychodziło.

- To się obawiam, że macie przesrane.

Znowu wygięła wargi w czymś na kształt uśmiechu, chociaż w jej oczach nie było widać wesołości. Nic nie powiedziała.

- Dlaczego prezes nie załatwił was przez prokuratora? - drążył.

- Na miejscową prokuraturę to akurat nie ma żadnego przełożenia. Prokurator rejonowy nie poluje. Jak tam usłyszeli, że chcemy sprowadzić Komendę Stołeczną, ucieszyli się i powiedzieli, że oni w takim razie nie będą przyjeżdżać i że z miejsca zawiadomią okręgową.

- Kaktus mi tutaj wyrośnie, jak prokurator z Warszawy rzeczywiście będzie chciał tu przyjechać, żeby wąchać gorzkie migdały. Kto w ogóle wymyślił taką bzdurę?

- Nie wiem, co o tym sądzić - wzruszyła ramionami. - Mnie się wydaje, że czuć od niego jakiś dziwny zapach. Najbardziej przy tej wersji upierał się jego brat.

- Czyj brat?

- Denata. Ten facet z wąsami. Od razu wezwał policję, więc patrol był tu równo z karetką. Ja dojechałam chwilę później, bo akurat byłam na komisariacie w Ożarowie.

- I co powiedział lekarz z pogotowia?

- Że nie jest w stanie określić przyczyny zgonu. Nie może wykluczyć trucizny.

- Czyli sekcja i tak by była?

– Tak, tylko że wyniki mielibyśmy gdzieś w połowie przyszłego tygodnia. Albo później. Do tego czasu wszystkie zeznania...

– Rzeczywiście. W śledztwie o zabójstwo kluczowa jest pierwsza doba.

Zychowicz aż się skrzywiła, kiedy usłyszała ten wyświechtany cytat z podręczników i ton, jakim Zakrzeński go wypowiedział. W ogóle sprawiała wrażenie coraz bardziej spiętej.

– Panie komisarzu... – powiedziała.

– Tak?

– Uważa pan, że przesadziliśmy?

Wzruszył ramionami.

– Okaże się po sekcji. Chodźmy go obejrzyć.

Zychowicz poprowadziła Zakrzeńskiego do drzwi w dłuższej ścianie naprzeciwko blatu recepcji i otworzyła je. Znaleźli się w niedużej salce konferencyjnej. Wystrój był taki jak w holu: niebieskoszara wykładzina i białe ściany, na których wisiały duże zdjęcia w czarnych ramach, przedstawiające jakieś osiedla mieszkaniowe. Środek pomieszczenia zajmował owalny stół. Leżały na nim notatniki i pliki papierów. U szczytu stołu stała butelka szampana, a w różnych miejscach na blacie – cztery fioletowe kieliszki. Piąty znajdował się na podłodze tuż obok ciała.

Denat, ciemny szatyn po trzydziestce, leżał na wznak z głową zwróconą w prawo w nieco nienaturalnej pozycji, bo skórzana teczka, na którą upadł, wypchnęła ku górze jego klatkę piersiową. Miał półdługie zaniedbane włosy i twarz bez zarostu. Mimo to Zakrzeński od razu zauważył podobieństwo do faceta z wąsami, którego widział w gabinecie prezesa. Oczy i usta zmarłego były otwarte. Szeroki plaster zasłaniał lewy policzek, chyba trochę opuchnięty. W ubraniu nic szczególnego: ciemnoszary garnitur, różowa koszula bez krawata i buty, eleganckie, ale od dość dawna niepastowane.

Zakrzeński przykucnął przy ciele.

– Nic nie czuję.

– Zapach jest czymś bardzo subiektywnym, prawda?

– Być może.

– W każdym razie – Zychowicz poczekała, aż Zakrzeński wsta-

nie, bo najwyraźniej zależało jej na tym, żeby mieć z nim kontakt wzrokowy – zdołałam się dowiedzieć, że facet upadł zaraz po tym, jak wychylił swój kieliszek, i w ciągu minuty czy dwóch nie żył, więc...

– Co to była za okazja?

– Posiedzenie zarządu spółki. Nie wiem, co świętowali. Chyba coś ważnego, bo zaczęli od szampana, o jedenastej.

– Kto nalewał?

– Prezes.

– Każdy trzymał swój kieliszek?

– Nie. W czasie nalewania kieliszki stały na tej tacce, wszyscy je brali po napełnieniu. Temu tu kieliszek podał brat, bo siedział bliżej prezesa. Trudno sobie wyobrazić, żeby coś wsypał do kieliszka tak na oczach wszystkich.

– No to kiedy facet miał dostać ten cyjanek?

– Tu się robi ciekawie. Coś im przerwało wznoszenie toastu. Przerwa trwała kilka minut. Każdy na chwilę wyszedł z sali. Sala była pusta i ewentualnie wtedy morderca mógł wsypać cyjanek.

– Jeśli sala była pusta, to nie było w niej też mordercy dodającego cyjanek.

Tym razem Zychowicz pozwoliła sobie okazać mimiką odrobinę irytacji. Chciała też chyba coś powiedzieć. Przeszkodził jej Leńczyk, który pojawił się w drzwiach.

– Ktoś idzie.

Rzeczywiście, od strony drzwi wejściowych rozległo się pukanie. Przez chwilę stali nieruchomo, wreszcie Leńczyk się zreflektował, pobiegł w tamtym kierunku i zniknął za załomem ściany. Usłyszeli szcęk zamka i donośne kichnięcie. Dzięki temu Zakrzeński wiedział, że za chwilę stanie przed nimi odwieczny alergik, doktor Kalicki.

Patolog nie przybył sam. Zakrzeński od razu rozpoznał jego towarzysza, Kacpra Wilka. Prokurator nic się nie zmienił przez te osiem czy dziewięć miesięcy, które upłynęły od czasu, gdy razem pracowali nad pewną dziwną sprawą. Teraz, latem, wyglądał jeszcze bardziej nedorzecznie w swoim ciemnym garniturze. Jak zawsze miał wypolerowane na błysk buty i równie lśniąca teczkę.

Brakowało tylko wielkiego parasola z metalowym szpicem, chociaż przecież kilka ostatnich dni było pochmurnych.

– Dzień dobry, panie komisarzu! Cóż za niespodzianka! Najpierw na dole spotykam pana doktora, a teraz pana...

Chociaż dłoń, którą Wilk podał Zakrzeńskiemu, była miękka, niemal sflaczała, sprawiał on wrażenie szczerze ucieszonego widokiem komisarza. Można nawet powiedzieć, że jego twarz promieniowała radością jak u małego chłopca, który spotkał dawno niewidzianego kolegę.

– Jak pańska noga?

Zakrzeński od razu poczuł silne ukłucie w lewej kostce. No tak, to w czasie śledztwa prowadzonego z Wilkiem doznał tej przekłętej kontuzji, która zepsuła mu obecny sezon.

– Bardzo dobrze, panie prokuratorze – odpowiedział. – Dziękuję, że pan pyta.

Uchylił drzwi prowadzące do sali posiedzeń.

– Proszę.

Nie przestając się uśmiechać, Wilk zrobił krok do przodu. Nagle przypomniał sobie, że ma obok siebie patologa, i gestem zaprosił go do pójścia przodem.

– Ależ proszę, panie prokuratorze – sprzeciwił się Kalicki.

Wilk podziękował skinieniem głowy, wszedł i niemal potknął się o zwłoki, których jakimś cudem do tej pory nie zauważył. Zrobił krok do tyłu i wpadł na Kalickiego.

– Przepraszam, doktorze – powiedział, oblewając się rumieńcem.

Szybkim krokiem przeszedł wzdłuż ściany i zatrzymał się dopiero w rogu salki. Przez chwilę rozglądał się nerwowo po całym pokoju, starannie omijając miejsce, w którym Kalicki zaczynał oględziny ciała. W końcu zdecydował się zająć wyjątkowo uważnym studiowaniem jednego z wiszących na ścianie zdjęć, które przedstawiało z lotu ptaka osiedle schludnych kilkupiętrowych bloków.

– Nie żyje od półtorej do dwóch godzin – powiedział po kilku minutach Kalicki i wstał. – Przyczynę śmierci będzie można określić w czasie sekcji.

- A gdyby pan miał zgadywać? – zapytał Zakrzeński.
- Tobym powiedział: trucizna.
- Na jakiej podstawie?
- Na takiej, że nie ma obrażeń zewnętrznych, które mogły spowodować zejście, za to jest prokurator i wydział zabójstw – powiedział Kalicki i głośno wydmuchał nos.
- A gdyby nas tu nie było?
- Rozumiem, że to bardzo nagłe zejście, tak? Moim pierwszym podejrzeniem byłaby zatem nagła śmierć sercowa. Bynajmniej nie to samo co zawał, ale wszyscy je mylą.
- Czy to rzeczywiście dużo bardziej prawdopodobne niż otrucie? – zapytała niespodziewanie Zychowicz tonem, który zabrzmiał niemal agresywnie.

Kalicki spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- No cóż, określenie prawdopodobieństwa takich zdarzeń nie jest łatwą sprawą. Zejście na serce spotyka się częściej niż otrucie, przynajmniej tak wynika z mojego doświadczenia. Oczywiście, jak się domyślam, ktoś tutaj musiał mieć powód, żeby podejrzewać truciznę, a to zmienia postać rzeczy.

- Świadkowie mówią o zapachu gorzkich migdałów.

- Cyjanek! – rzucił Kalicki i spojrzał na zwłoki. – Skóra jest trochę zaróżowiona, więc to by się mogło zgadzać.

- Zdaje się, że tylko jeden świadek mówił o tym zapachu – wtrącił Zakrzeński. – Ja tam nic nie czuję.

- Ja też nie – pokręcił głową Kalicki. – Ale mam zapchany nos. Pan może nie czuć, bo nie każdy ma taką zdolność, to jest warunkowane genetycznie. No i zapach mógł wywietrzeć.

- Ja miałem wrażenie, że czuję zapach gorzkich migdałów – z końca sali odezwał się niespodziewanie Wilk, który teoretycznie patrzył w kierunku Kalickiego i Zakrzeńskiego, a praktycznie raczej w sufit. – Tylko nie byłem do końca pewny.

Oczywiście, pomyślał Zakrzeński, można się było domyślić, że kto jak kto, ale on te przekłete gorzkie migdały będzie czuł. I że nie będzie tego do końca pewny.

- Widzi pan – powiedział Kalicki, chowając rękawiczki do torby – jeśli to rzeczywiście cyjanek i stężenie jest duże, może nawet

ja coś poczuje, jak go otworzę.

Na dźwięk tych słów prokurator wzdrygnął się, jakby go poraził prąd. Kalicki rzucił mu zdziwione spojrzenie i stłumił kichnięcie.

– A ten siniak na twarzy? – zapytał Zakrzeński.

– Ktoś mu przyłożył. Dosyć niedawno i dosyć mocno, ale też bez przesady, bo nic nie pękło. Na pewno nie od tego umarł, jeśli o to panu chodzi.

Zakrzeński skinął głową.

– Tak czy inaczej będziecie musieli poczekać na wyniki sekcji – powiedział Kalicki. – Spróbuję jeszcze dzisiaj wieczorem, ale trudno powiedzieć, ile zajmie toksykologia. Do widzenia.

Wyszli z sali i Kalicki szybkim krokiem ruszył w kierunku windy. Zakrzeński zwrócił się do Wilka, który wyglądał jak człowiek wypuszczony z więzienia o zaostrzonym rygorze.

– Jeśli to rzeczywiście trucizna, ktoś mu jej dosypał w czasie przerwy w posiedzeniu zarządu: brało w nim udział kilka osób. To mniej więcej wszystko, co mogę teraz powiedzieć. Dopiero zaczynamy.

Prokurator skinął głową. Nie kwapił się, żeby coś powiedzieć.

– Jakie ma pan polecenia? – zapytał Zakrzeński.

– Proszę wyjaśnić sprawę. – Wilk najpierw się uśmiechnął, a potem oblał paśowym rumieńcem. – Panie komisarzu, proszę działać według swojego uznania. Zobaczyłem, co miałem zobaczyć, i wymogom stało się zadość. Chętnie bym panu pomógł, ale... Nie mówię tego, bo myślę, że pan potrzebuje mojej pomocy... Chodzi mi o to, że cała ta sprawa zapowiada się ciekawie z tym arsenikiem, przepraszam, cyjankiem. Niecodzienna rzecz. Chętnie bym zobaczył, jak się rozwinie... Niestety, muszę jechać. Jestem tu trochę przypadkiem. Mam wystąpienie w sądzie na Bemowie i kolega, który ma dyżur, zapytał, czybym tu przy okazji nie zajrzał...

Spojrzał na zegarek.

– Muszę tam być o czternastej trzydzieści – westchnął. – Teoretycznie mam jeszcze trochę czasu, ale nie lubię przyjeżdżać do sądu w ostatniej chwili. Zresztą radiowozu też nie mogę tak dłu-

go trzymać...

To oczywiście bardzo ważne, żeby radiowóz stał beczynnie nie tutaj, tylko w jakimś innym miejscu, pomyślał Zakrzeński. Ale mogło być też tak, że w radiowozie Wilk zostawił swój wielki parasol i teraz obawiał się, że go straci.

– Na dodatek ta rozprawa może trochę potrwać, więc nie wiem, czy dam radę tu dzisiaj wrócić...

– Proszę się nie niepokoić, jakoś sobie poradzimy – zapewnił Zakrzeński, odprowadzając prokuratora do przeszklonych drzwi. – Zadzwoń do pana, jak coś tu się wyklaruje. Formalności możemy załatwić nawet jutro.

– To się nazywa szybkie załatwienie sprawy – powiedziała Zychowicz, kiedy Zakrzeński wrócił do recepcji. – Czy ten gość nie jest jakiś dziwny?

– Jest. Ale spotykałem gorszych. Co z transportem zwłok?

– Jadą. Technicy też zaraz tu będą, bo skończyli z samochodem.

– W porządku.

– Teraz tamci? – Zychowicz machnęła w stronę gabinetu prezesa.

– Nie. – Zakrzeński pokręcił głową. – Zrobimy to w sali posiedzeń. Przynajmniej będą mogli od razu wytłumaczyć co i jak.

– Racja. Musimy chwilkę poczekać, aż go zabiorą. Chce pan zobaczyć resztę budynku i gabinet denata?

O niczym innym nie marzę, pomyślał Zakrzeński. Ale beczynne sterczenie w holu także nie miało większego sensu.

– Dobrze, chodźmy.

Zychowicz z ociąganiem zwróciła się do sierżanta Leńczyka.

– Zaraz wracamy, dopilnuj wszystkiego.

Chłopak sprawiał wrażenie przerażonego powierzonym mu zadaniem. Zakrzeński klepnął go mocno w bark.

– Jakby prezes znowu się rzucał, postraszyć go. Gdyby ktoś próbował uciekać, możesz użyć przymusu bezpośredniego.

Sierżant nie wyglądał na pokrzepionego tymi słowami.

Doszli do windy. Wysiadło z niej właśnie dwóch techników w towarzystwie fotografa. Najstarszy z mężczyzn, który wyglądał na szefa zespołu, przekazał im klucze do gabinetu i samochodu

denata oraz zapowiedział, że czynności w sali posiedzeń zajmą co najmniej pół godziny.

Zakrzeński i Zychowicz skorzystali ze schodów znajdujących się obok windy i zeszli na trzecie piętro. Gdy wchodzili do głównego holu, słyszeli ożywiony gwar rozmów. Sekundę później zapanaowała tam niemal całkowita cisza. Zobaczyli tylko plecy osób znikających w swoich pokojach.

Powoli przeszli się do końca korytarza i z powrotem. Oprócz pleców dostrzegli kilka profili, ale niewiele więcej. Pracownicy rozlokowani po trzech lub czterech w niezbyt dużych pomieszczeniach wyglądali tak, jakby mieli ochotę powskakiwać przez ekrany do środka swoich monitorów.

Sytuacja powtórzyła się niemal dokładnie na drugim piętrze. Na pierwszym natomiast przywitała ich cisza. Tutaj nie było żadnych zgromadzeń na korytarzu – z pewnością dlatego, że przy jednym z drzwi stał mundurowy. Widniała na nich tabliczka z napisem „Dyrektor finansowy”.

Pokój był spory, chociaż nawet w połowie nie tak duży jak gabinet prezesa. Jego wystrój nie różnił się od wystroju innych pomieszczeń, jeśli chodzi o kolorystykę. Natomiast na ścianach zamiast zdjęć osiedli wisiały trzy jaskrawe abstrakcyjne obrazki. Środkiem ciężkości pomieszczenia było z pewnością masywne biurko z ciemnego drewna, na którym leżały laptop i masa papierów w kilku uporządkowanych stosach.

Zeszli na parter. Policjant wyznaczony do pilnowania drzwi wejściowych zdążył się zainstalować na wolnym fotelu za blatem recepcji. Koncentrował się przede wszystkim na ukradkowym zmniejszaniu dystansu dzielącego go od fotela recepcjonistki. Po pierwszym kontakcie z Zakrzeńskim był jednak czujny. Na widok przełożonych zerwał się i stanął prawie na baczność.

Za recepcją było kilka pomieszczeń biurowych i niewielka stółka. Panował w niej gwar, który przeszedł w niemal całkowitą ciszę, gdy Zakrzeński i Zychowicz weszli do środka. Dwie albo trzy osoby przyglądały się nowo przybyłym; pozostałe skupiły się na jedzeniu, jakby od tego zależało ich życie. Udawało im się prawie całkowicie unikać brzękania sztućcami.

Zakrzeński wziął w bufecie wodę mineralną, a Zychowicz – kawę w papierowym kubku. Sprzedawczyni sprawiała wrażenie zdziwionej tym, że zapłacili. Ze zdenerwowania upuściła pięć złotych. Kiedy zobaczyła, że niespodziewani klienci kierują się w stronę drzwi, a nie jedyne wolnego stolika, wydała z siebie westchnienie ulgi.

Wyszli przed budynek. Zychowicz zaprowadziła Zakrzeńskiego do granatowego volvo s80 zaparkowanego na skraju parkingu, otworzyła centralny zamek. Zakrzeński udał zainteresowanie i zajrzał do środka. Tak jak się spodziewał, nic ciekawego nie zobaczył. Na podłodze wałało się kilka papierowych kubków po kawie, na siedzeniu pasażera leżały zepsute parasol i bardzo stary numer „Polityki”. W schowku nie było niczego poza instrukcją, książką pojazdu i GPS-em. W bagażniku znajdowała się tylko prawie pusta butelka z płynem do spryskiwaczy.

Przysiedli na masce. Zychowicz wyciągnęła paczkę zielonych LD i poczęstowała Zakrzeńskiego. Pokręcił głową. Zawahała się, jakby chciała je schować.

– Nie krępuj się – powiedział.

Zapalała papierosa, a on przyglądał się budynkowi. Taras na ostatnim piętrze był zastanawiający. Nadawał się chyba głównie do tego, żeby prezes mógł na niego wyjść i popatrzeć na okolicę, trochę jak księżę podziwiający swoje włości z murów zamku. Widok nie był raczej oszałamiający, same klocki domków jednorodzinnych.

– Mówisz, że w chwili zdarzenia na czwartym piętrze było pięć osób – powiedział w końcu.

– Razem z denatem sześć.

– Skąd mamy pewność, że nie było nikogo innego?

– Asystentka prezesa nie ruszała się stamtąd. Na pewno by zauważyła, gdyby ktoś wchodził.

– Co o niej wiadomo?

– Nazywa się Agnieszka Pająk. Chwilowo zastępuje stałą asystentkę, jest w firmie od niedawna. Trudno powiedzieć, czy można jej na sto procent zaufać, zwłaszcza że to trochę nieprzyjemna dziewczyna.

Zależy pod jakim kątem, pomyślał Zakrzeński.

– Będziemy też mogli sprawdzić, kto sobie otwierał kartą drzwi na ostatnim piętrze, to jest rejestrowane.

– Dobrze. Kto uczestniczył w zebraniu?

– Denat nazywa się Krzysztof Oleńczuk. Trzydzieści siedem lat albo coś koło tego. Dyrektor finansowy. I syn jednego z założycieli firmy.

– Co za niespodzianka.

– Też tak pomyślałam. Okazuje się, że był bardziej niż kompetentny. Zwycięzca olimpiady matematycznej, absolwent SGH i czegoś tam jeszcze, pracował wcześniej w jakichś międzynarodowych korporacjach. Tylko trochę nieobliczalny.

– Rodzina?

– Kawaler. To może oznaczać wiele różnych rzeczy.

Zakrzeński skinął głową. Zychowicz nagle oblała się rumieńcem, co w połączeniu z jej piegami wyglądało jak nagły atak jakiejś choroby skóry. Musiała zauważyć, że Zakrzeński nie nosi obrączki. Zresztą jej kościstych palców także nie zdobiła żadna biżuteria.

– Mówiłaś, że ten z wąsami to jego brat.

– Witold Oleńczuk. Dyrektor do spraw operacyjnych, cokolwiek to znaczy. Starszy o parę lat. Żonaty, bez dzieci.

– Powiedziałaś, że ich ojciec to współzałożyciel firmy. Był, jest? Zawahała się.

– Jest, ale chyba niedługo. Rak w ostatnim stadium, opieka paliatywna, te sprawy.

– Prezes to drugi współzałożyciel?

– Bingo. Skąd wiedziałaś?

Na szczęście nie trzeba było żadnych ceregieli, żeby odważyła się zwracać do niego na ty.

– Chybił trafił.

– Nazywa się Jerzy Zawirski. Ma drugą żonę, kilkoro dzieci, najmłodsze chyba nastoletnie.

– Dobrze. Dalej był jakiś młody z żelem we włosach.

– Jan Kulak. Syn tego od „K”.

Spojrzał na nią pytająco.

– OKZ Development – powiedziała. – Oleńczuk, Kulak, Zawirski.
– Rozumiem. Też taki zdolniacha?

– Wręcz przeciwnie. W teorii odpowiada za marketing, co w praktyce oznacza, że molestuje siatkarki w klubie sponsorowanym przez firmę.

– Co to za klub?

– Nie słyszałaś o OKZ Development Ożarów Mazowiecki? – zdziwienie w głosie Zychowicz było przesadne, podszyte ironią. – Żaden klub w ekstraklasie nie dostarcza kibicom tyle emocji, broniąc się przed spadkiem. Ma w składzie jedną reprezentantkę Polski i jedną Brazylijkę. Reprezentantka jest rezerwowa, Brazylijka przyjechała tu na emeryturę, ale zawsze.

Podkomisarz Zychowicz najprawdopodobniej miała do tematu lokalnej siatkówki stosunek emocjonalny. Znowu sięgnęła po paczkę i wyciągnęła kolejnego papierosa. Chwilę potem wyjęła go z ust bez zapalania i schowała.

– Ograniczam się – wyjaśniła.

– Ta chuda kobieta, jak rozumiem, nie jest od żadnej literki – powiedział Zakrzeński.

– Tak, jako jedyna. Ale niemal od samego początku w firmie. Nazywa się Anna Szulc, odpowiada za sprzedaż. Wdowa z dorosłą córką. I to wszyscy.

– Czyli zrobiliście całkiem dokładne przesłuchania?

– Nie. Większości dowiedziałam się przez telefon od mojej matki chrzestnej. To moja ciotka, mieszka w Ożarowie. Zna firmę od podszewki, pracowała tu jeszcze rok temu. Odeszła na emeryturę.

– Co jej powiedziałaś?

– O tym tutaj? Nic. Chociaż ona i tak zachowałaby dyskrecję.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Zastanawiam się nad jednym – powiedziała Zychowicz.

– Tak?

– Jeśli ktoś rzeczywiście wrzucił mu truciznę do szampana, to musiał ją w czymś przynieść. Fiolka, torebka, nie wiem...

– I co w związku z tym? – Zakrzeński wiedział, dokąd Zychowicz zmierza, ale nie miał zamiaru ułatwiać jej sprawy.

– Nie wiem, czy formalnie nie byłoby wskazane przeszukanie tych osób.

– Świetny pomysł. Oczywiście łącznie z zagłębieniami ciała. W końcu nie wiadomo, gdzie sprawca mógł to coś sobie wsadzić. Nie rozumiem, dlaczego do tej pory nie zrobiliście przeszukania. Moglibyśmy może mieć całe to śledztwo pozamiatane.

Przygryzła wargę i przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu.

– Nie uważasz tego za wskazane?

– Zależy, do czego dążysz. Chcesz z napiętej sytuacji zrobić kompletną rozpierduchę? Wobec tego jak najbardziej wskazane. Myślę, że może być ciekawie. A jeśli chcesz znaleźć fiolkę po truciznie, to przykro mi... Jeżeli coś takiego w ogóle istnieje, dawno jest w oczyszczalni ścieków. Masz pewność, że nikt po śmierci Oleńczuka nie wchodził do kibla?

Zychowicz przez chwilę nie reagowała, potem powoli pokręciła głową.

– Nie mam. Przed naszym przyjazdem panował chaos, nikt nikogo nie pilnował. Rzeczywiście każdy mógł coś spuścić w toalecie.

Wyprostowała się szybko.

– Jadą – powiedziała.

Zakrzeński podążył za jej wzrokiem. Na parking wtaczała się karetka.

– W takim razie chodźmy – zdecydował i zeskoczył z maski.

Zychowicz się nie poruszyła.

– Może powinniśmy od razu z tym skończyć? – zapytała, kiedy na nią spojrział. – Jeśli to wszystko rzeczywiście kompletna bzdura, chyba nie ma sensu nawet ich przesłuchiwać. Zwińmy ludzi i tyle.

Wyglądała trochę jak nadąsana dziewczynka. Na szczęście nic nie wskazywało na to, że się rozpłacze.

– Teraz musimy myśleć także o reputacji naszej firmy – powiedział jej. – Poza tym zawsze może się okazać, że się mylę.

Kiedy noszowi zabierali zwłoki, Zakrzeński wysłał z nimi sierżanta Leńczyka. Zychowicz poprosił o to, żeby asystowała techni-

kom przy pobieraniu odcisków palców od osób zgromadzonych w gabinecie prezesa. W ten sposób na chwilę został wreszcie sam.

Najpierw otworzył drzwi znajdujące się między drzwiami do łazienki a szklanymi drzwiami wejściowymi na ostatnie piętro. Zobaczył dużą salę konferencyjną z prostokątnym stołem, przy którym było miejsce dla dwudziestu osób. Tutaj na ścianach także wisały fotografie osiedli. Poza tym pełno było szklanych gablotek z jakimiś pucharami i dyplomami. Pomieszczenie nie wyglądało na często używane. Zakrzeński podejrzewał, że najbardziej przydaje się do organizowania firmowej wigilii.

Wrócił do holu, przeszedł na drugą stronę i zajrzał do kącika sekretarki. Była to zwykła wnęka odgradzona blatem. Wzdłuż jednej ze ścian, sąsiadującej z gabinetem prezesa, ustawiono metalowy regał ze skoroszytami, większą część drugiej ściany zajmowało okno, w trzeciej były zamknięte drzwi, a obok nich – niewielka gablotka z serwisem do kawy. Jedna półka była pusta. Zakrzeński zorientował się, że tam stały kieliszki do szampana.

Cała wnęka miała najwyżej półtora na półtora metra. Urzędująca tu Agnieszka Pająk mogła się po niej poruszać bez wstawania z czarnego fotela na kółkach, który wyglądał na bardzo wygodny i bardzo drogi. Zakrzeńskiemu wydawało się, że na skórzanym siedzisku ciągle widać odcisk tyłka dziewczyny.

Podszedł do zamkniętych drzwi, otworzył je i zajrzał do środka. Zobaczył małe, niewyobrażalnie zagracone pomieszczenie. Między potężną kserokopiarką a ekspres do kawy przypominający dystrybutor paliwa wciśnięto niewielką lodówkę. Przykucnął przy niej i otworzył drzwi. Najniższa półka była zupełnie pusta, na środkowej stało kilka kartoników mleka skondensowanego, na najwyższej leżała butelka szampana. Obok było z pewnością miejsce na drugą.

Cofnął się do kącika za blatem. Teoretycznie powinien obejrzeć również taras i łazienkę, ale stracił ochotę. Postanowił poczekać na zakończenie zabawy ze zbieraniem odcisków w fotelu sekretarki, który rzeczywiście okazał się bardzo wygodny.

Nie wyglądało na to, że Agnieszka Pająk musi się w pracy prze-

męzczać. Przed monitorem leżał duży kalendarz w skórzanej oprawie i nic więcej, żadnych papierów, listów, faktur. Oczywiście większość pracy wykonywała pewnie na komputerze, ale Zakrzeński podejrzewał, że pierwszym programem, który zobaczy po wyłączeniu wygaszacza, nie będzie Excel, Word ani nawet Outlook. Poruszył myszką i przekonał się, że ma rację, chociaż to, co zobaczył, i tak go zaskoczyło.

Kupowała, a przynajmniej oglądała, rękawiczki z czerwonej skóry, długie, sięgające prawie do łokcia. Zakrzeński nigdy takich nie widział i nie bardzo potrafił sobie wyobrazić, jak się je wkłada. Pomyślał, że bardzo chciałby zobaczyć je na Agnieszce Pająk, najlepiej w połączeniu z białym sweterkiem. Obcisłym białym sweterkiem.

Rozparł się wygodniej i przymknął oczy. W dalszym ciągu widział czerwone rękawiczki, wyraźnie jak powidok. Uświadomił sobie po sekundzie, że zdecydowanie bardziej wolałby zobaczyć, jak Agnieszka Pająk je zdejmuje.

Obudziło go ukłucie w ramię tak ostre, że aż podskoczył. Otworzył oczy, zobaczył wycelowany w siebie nie nóż, ale kościasty palec podkomisarz Zychowicz.

– Sorry – powiedziała. – Technicy poszli. Możemy zaczynać z przesłuchaniami.

– Zawołaj tu najpierw tę dziewczynę – poprosił, podnosząc się z fotela.

Zychowicz rozciągnęła usta w czymś na kształt uśmiechu.

– Prezes się ucieszy.

Zakrzeński wyszedł z wnęki. Nie mógł wykluczyć, że dziewczyna okaże się wyższa od niego, więc przeszło mu przez myśl, żeby przysiąc na blacie. Szybko doszedł do wniosku, że nie będzie dobrze wyglądał, machając nogami nad ziemią. Oparł się więc o blat – w ten sposób niedostatek wzrostu będzie można przypisać niedbałej pozie.

Zobaczył nadchodzące kobiety i od razu się uspokoił. Mógł stać prosto, bo dziewczyna była mniej więcej tego samego wzro-

stu co idąca za nią Zychowicz. Było to jedyne podobieństwo między nimi. Policjantka stanowiła kontrastujące tło, które doskonale podkreślało walory Agnieszki Pająk.

Sekretarka stanęła przed Zakrzeńskim, splotła dłonie na podbrzuszu, lekko przechyliła głowę w prawo. Wyglądała na strapioną, nie na przestraszoną.

– Pani Agnieszka Pająk? – zapytał.

– To nie ja – powiedziała przyjemnym, lekko zachrypniętym głosem.

– Słucham? – zdziwił się.

– To nie ja to zrobiłam – odpowiedziała i parsknęła śmiechem, ale natychmiast się opanowała. – Przepraszam, nie mogłam się powstrzymać.

– Radzilibyśmy zachować powagę – zauważyła stojąca z boku Zychowicz.

Agnieszka Pająk rzuciła jej zdziwione spojrzenie, jakby nie wiedziała, kim ona jest i skąd się wzięła.

– Spróbujmy jeszcze raz – kontynuował Zakrzeński. – Agnieszka Pająk, lat...?

– Dwadzieścia dwa. Panna. Albo Waga. Zależy, o co chodzi.

Zakrzeński gestem powstrzymał Zychowicz, która szykowała się, żeby znowu coś powiedzieć. Policjantka wzruszyła ramionami.

– Przepraszam – Agnieszka Pająk znowu przybrała poważny wyraz twarzy i jeszcze mocniej przechyliła głowę w prawo. – To jest takie okropne. Jak sobie o tym pomyślę, nie mogę tego brać całkiem na serio, bobym zwariowała ze strachu.

Zdawało się, że Zychowicz stłumiła parsknięcie. Zakrzeński ją zignorował.

– Dobrze pani знаła Krzysztofa Oleńczuka?

– Prawie wcale. Wie pan, ja tu jestem od niedawna. Widywałam go, ale rozmawiałam z nim chyba tylko dwa razy. Rozmawiałam to za dużo powiedziane. Przyszedł tu w poniedziałek rano, coś omawiał z prezesem. Podałam im kawę. Za chwilę on wychodzi z gabinetu i mówi, że jego filiżanka jest brudna i żeby mu podać nową. W miarę grzecznie to powiedział, ale filiżanka tak napraw-

dę nie była brudna, miała taką małą smużkę. To akurat był mój pierwszy dzień tutaj, bo ja pracuję na dole, w recepcji głównej. Tutaj przyszedłam na zastępstwo i jeszcze nie wiedziałam, gdzie co jest. Na dodatek byłam trochę zdenerwowana, bo prezes... Oj, znowu za dużo gadam.

Schyliła głowę i spojrzała na Zakrzeńskiego jak skarcona dziewczynka.

– Ktoś mi kiedyś powiedział, że mój język jest jak zwierzątko, które ciągle musi być w ruchu – wyznała. – Ale to nie znaczy, że ja cały czas tyle paplam.

Co robi to ruchliwe zwierzątko, kiedy nie paplasz, pomyślał Zakrzeński i musiał się mocno skupić, żeby zadać następne pytanie.

– I to był ten pierwszy raz?

– Pierwszy raz? – zrobiła bardzo zdziwioną minę. – Aha, pierwszy raz z nim. To znaczy pierwszy raz, jak z nim rozmawiałam. Tak. Drugi raz był dzisiaj przed posiedzeniem. Nie zaraz przed. Pan Oleńczuk przyszedł tu koło dziesiątej, żebym mu coś wydrukowała w kolorze, bo w jego drukarce skończył się tusz. Przyniósł na sticku. To chyba była prezentacja na posiedzenie. Na pewno, bo miałam wydrukować pięć kopii i zszyć. Pełno tam było jakichś wykresów. Nawet ładnie wyglądały, muszę powiedzieć, chociaż to przecież matematyka. A mnie matematyka to się do dzisiaj śni po nocach. Pan był z niej dobry?

– Lepszy byłem z języków.

Te słowa powiedziały się same. Zwykle z takich sytuacji nie wynikało nic dobrego. Tym razem Zakrzeński czuł, że będzie inaczej. Odpowiedź dziewczyny utwierdziła go w tym przekonaniu.

– Ja też! Najbardziej lubiłam francuski, a pan?

Zakrzeński zerknął w bok i zauważył, że Zychowicz przewraca oczami. Żałował, że nie ma jak się jej stąd pozbyć.

– Dobrze, więc Krzysztof Oleńczuk był tu rano – powiedział do Agnieszki Pająk, starając się, żeby zabrzmiało to w miarę oficjalnie. – Proszę nam teraz powiedzieć, co się działo później, przed samym posiedzeniem i w trakcie posiedzenia.

– No tak. W sumie nic szczególnego się nie działo. Oczywiście dopóki on nie...

– Dobrze, zróbmy inaczej. Będę zadawał pytania. O której dziś pani tu rano przyszła?

– O dziewiątej, tak jak zawsze.

– Od tamtej pory była pani cały czas tutaj?

– Tutaj, to znaczy na piętrze? Tak.

– Co pani robiła?

– Siedziałam na swoim miejscu. Raz poszłam do łazienki. Może dwa. Nie, raz, bo ten drugi raz to było tuż przed jedenastą. Prezes kazał mi zanieść do łazienki ręczniki papierowe. Trzymamy je w szafie na zapleczu.

– Prezes był cały czas u siebie?

– Przyszedł po dziewiątej. Może wpół do dziesiątej. Potem nie wychodził.

– Wchodziła pani do jego gabinetu?

– Jak przyszedł, zaniósłam mu kawę. Zawsze rano chce kawę, nawet jak nic nie mówi. W poniedziałek, to był mój pierwszy dzień na zastępstwie, nie wiedziałam i strasznie się... No, był niezadowolony. Więc teraz od razu robię mu kawę. Czasami dzwoni po drugą, ale dzisiaj nie. Jejku, znowu się rozgadałam.

– Nie szkodzi. Wchodziła pani do sali posiedzeń?

– Najpierw rano, żeby zobaczyć, czy tam jest porządek. Potem przed posiedzeniem prezes kazał mi do niej zanieść szampana i kieliszki. Zachowywał się tak, jakbym powinna wiedzieć, że mam to zrobić, chociaż o tym wcześniej nie mówił. No więc zaniósłam. Wyglądał nieźle, ten szampan, prawdziwy francuski. No, ja mogłam się najwyżej oblizać.

Szybkim ruchem języka wokół warg zademonstrowała, jak takie oblizywanie się mogłoby wyglądać.

– Teraz to się oczywiście cieszę, że mnie nie chcieli poczęstować.

– Dobrze. Co potem?

– Potem zaczęli przychodzić. Najpierw ta Anna... Przepraszam, pani dyrektor Anna Szulc. Potem ten młody... Pan dyrektor Jan Kulak razem z panem dyrektorem Oleńczukiem. Nie z tym, co nie żyje, tylko z jego bratem, tym z wąsami, Witoldem. No i pan dyrektor Oleńczuk. Na koniec wszedł do nich pan prezes.

Zrobiła wyczekującą minę. Zakrzeński skinął zachęcająco głową.

– Dosłownie chwilę potem pan prezes wyszedł z sali. Zaraz za nim pan Oleńczuk, ten młody, i poszli do gabinetu.

– Orientuje się pani, po co?

Potrząsnęła głową.

– Mówili coś do siebie?

– Nie, ale to przecież dwa kroki... Prezes był chyba trochę niezadowolony. To znaczy tak mi się wydaje, bo był czerwony na twarzy. Chociaż on w sumie prawie cały czas jest czerwony na twarzy. W sumie też cały czas jest niezadowolony. Więc w sumie nie wiem. Ojej, chyba się zaplątałam.

– Spokojnie. A Krzysztof Oleńczuk? Jak wyglądał?

– Normalnie wyglądał. Zauważyłam, że ma plaster na policzku. Nie, przepraszam, już rano widziałam ten plaster.

– Chodziło mi o to, czy sprawiał wrażenie zdenerwowanego albo coś w tym rodzaju?

– Nie, chyba nie, nie wiem nawet, czy się trochę nie uśmiechał.

– Proszę mówić dalej.

– Zaraz potem z salki wyszedł pan Kulak i wszedł do łazienki. Potem wyszedł jeszcze pan Witold Oleńczuk. Podeszedł do mnie i chwilę rozmawialiśmy.

– Można wiedzieć, o czym?

– Nie wiem, to była trochę prywatna rozmowa – powiedziała poważnie, a potem uśmiechnęła się szeroko. – Żartuję oczywiście. Pytał mnie, jak sobie tu radzę. Wie, że jestem nowa. On jest bardzo sympatyczny. Może się taki nie wydawać przy pierwszym kontakcie, ale jest. Przez chwilę rozmawialiśmy. I on też wszedł do gabinetu. Nie, to nie tak było.

– Nie wszedł?

– Wszedł, tylko najpierw pan Kulak wyszedł z łazienki i powiedział, że musi po coś skoczyć na dół. I poszedł. To było, zanim pan Oleńczuk powiedział, że idzie do gabinetu. O rany, teraz chyba naprawdę panem zakręciłam. Widzi pan, do sądu mnie nie trzeba brać.

– Nie jest tak źle, chyba rozumiem. Najpierw rozmawiała pani

z panem Witoldem Oleńczukiem, potem pan Kulak wyszedł z łazienki i powiedział, że idzie na dół, a potem pan Oleńczuk wszedł do gabinetu. Zgadza się?

– Zgadza się. – Agnieszka Pająk uśmiechnęła się szeroko. – Widzę, że pan potrafi zrozumieć kobietę.

Zychowicz głośno parsknęła i próbowała to ukryć, symulując atak kaszlu. Zakrzeński miał ochotę zamknąć ją na zapleczu.

– Taki mam zawód – stwierdził.

– To fascynujące – westchnęła Agnieszka Pająk. – Może mi pan coś kiedyś opowie o swojej pracy?

Zakrzeński miał kompletną pustkę w głowie. Milczał chyba naprawdę długo, bo w końcu odezwała się Zychowicz.

– Jak długo tam byli?

– Nie wiem – zastanowiła się dziewczyna, cały czas patrząc na Zakrzeńskiego. – Kilka minut? Może pięć? Nie, chyba krócej. Naprawdę nie wiem, mierzenie czasu to nie jest moja specjalność.

– Dobrze – podsumował Zakrzeński. – Co było potem?

– Potem wyszli i wrócili do sali posiedzeń. Pan Oleńczuk, jego brat i pan prezes, wszyscy razem. Nie, przepraszam, najpierw jeszcze pan Kulak wrócił z dołu i wszedł do salki. Zaraz potem oni wszyscy wyszli z gabinetu i też weszli do salki. Dosłownie od razu, no nie wiem, ile to mogło być, dziesięć sekund, może pół minuty, wybiegł pan prezes i kazał mi dzwonić po pogotowie.

– Jeśli dobrze rozumiem, od chwili wniesienia do sali szampa na do momentu, kiedy prezes kazał pani zadzwonić po pogotowie, była pani cały czas tutaj.

Dziewczyna zmarszczyła brwi i pokiwała głową.

– Chyba w ogóle nie wstawałam z krzesła. To znaczy nie wstawałam na pewno, nie było po co.

– Dobrze. Proszę teraz na nim usiąść.

Dziewczyna zdziwiła się, ale posłusznie obeszła blat i usiadła. Zakrzeński stanął tuż za nią. Nie zaplanował tego, od razu zdał sobie jednak sprawę, że będzie miał świetny widok na dekolt dziewczyny. Na razie udało mu się skierować wzrok w inną stronę.

– Ma pani stąd widok na część holu, na drzwi do sali posiedzeń

i do gabinetu prezesa. Drzwi na klatkę schodową i do dużej sali konferencyjnej stąd nie widać.

– Nie. Mimo to wiem, jak ktoś wchodzi albo wychodzi, bo wtedy słyhać takie, nie wiem, jak to nazwać, kliknięcie zamka.

Zakrzeński skinął głową na Zychowicz, która od razu zrozumiała, o co mu chodzi, i odeszła w kierunku drugiej części holu. Gdy tylko zniknęła za załomem ściany, dziewczyna uniosła głowę, spojrzała na Zakrzeńskiego i szybko sięgnęła rękami do piersi. Nie zasłoniła ich, tylko udała, że poprawia dekolt.

– Ładne, prawda? – szepnęła i po minimalnej pauzie wskazała ręką na czerwone rękawiczki na ekranie komputera.

Od strony drzwi wejściowych dobiegło ich coś w rodzaju trzasku. Jeden, drugi... To Zychowicz otworzyła i zamknęła drzwi.

– Mam biały golfik i myślę, że super by to wyglądało razem – rozmarzyła się Agnieszka Pająk. – Ale są drogie, poza tym trochę niepraktyczne.

– Jest pani pewna, że nikt inny tu nie przychodził? – zapytał Zakrzeński głośno, kiedy Zychowicz wyłoniła się zza zakrętu.

– Nie. To znaczy tak, jestem pewna.

– Dobrze. – Zakrzeński z lekkim żalem opuścił punkt widokowy i stanął naprzeciwko dziewczyny. – Ostatnie pytanie. Czy orientuje się pani, kto mógłby źle życzyć zmarłemu?

– Nie wiem – wyglądało na to, że Agnieszka Pająk zastanawia się nad odpowiedzią naprawdę intensywnie. – To znaczy na pewno są jakieś konflikty, zawsze są, nie?

– Nie wie pani, o jakiego rodzaju konflikty może chodzić w tym wypadku?

Pokręciła głową.

– Ja w ogóle jestem tu od niedawna, od miesiąca. Do zeszłego tygodnia siedziałam w dolnej recepcji. Nie żebym miała coś przeciwko plotkom, ale jakoś nie było do tej pory okazji...

– Dobrze – powiedział Zakrzeński. – Na razie pani dziękujemy. Może pani tu zostać.

Zakrzeński wysłał Zychowicz po prezesa, sam wszedł do sali posiedzeń. Najpierw przysiadł na stole. Po jakimś czasie zmienił zdanie i usiadł na krześle denata. Chociaż nie chodziło mu o jakiś

specjalny efekt, ten, który uzyskał, był mu całkiem na rękę. Kiedy prezes Zawirski pokazał się w drzwiach, miał otwarte usta i nie wyglądało na to, że zamierza rozpocząć pogawędkę o pogodzie. Na widok Zakrzeńskiego znieruchomiał i nie powiedział nic.

- Niech pan siądzie na swoim miejscu - poprosił Zakrzeński.

Prezes przez chwilę przyglądał się komisarzowi, wreszcie zajął miejsce u szczytu stołu. Łokcie oparł na blacie, tak jakby chciał, żeby Zakrzeński widział wielkie złote spinki do mankietów. Cały czas nic nie mówił, ale chyba z trudem się powstrzymywał.

Zakrzeński się nie spieszył. Rzucił okiem na Zychowicz, która stała obok drzwi oparta plecami o ścianę, przez dłuższą chwilę przyglądał się prezesowi.

- Pan Zawirski, jeśli się nie mylę.

- Nie myli się pan - odparł wolno prezes.

- Imię?

Na ułamek sekundy twarz prezesa zrobiła się jeszcze bardziej czerwona niż do tej pory, zdołał się jednak opanować. Zanim się odezwał, poluzował krawat. Odślonił przy tym kołnierzyk, chyba o dwa numery za mały.

- Jerzy.

- Data urodzenia?

- Tysiąc dziewięćset czterdzieści trzy. Ożarów.

- Jak rozumiem, jest pan prezesem tej firmy i jednym z właścicieli.

- Mam jedną trzecią udziałów. Do jasnej cholery, dlaczego muszę odpowiadać na takie pytania? Trzeba się było przygotować, a nie marnować mój czas.

- Nie przyjechałem z panem robić wywiadu, to przesłuchanie - powiedział spokojnie Zakrzeński.

Odczekał chwilę. Prezes w końcu się opanował, odsunął trochę krzesło i rozparł się na nim.

- No to niech pan przesłuchuje dalej.

- Krzysztof Oleńczuk, którego śmierć staramy się wyjaśnić, pełnił funkcję dyrektora finansowego. Był także jednym ze współwłaścicieli firmy, zgadza się?

- Nie zgadza się. Udziały, też jedna trzecia, należą do Zbyszka,

jego ojca. Zbyszek jest w stanie ciężkim, walczy z rakiem. I jak go znam, łatwo się nie podda.

– Czym zajmuje się firma?

Prezes zacisnął lewą dłoń w pięść i wykonał taki ruch, jakby chciał nią z całej siły grzmotnąć w stół. W ostatniej chwili miękko położył ją na stole. Potem niemal od razu otworzył dłoń, wyprostował rękę i wskazał nią na pozawieszane na ścianach zdjęcia osiedli mieszkaniowych.

– Jesteśmy deweloperem. Budujemy osiedla mieszkaniowe. Warszawa i okolice, przede wszystkim po tej stronie Wisły, chociaż mamy jeden projekt w Markach. Potrzebna panu bardziej szczegółowa wiedza?

– Na razie nie. Przejdźmy do dnia dzisiejszego. O której przyszedł pan do pracy?

– Dziewiąta z minutami byłem w gabinecie.

– Ktoś do pana przychodził przed posiedzeniem?

– Nie.

– Pan wychodził?

– Tylko raz, do łazienki.

– O której to było?

– Tuż przed posiedzeniem zarządu. Może za dziesięć jedenasta.

– Jeśli dobrze rozumiem, wtedy polecił pan sekretarce zanieść do sali posiedzeń szampana i kieliszki.

– Tak, kiedy wracałem z łazienki, sprawdziłem, czy to zrobiła. Okazało się, że nie.

– Wydał jej pan wcześniej takie polecenie?

Prezes westchnął i machinalnie dotknął krawata, jakby chciał go jeszcze bardziej poluzować, ale nie zrobił tego. Wydawał się teraz całkiem spokojny.

– Nie. Problem w tym, że ta dziewczucha jest na zastępstwie. Moja sekretarka pojechała do sanatorium. Ona by się domyśliła, że ma podać szampana.

– Na jakiej podstawie?

– Na takiej, że porządek posiedzenia obejmował ważne i pozytywne dla firmy wydarzenie. Mamy tu taki zwyczaj, że zawsze świętujemy tego rodzaju okazje lampką szampana.

– O jakim wydarzeniu tym razem mowa?

– Niech pan posłucha – prezes nagle zmienił ton, mówił teraz tak, jakby wydawał polecenia, które słuchający musi wykonać bez dyskusji. – Ma pan wielkie szczęście, że nasz radca prawny jest na urlopie. Chyba będzie go musiał przerwać. To tajemnica spółki, tajemnica handlowa, i nie mam zamiaru o tym mówić tylko dlatego, że ktoś coś sobie ubzdurał. Rozumie pan?

– Rozumiem – odpowiedział Zakrzeński. – Teraz niech pan mnie posłucha. Nie mam pewności, co tutaj zaszło, i na razie wystarczy mi ogólne odpowiedzi na pytania, które zadaję. Jeżeli się okaże, że mamy do czynienia z morderstwem, swoje tajemnice będzie pan mógł wsadzić sobie w dupę. Rozumie pan?

Gdyby nie zaciśnięte pięści, prezes wydawałby się całkiem spokojny. Przez dłuższą chwilę przyglądał się Zakrzeńskiemu bez słowa. Kiedy się w końcu odezwał, w jego głosie zabrzmiało coś na kształt rozbawienia.

– Nie ma pan zupełnie instynktu samozachowawczego. Niech pan sobie nie wyobraża, że to panu ujdzie płazem. Nie zdaje pan sobie sprawy, na kogo się pan porywa.

– Czyli nie rozumie pan. Dobrze, spróbujmy inaczej. W tej chwili mamy dwa wyjścia. Jedno jest takie, że odpowiada pan na moje pytania i w ciągu dziesięciu minut jest po wszystkim. A jak dobrze pójdzie, w ogóle znikamy stąd w ciągu godziny i może pan wracać do pracy w swoim gabinecie. Wyjście drugie jest takie, że opieczętowuję to piętro do odwołania, a wszystkich państwa zapraszam na komendę. Stołeczną, w Warszawie. Jak będę miał dobry humor, przesłucham pana o dwudziestej drugiej. To znaczy o dwudziestej drugiej zaczniemy, no i to pewnie trochę potrwa. Zależy od tego, ile pan miał w życiu adresów zameldowania i tak dalej. Wybór należy do pana.

Prezes odsunął krzesło prawie pod ścianę i z głośnym plaśnięciem położył dłonie na udach. Przez chwilę wydawało się, że ma zamiar się podnieść i wybiec z pomieszczenia. Zamiast tego zaczął mówić szybko, rzeczowym tonem.

– Wczoraj parafowałem umowę kredytową z jednym z banków. Na finansowanie kolejnego projektu. Dzisiejsze posiedzenie mia-

ło na celu zatwierdzenie przez zarząd umowy z bankiem. To właśnie mieliśmy ob... Z tej okazji był szampan.

- Do tej salki przyszedł pan punktualnie o jedenastej?

- Tak. Wszyscy byli na swoich miejscach.

- Pan siedział tutaj, a pozostali?

- W zasadzie nawet nie usiadłem. Młody Oleńczuk siedział tam gdzie pan, jego brat obok niego, po mojej prawej ręce pani Anna Szulc, a za nią młody Kulak.

- Od razu otworzył pan szampana?

- Prawie. Najpierw oczywiście przegłosowaliśmy uchwałę o podpisaniu umowy. Przez aklamację, to była formalność. Potem otworzyłem butelkę i nalałem szampan do kieliszków.

- Potem rozniósł pan kieliszki?

- Oczywiście, że nie. Nie jestem kelnerem. Witold Oleńczuk i pani Szulc wzięli po dwa: dla siebie i dla tych, co siedzieli za nimi.

- Wzniósł pan toast.

- Tak.

- I co się stało w tym momencie?

Po raz pierwszy prezes wyglądał na nieco zbitego z tropu.

- Musieliśmy przerwać.

- Co się stało?

Prezes odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

- Zanim ktokolwiek zdążył się napić, młody Oleńczuk rzucił głupią uwagę.

- Jaka to była uwaga?

- Zasugerował, że firma jest w złej sytuacji.

- A jest?

- Nie jest. Wyniki finansowe nie są może rekordowe, jak choćby rok temu, sprzedaż się trochę wypłaszczyła, ale w dalszym ciągu to bardzo dochodowy biznes.

- Więc skąd ta uwaga?

- Diabli wiedzą. Jeśli Oleńczuk już dotarł do piekła i zdążył im powiedzieć.

- Nie ma pan żadnych przypuszczeń na ten temat?

Prezes wzruszył ramionami.

– On uważał, że zbliża się jakiś wielki kryzys, gospodarka się-
dzie, sprzedaż, ceny mieszkań, ceny ziemi spadną. Że nie powin-
niśmy rozpoczynać nowych projektów i że tak czy inaczej nie do-
staniemy na nie finansowania z banku. No i się pomylił, więc nie
był z tego powodu szczęśliwy. Chciał mi zepsuć tę chwilę, co mu
się zresztą udało.

– Jeśli były między wami takie różnice zdań, dlaczego on zasia-
dał w zarządzie?

– Mówiłem, że w tej spółce mam jedną trzecią udziałów. Ja nie
dyktuję warunków ot, tak, konieczne są kompromisy. Choćby
z Oleńczukami oraz z ich ojcem. Poza tym trzeba mu przyznać, że
na cyferkach się znał, nawet jeśli nie rozumiał, o co naprawdę
chodzi w tym biznesie.

– Dlaczego poszliście do pańskiego gabinetu?

– Kiedy on wyskoczył z tym swoim tekstem, chciał mi pokazy-
wać jakieś cyferki na wydrukach. Nie miałem zamiaru się w to
bawić. Chciałem go przywołać do porządku, ale nie tutaj.

– I w gabinecie przywołał go pan do porządku.

– Powiedziałem, że mam tego dość i że jeśli nie zmieni nast-
wienia, postaram się, żeby przestał być członkiem zarządu.

– Przestraszył się?

– Nie wiem, czy się przestraszył, natomiast był niespodziewa-
nie ugodowy. Cały czas mówił o tym wielkim kryzysie, który ma
się zacząć lada chwila. Dla świętego spokoju obiecałem, że jak się
skończy ten kwartał, wrócimy do kompleksowej oceny naszej sy-
tuacji. Wtedy do gabinetu przyszedł jego brat. Pewnie chciał zała-
godzić sytuację. W zasadzie było po wszystkim. Wróciliśmy tutaj
i wznieśliśmy toast.

– I co się wtedy stało?

– Krzysztof dostał zawału. Albo udaru. A może jednego i dru-
giego jednocześnie, w każdym razie ścięło go z nóg. Wyszedłem
szybko na korytarz i powiedziałem sekretarce, żeby zadzwoniła
po pogotowie. Wróciłem. Jego brat wyskoczył z jakąś bzdurą o za-
pachu gorzkich migdałów i cyjanku potasu. Powiedziałem mu,
żeby się nie wygłupiał. Uparł się i z komórki zadzwonił po was.

– Nie wierzy pan w to, że Krzysztofowi Oleńczukowi ktoś dodał

trucizny do szampana?

Pierwszą reakcją prezesa było głośne parsknięcie.

– Oczywiście, że nie.

– Rozumiem, że nie widział pan, żeby ktoś mu czegoś dolewał lub czegoś dosypywał do kieliszka?

Prezes znowu parsknął, jeszcze głośniej.

– Nic takiego nie miało miejsca. Przecież staliśmy wszyscy dookoła tego stołu i patrzyliśmy na siebie. Pan myśli, że ktoś by nie zauważył jakichś podejrzanych ruchów?

– To prawie wszystko – oświadczył Zakrzeński. – Chciałbym jeszcze zapytać, czy według pana ktoś mógł mu źle życzyć, zwłaszcza któraś z osób obecnych wtedy w tym pomieszczeniu.

Prezes przez chwilę przyglądał się Zakrzeńskiemu bez słowa.

– Prawdę mówiąc, chyba nikt tu za nim szczególnie nie przepadał. Może właśnie zdał sobie z tego sprawę i serce mu pękło? To bardziej prawdopodobne niż ta wasza trucizna.

Wstał i ruszył w kierunku drzwi.

– Dziękuję za współpracę – rzucił za nim Zakrzeński. – Dopóki nie skończymy przesłuchań, proszę nie wracać do gabinetu. Może najprościej by było, gdyby pan poszedł na obiad.

Prezes, który doszedł do drzwi, odwrócił się powoli. Na twarzy był teraz nie czerwony, tylko bardzo blady.

– Ja jeszcze z tobą nie skończyłem – powiedział do komisarza. – Tak naprawdę jeszcze z tobą nie zacząłem.

Pchnął mocno drzwi. Wydawało się, że wypadną z framugi, tymczasem zamknęły się za nim bezgłośnie.

– Nieźle – powiedziała Zychowicz. – Muszę przyznać, że się z nim nie patyczkujesz.

– Nie lubię, jak ktoś mnie próbuje straszyć.

– Jesteś pewien, że on nic nie wskóra w Komendzie Stołecznej?

– Lepiej mi powiedz, jak z tym wszystkim do nas dotarliście.

Zychowicz wyglądała na trochę zmieszana.

– Szef naszej dochodzeniówki studiował z twoim szefem w Szczytnie.

– Rozumiem – kiwnął głową Zakrzeński. – Powinno być okej. Idź teraz po Kulaka.

Ciekawe, czy komendant stołeczny poluje, pomyślał, kiedy wyszła.

Jan Kulak zobaczył Zakrzeńskiego na krześle Krzysztofa Oleńczuka i prawie podskoczył.

– Łał – rzucił, kręcąc głową. – Ma pan pomysły.

– Niech pan siądzie na swoim miejscu – polecił Zakrzeński.

Rzuciwszy ukradkowe spojrzenie, Kulak obszedł stół i zajął miejsce w rogu pokoju przy oknie. Zychowicz usiadła koło Zakrzeńskiego na krześle, które w czasie posiedzenia zajmował Witold Oleńczuk.

– Pan Jan Kulak, zgadza się?

Kulak kiwnął głową i jednocześnie szeroko ziewnął, nie zakrywając dłonią ust.

– Sorki – mruknął. – Trochę wczoraj... Trochę jestem niewyspany.

– Rok urodzenia?

– Osiem jeden.

– Rozumiem, że jest pan członkiem zarządu spółki?

– Do spraw tego, marketingu – odpowiedział Kulak, znowu ziewnął i przejechał ręką po swojej wyželowanej fryzurze.

– Dwadzieścia siedem lat to chyba dosyć młody wiek jak na takie stanowisko?

– Zdolny jestem. – Kulak wzruszył ramionami. – No dobra, jasne, że jakby moja mamuśka nie miała jednej trzeciej udziałów... Powiedzmy, moja kariera byłaby trudniejsza. Ale skoro ma, to co mam robić, być jakimś durnym analitykiem za pięć kawałków? Albo jakieś kredyty sprzedawać? Ale to nie jest tak, że ja jestem idiotą, który nie wie, co robi. Mamy świetny zespół siatkarek, pierwsza liga.

– Świetny? – zapytała zdziwiona podkomisarz Zychowicz.

– Dobry. Co najmniej dobry. W końcu nie spadł z ligi, nie? W przyszłym roku będzie lepiej. Mamy dwa transfery na oku, teraz zresztą powinno być łatwiej, żeby je... – zamilkł z bardzo zdziwioną miną.

- Teraz? – podchwycił Zakrzeński. – Co pan miał na myśli?

- To, że teraz się zaczyna, jak to się nazywa... okno transferowe. Co innego miałem mieć na myśli?

Cofnął się z krzesłem, jakby chciał się od nich maksymalnie oddalić.

- Sponsorowanie siatkówki to chyba nie jest sztuka dla sztuki, prawda? – zapytał po chwili Zakrzeński.

- Nie rozumiem.

- Chodzi mi o to, że musi się firmie opłacać.

- Pewnie, że się opłaca. Ile osób dzięki temu usłyszało nazwę OKZ Development?

- Ja nie.

- Nie mówię, że każdy w Polsce. W ogóle czy mógłby mi pan wyjaśnić...

- Jakiego rzędu korzyści przynosi sponsorowanie klubu?

- Że co?

- Ile wydajecie na klub, a ile z tego macie?

- Jezu, skąd ja mam wiedzieć? Przecież nawet bym nie wiedział, jak to policzyć.

Znowu zamilkł z jeszcze bardziej zdziwioną miną.

- Ktoś w spółce to liczył? – zapytał Zakrzeński.

Kulak wyglądał, jakby miał coś odpowiedzieć. Zamiast tego zaczął gwałtownie trzeć oczy. Sprawiał wrażenie wyjątkowo zmęczonego.

- Słyszałem, że Krzysztof Oleńczuk zajmował się tu liczeniem.

Kulak przestał wreszcie trzeć oczy i spojrzał na Zakrzeńskiego.

- Zajmował się – potwierdził. – I czasem narzekał, że trochę za dużo wydajemy. On zawsze do wszystkich miał pretensje, że tu za dużo, tam za mało.

- Czy to dlatego powiedział pan, że teraz będzie łatwiej zorganizować te transfery?

- No pewnie tak. Wyrwało mi się. Nie płaczę za gościem, on też by za mną nie płakał.

- Ale to on nie żyje.

- Chyba nie myślicie, że ja go... Przecież to bzdura. Jakby się ludzie mieli za takie rzeczy zabijać, to jego dawno choćby prezes...

Milczenie i zdziwiona mina po raz trzeci.

– Właśnie pan zasugerował, że między prezesem a Krzysztofem Oleńczukiem był konflikt – podchwycił Zakrzeński. – Na czym on polegał?

– Nie mam pojęcia.

– Coś pan chyba musi wiedzieć.

– Gość znowu wyskakiwał z tymi swoimi cyferkami. Coś tam za mało, coś tam za dużo, jakieś szacunki mu wychodzą tak, jakieś inaczej. Szczegółów nie znam.

– Te sprawy nie były poruszane na posiedzeniach zarządu?

– Myśli pan, że ja wszystkiego słucham na posiedzeniach? Mam swoje sprawy. To znaczy drużynę. To znaczy marketing.

Zakrzeński przez chwilę nic nie mówił. Chłopak nie wytrzymał.

– Przecież nie wiecie na pewno, że to ten, jak to się nazywa... No, że to trucizna? Na pewno się okaże, że to zawał. Musi się okazać. Przecież to absurd! Kto mu to miał zaserwować?

– No właśnie, pomówmy o tym. O której pan tu przyszedł?

– Tuż przed jedenastą. Żeby się nie spóźnić, bo prezes tego nie lubi. Jak zobaczyłem, że Oleńczuk idzie w kierunku windy, znaczy stary Oleńczuk, Witold, bo on siedzi na trzecim piętrze, tak jak ja, poleciałem za nim i razem tu przyszliśmy.

– Ktoś był w środku?

– Szulc. To znaczy nie w środku, na tarasie. Paliła. Ona zawsze kopci. Weszła do środka, jak usiedliśmy, i zaraz przyszedł młodszy Oleńczuk.

– Rozmawialiście o czymś?

– Nie, nikt nic nie mówił. Młodszy Oleńczuk powiedział, że będzie popijawa. Szampan stał na stole. Zaraz potem przyszedł prezes, otworzył butelkę...

– Od razu?

– Najpierw niby było głosowanie, to znaczy on zapytał, czy ktoś jest przeciw. Nikt nie był. Wtedy otworzył, nalał, dostaliśmy kieliszki i wzniósł toast.

– Co dokładnie powiedział?

– Za „Karmazynowy Port”. Nie, „Karmazynową Przystań”, bo tak się nazywa projekt, o który chodziło. Mieliśmy się napić, kie-

dy Oleńczuk, młodszy oczywiście, wyskoczył ze swoim.

– Co dokładnie powiedział?

– Kurde, dokładnie? Coś, że my do tej przystani nie dopłyniemy. I zaczął pieprzyć o wynikach, nie, o cyferkach, że mu się cyferki nie zgadzają. Jak zawsze. Chciał coś prezesowi pokazywać, jakieś wykresy. I wtedy prezes się wściekł. Zabrał go do swojego gabinetu. Potem wrócili...

– Nie, interesuje mnie właśnie to, co się działo w tej przerwie.

– Spoko. Szulc od razu wyskoczyła na taras na fajkę, jak to ona. Pomyślałem, że też skorzystam z okazji i skoczę do kibla. No bo... Co tu dużo mówić, trochę wczoraj zabalowałem i mam kaca. Spałem może ze dwie godziny. Prawdę mówiąc, jak powąchałem tego szampana, to mnie trochę skręciło. Nie że jakiś zły, prezes ma gust w takich sprawach, tylko ja wczoraj... W każdym razie przez chwilę miałem wrażenie, że zaraz puszczę pawia. Szczerze mówiąc, pomyślałem, że by mi ulżyło. Wiedziałem, że i tak będę musiał wypić tego szampana.

– Będzie pan musiał?

– Oj, prezes by mi nie wybaczył, gdybym nie wypił. Dla niego to wielka sprawa, cała ta umowa czy o co tam chodzi. No to poszedłem do kibla...

– Od razu?

– Na co miałem czekać? – zdziwił się Kulak.

Zamilkł i na jego twarz wrócił wyraz wielkiego zdziwienia. Zakrzyński zorientował się, że Kulak patrzy na papiery denata.

– Tak?

– Nie musi mnie pan tak dręczyć, skoro pan wie. Moje odciski na jego papierach są stąd, że ich dotknąłem. Tych papierów.

– Dziękuję za ułatwienie pracy. Nie mamy jeszcze wyników. Po co pan dotykał papierów?

– Nie wiem, dla żartu. Nie wiedziałem przecież, że facet za chwilę wykorkuje. Powiedziałem do jego brata, że fajnie by było zobaczyć, co on tam wyprodukował, co chciał pokazywać prezesowi. Starszy Oleńczuk tak na mnie spojrział, że mi się odechciało gadki. Zresztą on zawsze się tak gapi, jest całkiem drewniany, bez poczucia humoru.

– Proszę pokazać, jak to wyglądało.

Kulak westchnął, rzucił okiem na Zychowicz, jakby oczekiwał od niej pomocy, wstał, obszedł stół i zatrzymał się tuż przy krześle Zakrzeńskiego. Wyciągnął prawą rękę i zbliżył ją do papierów Oleńczuka.

– O, tak jakoś. Tylko tyle. No i poszedłem.

– Gdzie stał jego kieliszek?

Kulak przez dłuższą chwilę nic nie mówił. Potem przesunął prawą rękę w lewo i wskazał miejsce na stole oddalone o nie więcej niż dwadzieścia centymetrów. Popatrzył na Zakrzeńskiego.

– Kurwa, przecież pan chyba nie myśli... Musiałbym mieć zupełnie nierówno pod sufitem, żeby mu wtedy coś wrzucić. Zresztą Szulc była na tarasie, starszy Oleńczuk siedział obok, o tam, gdzie ona teraz siedzi. Na pewno potwierdzą, że nie zbliżyłem ręki do tego pieprzonego kieliszka.

– Spokojnie – powiedział Zakrzeński. – Co było potem?

Kulak chciał się cofnąć pod ścianę – może po to, żeby być jak najdalej od feralnego miejsca. Nie patrzył pod nogi, dlatego potknął się o skórzaną teczkę, która w dalszym ciągu leżała na podłodze. Aby utrzymać równowagę, zrobił kilka szybkich kroków w stronę drzwi. Z trudem chyba powstrzymał się przed wybiegnięciem z sali.

– Co było potem? – powtórzył Zakrzeński.

– Potem? Poszedłem do tego kibla. Odechciało mi się rzygać, więc tylko przemyłem twarz. Jak wyszedłem, starszy Oleńczuk stał przy blacie i gadał z sekretarką, więc pomyślałem, że zdążę skoczyć do siebie po papiery. Materiały na posiedzenie. Wcześniej się spieszyłem i zapomniałem zabrać. Gabinet mam piętro niżej, tuż przy schodach.

– I gdzie one są? – Zakrzeński spojrzał wymownie na część stołu znajdującą się przed krzesłem Kulaka, która była pusta.

– Nie przyniosłem ich w końcu. Nie mogłem ich znaleźć, nie było czasu drukować na nowo. W końcu pomyślałem, że lepiej będzie nie mieć papierów, ale się nie spóźnić. No i dobrze zrobiłem, bo oni wrócili zaraz po mnie.

– Kiedy pan schodził, ktoś się kręcił koło schodów albo windy?

- Nie.
- A kiedy pan wrócił do sali, ktoś tu był?
- Szulc była, to znaczy na tarasie, z fajką, dopiero jak oni wrócili, weszła z powrotem.
- Proszę mi opowiedzieć, co się stało, jak wznieśliście toast.
- Co się stało? On upuścił kieliszek, zaczął się tak jakoś zataczać i upadł. Jego brat się nad nim pochylił i nagle zaczął mówić, że to trucizna i żeby dzwonić po policję, chociaż prezes chciał mu prawie siłą wydrzeć telefon.
- Co pan wtedy pomyślał?
- Ja? Co miałem myśleć?
- Czy panu też się wydawało, że Krzysztof Oleńczuk mógł zostać otruty?
- Rany, skąd. Raczej że Oleńczuk, ten stary, jest w jakimś szoku czy coś.
- Dobrze. Tyle wystarczy. Na razie może pan wracać do siebie.
- Ostatnie słowa wypowiedział do zamykających się drzwi. Być może Kulak pobiegł do łazienki, bo przez ostatnie minuty rozmowy wyglądał, jakby znowu chciało mu się wymiotować.
- No i co myślisz? - zapytała Zychowicz.
- Zakrzeński wzruszył ramionami.
- Szczeniak i dureń. A ty co myślisz?
- Ja zrozumiałam, dlaczego drużyna OKZ Development Ożarów Mazowiecki jest tak bardzo do dupy.

Kiedy Witold Oleńczuk stanął w drzwiach sali posiedzeń i zobaczył Zakrzeńskiego na krześle, które jeszcze niedawno zajmował jego brat, przez jego twarz przemknęło zdziwienie, a jego wąsy lekko drgnęły. Nic nie powiedział, stał bez ruchu, nie okazywał żadnych innych emocji.

- Proszę zająć miejsce, które pan zajmował w czasie posiedzenia - polecił Zakrzeński.

Oleńczuk wszedł do sali, Zychowicz wślizgnęła się za nim i tym razem usiadła na krześle prezesa. Mężczyzna ruszył w stronę krzesła po prawej, lecz zatrzymał się w połowie drogi.

- Czy mogę? – zapytał, wskazując na leżącą na podłodze teczkę.
- To pańska teczka?
- Tak.
- W takim razie proszę.

Oleńczuk podniósł teczkę, obejrzał ją szybko, jakby chciał ustalić, czy doznała jakichś zniszczeń, i postawił ją mniej więcej w połowie drogi między swoim krzesłem a krzesłem zajmowanym przez Zakrzeńskiego.

- Stała tutaj – wyjaśnił. – Dlatego się na nią przewrócił.

Zakrzeński skinął głową.

- Kiedy to się stało – przypomniał – pan od razu uznał, że brat został otruty. Dlaczego?

- Nie od razu. Przyklęknąłem przy nim, żeby sprawdzić tętno. Wyczułem je, ale Anna Szulc zwróciła mi uwagę, że on nie oddycha. Rzeczywiście tak było, więc chciałem zrobić sztuczne oddychanie. Pochyliłem się i poczułem zapach gorzkich migdałów. Wtedy zrozumiałem, co tu się właściwie stało.

Mówił spokojnie, rzeczowo, jakby zdawał raport ze zdarzenia, w którym uczestniczył, ale które niespecjalnie dotknęło go osobiście.

- Skąd pan wie, że cyjanek ma zapach gorzkich migdałów? – zapytał Zakrzeński. – Z powieści kryminalnych?

- Ze studiów – odparł Oleńczuk. – Kończyłem WAT, przez ładnych parę lat służyłem zawodowo. Cyjanek bywał wykorzystywany jako gaz bojowy. Niezbyt często, mimo to wspominano o nim w programie studiów.

Były zawodowy żołnierz. Pewnie dlatego tak spokojnie podchodzi do śmierci własnego brata, pomyślał Zakrzeński. Chociaż nie można było z góry wykluczać innego wytłumaczenia.

- Zaczął pan to sztuczne oddychanie?

- Nie. W momencie, w którym zorientowałem się, że to cyjanek, wiedziałem, że to bezcelowe. Żeby wywołać tak silną reakcję w tak krótkim czasie, dawka musiała być naprawdę duża. Wyglądało na to, że nic go nie uratuje. Poza tym, szczerze mówiąc, pomyślałem też o sobie. W takim stężeniu nawet to, co miał na ustach, mogło być dla mnie groźne.

Bardzo żołnierskie podejście, pomyślał Zakrzeński.

– Kiedy pan zdecydował, że to trucizna, czy przyszło panu na myśl, kto mógł jej użyć?

– Nie zastanawiałem się nad tym.

– W ogóle?

– W ogóle. Koncentrowałem się na tym, żeby zabezpieczyć miejsce zdarzenia do waszego przyjazdu.

– A potem? W gabinecie prezesa miał pan ponad dwie godziny, żeby się nad tym zastanowić.

– Oczywiście myślałem o tym trochę. Nie doszedłem do żadnych wniosków.

– Nie przychodzi panu do głowy nikt, komu śmierć pańskiego brata byłaby na rękę?

– Muszę panu coś wyjaśnić, komisarzu. Nie byliśmy z bratem zbyt blisko. Nie było między nami jakiegoś szczególnego konfliktu, przynajmniej nie obecnie, ale stykaliśmy się właściwie tylko tutaj. Niewiele wiem o jego życiu prywatnym. Poza tym, że ktoś go pobił wczoraj wieczorem, jak pan zapewne zauważył.

– Skąd pan wie, że to było wczoraj wieczorem?

– Bo widziałem go w przelocie wczoraj po południu i nie miał wtedy opatrunku na twarzy.

– Cenna informacja. Będziemy wyjaśniać, kto to zrobił. Ale jeśli pański brat został otruty, musiała to zrobić jedna z osób biorących udział w dzisiejszym posiedzeniu.

Oleńczuk przez chwilę przyglądał się Zakrzeńskiemu w milczeniu, wreszcie skinął głową.

– Czy jest wśród tych osób taka, która mogłaby być podejrzana?

– Tak naprawdę w grę wchodzi chyba tylko ja.

Powiedział to tym samym spokojnym tonem, ale jego wąsy za-drżały przy tym dwa razy.

– Dziękuję za szczerść. Jaki byłby pański motyw?

– Najprostszy, jaki może być. Pieniądze.

– Będę wdzięczny, jeśli powie pan o tym więcej.

– Nasz ojciec jest w bardzo ciężkim stanie. Rak, którego nie da się operować. Do ojca należy jedna trzecia udziałów w OKZ Deve-

lopment. O ile mi wiadomo, nie sporządził testamentu, więc w chwili jego śmierci, która jest kwestią tygodni, udziały te przejdą na jego żyjące dzieci. W obecnej sytuacji na mnie.

– O jakiej kwocie mówimy?

– OKZ Development jest wyceniane na jakieś dziewięćdziesiąt milionów złotych. Czyli udziały, które przypadłyby mojemu bratu, a przypadną mi, warte byłyby piętnaście milionów. Do tego połowa prywatnego majątku ojca, dwa do trzech milionów. Czyli łącznie chodziłoby o jakieś osiemnaście milionów.

Zapadła cisza. Zakrzeński usłyszał, jak Zychowicz przełyka ślinę.

– Zdaję sobie sprawę, że to suma robiąca wrażenie – kontynuował Oleńczuk. – Pozwolę sobie parę rzeczy wyjaśnić. Po pierwsze, jak mówiłem, większość tej kwoty to wartość udziałów w spółce. Przy obecnej sytuacji własnościowej nie do spieniężenia, przynajmniej nie w pełnej wartości. Wartość spółki może oczywiście zmaleć. Nie mówię, że tak się stanie, ale obecnie to bardziej prawdopodobne niż to, że wzrośnie. W skrajnym scenariuszu, czyli w przypadku bankructwa, spadłaby oczywiście do zera. Po drugie potrzeby moje i mojej żony z nadatkiem pokrywa to, co oboje zarabiamy. Nie mamy dzieci. Ta część majątku, którą i tak bym odziedziczył po ojcu, w zupełności zabezpieczyłaby nasze potrzeby. I po trzecie faktem jest, że nie miałem zbyt bliskiej relacji z bratem. To nie oznacza jednak, że rozważałbym zabicie go.

Punkt po punkcie, w pełni logicznie i zupełnie spokojnie. Prawdopodobnie to właśnie przygotowaniem tej przemowy Oleńczuk zajmował się w czasie spędzonym w gabinecie prezesa.

– A poza panem? – zapytał Zakrzeński.

– Poza mną nie widzę w tym gronie nikogo, komu można by przypisać silniejszy motyw.

– Co może nam pan powiedzieć o konflikcie pomiędzy pańskim bratem a prezesem Zawirskim?

Witold Oleńczuk nie okazał zdziwienia. Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Ja bym powiedział przede wszystkim, że konflikt to za mocne

słowo. Co nie znaczy, że nie dochodziło między nimi do pewnych napięć. Powód? Mój brat uważał, że sytuacja spółki nie idzie w dobrą stronę i że wyniki finansowe wkrótce zdecydowanie się pogorszą. W ogóle był sceptyczny co do perspektyw sektora nieruchomości i dużo o tym mówił. Częściowo chyba po to, żeby prowokować prezesa, który w ogóle nie chciał o tym słyszeć.

– Pański brat tylko o tym mówił czy proponował jakieś rozwiązania?

– Uważał, że powinniśmy jak najszybciej się dokapitalizować. Poprzez giełdę albo znaleźć inwestora w inny sposób. Prezes nie chciał o tym słyszeć. Uważał, że na tym straci, poza tym zupełnie nie w smak mu była możliwość utraty kontroli nad spółką.

– Jakie jest pańskie zdanie na ten temat?

– Nie wyrobiłem sobie zdania. Prawdopodobnie podwyższenie kapitału będzie konieczne, ale może rzeczywiście nie w tej chwili. Wobec oporu prezesa to czysto teoretyczne rozważania.

– Jego udziały wystarczyłyby do zablokowania takiej decyzji?

– Pani Kulak, która też kontroluje jedną trzecią udziałów, kieruje się praktycznie wyłącznie tym, co mówi prezes. Pod warunkiem, że jej syn ma swoją... Ma swoje stanowisko w zarządzie. Razem to dwie trzecie głosów. Nawet gdybym się przychylił do stanowiska Krzysztofa, nic by z tego nie wynikło.

– Jeśli pana brat tak denerwował prezesa, dlaczego tolerował go w zarządzie?

– Bo musiał się liczyć z naszym ojcem i ze mną. W takim sporze z pewnością wzięłbym stronę Krzysztofa. Prezes na pewno wie, co robi. Miejsce, w którym nasza firma teraz się znajduje, to w dużej mierze jego zasługa. Nikt nie jest jednak nieomylny. Nawet najlepszy przywódca potrzebuje opozycji patrzącej mu na ręce.

Zakrzeński otwierał usta, żeby zadać kolejne pytanie, lecz Witold Oleńczuk powstrzymał go gestem.

– Jeśli można. Rozmawiam z panem szczerze o sprawach spółki, bo rozumiem, że to wszystko objęte jest tajemnicą śledztwa.

– Oczywiście.

– Tak czy inaczej, jak pan widzi, mój brat mógł prezesa iryto-

wać. Trudno na tej podstawie uznać, że prezes miał powód, żeby się go obawiać albo żeby się go pozbyć.

– A pan Kulak?

Witold Oleńczuk pozwolił sobie na lekki uśmieszek.

– On z pewnością nie przepadał za moim bratem, bo Krzysztof wytykał mu niekompetencję. Niewiele z tego wynikało: o jego niekompetencji wiedzą wszyscy, także on sam. Krzysztof najchętniej skończyłby ze sponsorowaniem klubu. Nie miał narzędzi, żeby to przepchnąć.

– Pan Kulak ma jeden głos w zarządzie, prawda?

– Zarząd, komisarzy, to struktura wymagana przez Kodeks spółek handlowych. Ważne jest, że pani Kulak ma jedną trzecią udziałów, a prezes drugie tyle. Prezes zrobi może nie wszystko, ale na pewno wiele, żeby mieć w niej wierną sojuszniczkę.

– Pani Szulc?

– Pyta pan, czy mogła mieć powód, żeby zabić mojego brata? Wkraczamy w rejony fantazji.

Nie wyjaśnił więcej, ale Zakrzeński nie nalegał.

– Dobrze – powiedział. – Teraz proszę opowiedzieć, co dokładnie zdarzyło się dzisiaj przed południem.

– Przyszedłem tuż przed jedenastą, razem ze mną przyszedł Kulak. W sali była tylko Anna Szulc, to znaczy stała na tarasie z papierosem. Potem przyszedł Krzysztof, rzucił jakiś żart. Zauważyłem, że ma na twarzy opatrunek, ale nic nie powiedział. Zaraz potem przyszedł prezes. Najpierw głosowaliśmy nad umową kredytową na finansowanie „Karmazynowej Przystani”, naszego nowego projektu. To była oczywiście formalność, ewentualnie Krzysztof mógł się postawić i zagłosować przeciw, ale tego nie zrobił. Prezes otworzył szampana i rozlał do kieliszków. Wziąłem dwa z brzegu i jeden podałem Krzysztofowi. Prezes wzniósł toast. Wtedy Krzysztof, zanim jeszcze ktokolwiek zdążył się napić szampana, rzucił, że my do tej przystani nie dopłyniemy albo coś w tym rodzaju. Próbował wszcząć dyskusję na temat przyszłości spółki. Prezes jak zwykle nie chciał tego słuchać. Zażądał, żeby Krzysztof poszedł z nim do gabinetu. Wyszli. Po chwili zdecydowałem, że pójdę za nimi.

– Co zrobiły pozostałe osoby?

– Pozostałe osoby? Anna Szulc od razu wyszła na papierosa. Jan Kulak wyszedł z sali. To znaczy nie wyszedł od razu, ale zatrzymał się koło mnie, obok miejsca Krzysztofa. Nawet chyba dotknął jego papierów. Udawał, że go ciekawi, jakie dane Krzysztof chciał pokazywać prezesowi.

– Gdzie w tym czasie stał kieliszek pańskiego brata?

– Gdzie stał? Ach, rozumiem, do czego pan zmierza. Stał koło jego papierów, ale Kulak na pewno nic do niego nie wrzucił. Zauważyłbym to, patrzyłem w jego stronę.

– Jest pan tego absolutnie pewny?

– Jeśli będzie trzeba, potwierdzę to pod przysięgą.

– Dobrze. I co dalej?

– Wyszedł. Ja wyszedłem zaraz po nim. Zamieniłem parę słów z sekretarką, głównie dlatego, że nie chciałem tak od razu wchodzić do gabinetu prezesa. Bądź co bądź chciał rozmawiać z bratem na osobności. Potem Kulak wyszedł z łazienki i poszedł na dół, a ja w końcu wszedłem do gabinetu.

– Jak wyglądała sytuacja w środku?

– Wydaje mi się, że prezes osiągnął swoje. Powiedział, że Krzysztof zdecydował się nie komplikować posiedzenia w zamian za obietnicę, że do tematu wrócimy pod koniec kwartału. Krzysztof potwierdził.

– Jakie sprawiał wrażenie?

– Prawdę mówiąc, odniosłem wrażenie, że jest mu wszystko jedno. Chciał chyba wyprowadzić prezesa z równowagi i to mu się udało. Nie próbował tego potem eskalować.

– Wróciliście panowie do sali posiedzeń...

– Tak. I za chwilę miało miejsce to... tragiczne zdarzenie.

– Dobrze – powiedział po chwili Zakrzeński. – To by było prawie wszystko. Chciałbym tylko, żeby pan się zastanowił, co jeszcze może mi pan powiedzieć o bracie, o jego życiu. Rozumiem, że nie byliście ze sobą blisko...

– Widzi pan, komisarzu – wszedł mu w słowo Witold Oleńczuk. – Prawdopodobnie to ja będę się musiał zająć organizowaniem pogrzebu. Tymczasem nie mam zielonego pojęcia, kogo po-

winieniem zawiadomić.

– Pański brat nie miał żadnej dziewczyny, narzeczonej?

– Dziewczyny miewał, od czasu do czasu i na krótko. Czy w tej chwili? Nie wiem. Szczerze mówiąc, nigdy nie byłem w jego mieszkaniu.

– Jaka jest między wami różnica wieku?

– Sześć lat, niecałe. Ja mam czterdzieści dwa lata, on we wrześniu skończyłby trzydzieści sześć. Zdaje się, że piętego. Wiek to była najmniejsza z różnic.

Wstał. Kolejne pytanie nie padło, więc skinął głową na pożegnanie, chociaż Zakrzeński miał wrażenie, że zasalutuje.

– Osiemnaście baniek – powiedziała z ożywieniem Zychowicz, kiedy za Witoldem Oleńczukiem zamknęły się drzwi. – Gra warta świeczki. To, że sam o tym mówi, nic nie znaczy. Wie, że i tak byśmy się dowiedzieli. No i miał okazję. Został tu sam, oczywiście nie licząc Szulc na tarasie. Nie wyglądasz mi na przekonanego.

– Najpierw ktoś mnie musi przekonać, że to rzeczywiście było zabójstwo – powiedział Zakrzeński. – Przyrowadź tę Szulc.

Wydawało się, że widok Zakrzeńskiego na krześle Krzysztofa Oleńczuka w ogóle nie zaskoczył Anny Szulc. Po prostu zatrzymała się w drzwiach i patrzyła na komisarza wyczekująco, a kiedy poprosił ją o zajęcie tego miejsca, które zajmowała w czasie posiedzenia, bez słowa obeszła stół i usiadła na krześle przy drzwiach na taras. Zychowicz znowu wybrała krzesło prezesa.

– Przepraszam, że musiała pani tyle czekać.

– Nie szkodzi – odpowiedziała dosyć niskim, nieco schrypniętym głosem.

– Pani Anna Szulc, urodzona...

– Siódmy marca tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt cztery.

Większość kobiet w tym wieku dawała po sobie poznać, że to pytanie nie sprawia im przyjemności. Niektóre oburzały się otwarciem. Prawie zawsze odpowiedzi towarzyszył jakiś grymas. Anna Szulc odpowiedziała od razu, z pełną swobodą. Sprawiała wrażenie kogoś, kto niespecjalnie przejmuje się swoją atrakcyj-

nością lub jej pozorami. Jej szary żakiet raczej nie pochodził z najnowszej kolekcji topowego projektanta, nie nosiła biżuterii, a jeśli miała jakiś makijaż, to wyjątkowo oszczędny. Zresztą żaden makijaż nie zdołałby chyba pomóc jej zniszczonej, pożółkłej skórze. Mimo to Zakrzeński zdał sobie sprawę, że musiała być kiedyś bardzo atrakcyjną kobietą. Jej twarz nie była może ładna, ale z pewnością interesująca, z mocno wystającymi kośćmi policzkowymi i skośnymi oczami. Świetnie do niej pasowała króciutka, niemal męska fryzura. No i ta figura, prawie idealna, zbliżająca się do granicy nadmiernej szczupłości, ale jej nieprzekraczająca.

- Rozumiem, że jest pani członkiem zarządu spółki.
- Do spraw sprzedaży.
- Czy jest też pani jednym z udziałowców?
- Nie.

Zadał to pytanie z premedytacją. Znał odpowiedź i ciekawiło go, czy usłyszy w jej głosie jakąś szczególną nutę. Nie usłyszał. Może tylko odpowiedź padła zbyt szybko.

- Chciałbym, żeby nam pani opowiedziała, jak przebiegało posiedzenie od momentu, kiedy dotarła pani do tej sali.

- Przyszłam mniej więcej za siedem jedenasta.

- Dlaczego tak wcześnie?

- Bo chciałam w spokoju zapalić na tarasie. Zawsze tak robię.

Zakrzeński skinął głową i Anna Szulc mówiła dalej.

- Nikogo jeszcze nie było. Położyłam swoje papiery na stole, wyszłam na zewnątrz. Kilka minut później przyszedł Witold Oleńczuk w towarzystwie Jana Kulaka.

- Stała pani przodem do drzwi?

- Nie. Stałam przy barierce, wyglądałam na zewnątrz.

- Drzwi były zamknięte?

- Oczywiście, inaczej dym mógłby wpadać do środka.

- W jaki sposób zauważyła pani ich wejście?

Anna Szulc zawahała się przez chwilę.

- Powiedzmy, że w tych sprawach mam coś w rodzaju szóstego zmysłu.

- Nie rozumiem.

- Nie lubię mieć nikogo za plecami.
- Czyli kiedy weszli, odwróciła się pani w stronę sali.
- Tak. Zresztą papieros mi się kończył. Zgasiałam niedopałek i weszłam do środka. Wtedy przyszedł Krzysztof Oleńczuk. Zaraz za nim pan prezes. Zaczęło się posiedzenie. Przegłosowaliśmy uchwałę, która była pierwszym punktem porządku dnia, i pan prezes zaproponował szampana. Kiedy rozlał, wzięłam dwa kieliszki, jeden dla siebie, drugi podałam panu Kulakowi. Zanim wypiliśmy, zaczęła się dyskusja na inny temat.
- Na jaki?
- Pan Krzysztof Oleńczuk podniósł pewien problem i pan prezes zdecydował, że lepiej będzie, jeśli omówi go z nim sam na sam w swoim gabinecie.
- Jakiego rodzaju problem?
- Anna Szulc przez chwilę milczała.
- Niestety, nie czuję się upoważniona, żeby o tym mówić.
- Powinna pani mówić o wszystkim. Tu chodzi o podejrzenie morderstwa.
- Podejrzenie to tylko podejrzenie, natomiast tajemnica zawodowa jest jak najbardziej realna.
- Pani koledzy nie mieli obiekcji, żeby mi więcej o tym powiedzieć.
- To ich wybór.
- Brzmiała twardo, zdecydowanie i takie było jej spojrzenie. Zakrzeński pojął, że łatwo nie skłoni jej do mówienia, ale na razie nie musiał tego robić.
- Więc poszli do gabinetu. Co działo się dalej?
- Wyszłam na taras zapalić.
- Znowu?
- Lubię palić. Zanosiłoby się na to, że przerwa chwilę potrwa.
- Czy widziała pani, co działo się w sali posiedzeń?
- Tak.
- Nie odwróciła się pani tyłem do drzwi?
- Mówiłam panu, że nie lubię mieć nikogo za plecami.
- Jak pani sobie radzi w sytuacjach publicznych?
- Słucham?

- Trochę chyba trudno funkcjonować tak, żeby nigdy nikogo nie mieć za plecami. W autobusie, w kolejce, na ulicy... Po prostu się nie da. Jak pani sobie radzi z tym lękiem?

Nie dała się wyprowadzić z równowagi, przeciwnie, uśmiechnęła się lekko.

- To nie jest lęk.

- Więc o co chodzi?

- To nieelegancko odwracać się do kogoś plecami.

- Bez przesady. Przecież to była przerwa w posiedzeniu. Zresztą i tak musiała się pani do nich na chwilę odwrócić plecami. Nie wyszła pani chyba na taras tyłem.

Czekał. Anna Szulc chwilę milczała. Podniosła rękę do ust, jakby zamierzała skubać wargę, ale szybko ją opuściła. Kiedy się znowu odezwała, mówiła nieco ciszej, choć z tą samą pewnością siebie.

- Jak pan raczył zauważyć, jestem członkiem zarządu tej spółki. W przeciwieństwie do moich kolegów nie jestem ani nie będę współwłaścicielem. To zmusza mnie do dbania o pewne formy w sposób, który może się panu wydawać przesadny.

- Powiedzmy, że rozumiem. Co działo się w pokoju?

- Pan Kulak wstał ze swojego miejsca i poszedł do drzwi.

- Wyszedł od razu?

- Nie, zatrzymał się. Mniej więcej tam, gdzie pan teraz siedzi.

- Czyli koło miejsca Krzysztofa Oleńczuka. Co zrobił?

- Nie wiem.

- Przed chwilą mówiła pani, że obserwowała wewnątrz sali.

- Nie obserwowałam, byłam odwrócona w tę stronę. Patrzyłam raczej na pana Witolda.

- Dlaczego?

- Bez specjalnego powodu.

- A on patrzył na panią?

- Nie, patrzył w bok.

- Na pana Kulaka?

- Tego nie wiem. W tamtą stronę. Sądzę, że go widział.

- Dobrze. Co dalej?

- Pan Kulak wyszedł, pan Witold zrobił to samo.

– Czy zatrzymywał się po drodze?

– Nie.

– Jest pani tego pewna?

– Tak. Odprowadzałam go wzrokiem.

Zakrzeński przez chwilę milczał. Potem pochylił się ku Annie Szulc, oparł łokcie i klatkę piersiową o stół.

– Proszę mnie uważnie posłuchać, bo to bardzo ważne pytanie. Czy jest pani gotowa zeznać pod przysięgą, że Witold Oleńczuk nie zbliżył się do miejsca, w którym stał kieliszek jego brata?

– Oczywiście, że się nie zbliżył. Wstał i wyszedł.

Zakrzeński podniósł się i obszedł stół dokoła. Dotarł do przeszkolonych drzwi na taras, odsunął je.

– Pani pozwoli.

Anna Szulc posłusznie wyszła na taras. Zakrzeński gestem wskazał Zychowicz krzesła, które zajmowali bracia. Od razu pokiwiała głową na znak, że rozumie, o co mu chodzi. Zakrzeński wyszedł na taras i zasunął za sobą drzwi.

– Proszę stanąć tam, gdzie pani stała.

Nie ruszyła się z miejsca.

– Zawsze stoję tutaj, bo mam wtedy pod ręką popielniczkę.

Zakrzeński stanął za nią. Była od niego niższa, więc nie zasłaniała mu widoku na salę. Nie sprawiała wrażenia przestraszonej tym, że ma go za plecami.

Mieli bardzo dobry widok na tę część stołu, na której leżały papiery Krzysztofa Oleńczuka, i na tę część, przy której stało krzesło jego brata. Teraz siedziała na nim podkomisarz Zychowicz. Kiedy zauważyła, że Zakrzeński zajął pozycję, natychmiast wstała. Udała się w stronę drzwi, ale najpierw zatrzymała się na chwilę i dotknęła ręką papierów. Nie było możliwości, żeby ktoś, kto stał na tarasie w miejscu wskazanym przez Annę Szulc i patrzył na Witolda Oleńczuka, tego nie zauważył.

– Nie świeciło wtedy ostre słońce? – upewnił się Zakrzeński.

– Przecież cały dzień dzisiaj jest pochmurno.

– Kiedy wszyscy wyszli, została pani w tym miejscu?

– Nie. Odwróciłam się i podeszłam do barierki.

Nie czekała na polecenie Zakrzeńskiego i powtórzyła ten ruch.

Stanął koło niej. Po raz pierwszy miał okazję oglądać widok z tarasu. Tak jak się spodziewał, niewiele było do podziwiania.

– Spędziła pani przerwę w posiedzeniu tutaj, paląc papierosa.

– Tak.

– Nie zauważyłaby pani, gdyby ktoś wszedł do sali?

– Zauważyłabym.

– W jaki sposób? Drzwi z holu zamykają się cicho.

– Nie o to chodzi. Mówiłam panu, że mam w tych sprawach szósty zmysł.

Patrzyła na niego pewnym wzrokiem, w jej głosie nie było słychać wahania. Zakrzeńskiemu przyszło na myśl, żeby kazać Zychowicz wyjść z salki i po pewnym czasie wrócić, ale dał sobie spokój. Taki eksperyment śledczy pasowałby do prokuratora Wilka.

– Oczywiście, szósty zmysł – potwierdził. – Rozumiem, że skorzystała pani z niego, kiedy uczestnicy posiedzenia zaczęli wracać.

– Nie musiałam. Gasiłam akurat niedopałek w popielniczce, więc i tak byłam odwrócona, kiedy weszli.

Wrócili do salki. Zakrzeński tym razem nie usiadł, tylko zatrzymał się w pobliżu szczytu stołu. Anna Szulc też stała przy swoim krześle.

– Wszyscy wrócili i wzniesli toast. Co było potem?

– Wypiliśmy. Krzysztof Oleńczuk prawie od razu upuścił kieliszek, złapał się za szyję, zaczął się zataczać i upadł.

– Co pani wtedy pomyślała?

– Nie wiem. Byłam w szoku.

– Nie zastanawiała się pani w ogóle, co się z nim dzieje?

– Nie.

Zakrzeński wiedział, że nawet jeśli było inaczej, prawdziwej odpowiedzi z niej nie wycisnie.

– Podeszłam – mówiła Anna Szulc. – Zauważyłam, że nie oddycha, i zwróciłam na to uwagę panu Witoldowi. Chciał robić sztuczne oddychanie, ale najwyraźniej uznał, że to bezcelowe.

– Według pani to było bezcelowe?

– Ja się na tym nie znam.

- Co działo się potem?
- Zostały wezwane pogotowie i policja.
- Czy to prawda, że prezes gwałtownie sprzeciwiał się wezwaniu policji?
 - W żadnym wypadku gwałtownie. Wyraził opinię, że to nie ma sensu, ale pan Witold był zdeterminowany.
 - Dobrze. Jeszcze jedno pytanie i kończymy. Która z osób obecnych na posiedzeniu miała według pani motyw, by zamordować Krzysztofa Oleńczuka?
- Nie udało mu się zbić jej z tropu. Odpowiedziała zupełnie spokojnie, tak jak do tej pory.
 - Nikt. To absurdalna myśl.
 - Zmarły nie był z nikim w konflikcie?
 - Oczywiście, że nie. Występowały drobne różnice zdań. To naturalne w zarządzaniu.
 - W takim razie dziękuję.
 - Mogę zabrać swoje papiery?
 - Tak, oczywiście.
 - Twarda sztuka – stwierdziła Zychowicz, kiedy za Anną Szulc zamknęły się drzwi. – Zastanawiam się nad jednym...
 - Myślę, że wiem, nad czym, ale słucham.
 - Witold Oleńczuk twierdzi, że Kulak nie tknął kieliszka denata. Anna Szulc twierdzi, że Witold Oleńczuk też się do niego nie zbliżył. Potem była odwrócona plecami. Jeśli wszyscy do tej pory mówili prawdę i nie było osoby, która mogłaby się tutaj wślizgnąć i wsypać do szampana truciznę, bo w holu cały czas siedziała sekretarka, przez chwilę nawet z Oleńczukiem...
 - Zgadza się – potwierdził Zakrzeński. – Więc?
 - Więc jedyną osobą, która mogłaby to zrobić, byłaby właśnie Anna Szulc. Mamy tylko jej zeznanie, że cały czas stała na balkonie i paliła.
 - Dokładnie. Co się nie zgadza w tym obrazku?
 - Gotowa jest przysiąc, że nie zrobił tego Witold Oleńczuk. W ten sposób kieruje podejrzenie na siebie.
 - Dokładnie. Jaki z tego wyciągasz wniosek?
- Patrzyła na niego w milczeniu, wreszcie wzruszyła ramionami.

- Żaden jak na razie. A ty?
- Że nikt mu niczego nie wrzucił do kieliszka, bo facet zmarł z przyczyn naturalnych. I że dawno nie zmarnowałem tyle czasu.

Dziesięć minut później Zakrzeński wsiadał do samochodu. Podkomisarz Zychowicz patrzyła na niego tak, jakby do końca nie wierzyła, że rzeczywiście ma zamiar odjechać. Miała minę trochę jak kochanka, która właśnie usłyszała, że to koniec, i próbuje się nie rozpłakać, zachować godność. Swoją drogą Zakrzeński wołałby nie widzieć płaczu kobiety tak mało atrakcyjnej jak ona.

- Weźcie z kadr listę obecnych i zostawcie plombę na gabinecie do jutra - polecił, odpalając silnik. - Możecie się chwilę tu pokręcić i kogoś jeszcze przesłuchać, żeby to jakoś wyglądało, ale generalnie radziłbym się związać. Jak prezes się poskarży waszemu komendantowi, możecie wszystko śmiało zwałać na nas. Tylko nie obiecuję, że to tykna.

Droga na Warszawę była o tej porze pusta, więc jechał szybko. Na szczęście, kiedy przysnął i zaczął zjeżdżać na lewy pas, jadący z naprzeciwka TIR był dosyć daleko. Zakrzeński obudzony trąbieniem zdołał odbić w prawo i od razu zatrzymał się na poboczu.

Mimo tego zastrzyku adrenaliny nie czuł się gotowy, by pokonać te kilkanaście kilometrów, które mu zostały. Czuł się raczej jak ktoś, kto zarwał dwie noce i mógłby zasnąć nawet podczas marszu. Jeśli miał pozostać przy życiu, musiał się chwilę zdrzemnąć.

Chciał pozostać na poboczu, ale kilkaset metrów przed sobą zobaczył oznakowania stacji Orlenu. Podjechał tam, zaparkował i rozpiął pas. Chciał jeszcze opuścić oparcie fotela... Usnął, zanim odnalazł dźwignię.

Ze snu wyrwał go natarczywy dźwięk telefonu. Przykurczony kark bolał tak mocno, że Zakrzeński nie miał pewności, czy kiedykolwiek zdoła go wyprostować. Odnalazł aparat w kieszeni i zerknął na wyświetlacz. Dzwonił szef wydziału.

- Coś długo trwało stwierdzenie, że nic w tym nie ma - zauważył inspektor po wysłuchaniu relacji Zakrzeńskiego.

Zakrzeński sprawdził czas. Dochodziła piąta – spał około dwóch godzin.

– To dobrze, że byłeś taki dokładny – mówił dalej inspektor. – Musisz skrobnąć bardzo szczegółowy raport, z którego ma wynikać, że okoliczności w pełni uzasadniały podejrzenie zajścia czynu zabronionego i wszystkie podjęte czynności.

– Wysilę wyobraźnię. Mogę napisać, że prezesowi spółki należą się dwa lata za całokształt?

– Ty chyba w poczucie humoru też jesteś kontuzjowany. Raport ma być jutro na dwunastą.

Inspektor się rozłączył. W tym samym momencie telefon zadzwonił ponownie. Prokurator Wilk.

– Panie komisarzu, moja rozprawa dopiero się skończyła. Nie wiem, czy znalazłby się dla mnie wolny radiowóz. Wiem, że jest kolej, ale to zawsze trochę dłużej potrwa...

Zakrzeński wytłumaczył mu, że nie ma po co jechać do Ożarowa. Wilk przez dłuższą chwilę stękał półśłówkami, od czasu do czasu dorzucał młaśnięcie. Zakrzeński doszedł do wniosku, że był zbity z tropu i chyba trochę zawiedziony.

– Rozumiem, że jest pan absolutnie pewny? – Wilkowi udało się wreszcie wydukać pełne zdanie.

– Jestem.

– Tak, oczywiście. W takim razie... Chociaż... Z drugiej strony... Wie pan, panie komisarzu, zastanawiam się jeszcze, czy...

– Panie prokuratorze, czy możemy odłożyć tę rozmowę do jutra, kiedy będą wyniki sekcji? W tej chwili siedzę za kierownicą i na dodatek za chwilę pewnie siądzie mi komórka.

– Natychmiast przestaję panu zawracać głowę – Wilk odpowiedział tonem skarconego uczniaka. – Do usłyszenia.

Nawet nie musiałem kłamać, pomyślał Zakrzeński. Rzeczywiście siedział za kierownicą, a wskaźnik baterii pokazywał jedną kreskę.

Odpalił silnik i zaczął się wycofywać z parkingu. Przeszła mu ochota na żarty. Zdrętwiały kark bolał go tak, że z najwyższym trudem dawał radę patrzeć w lusterko wsteczne. Dołączył do tego ból mięśni wszystkich kończyn przypominający najgorsze

zakwasy. Wprawdzie nie obawiał się, że zaśnie, ale konieczność pokonania drogi do domu nie była wcale miłą perspektywą.

Rozdział 3

Piątek

Obudziły go delikatne dotknięcia wilgotnego noska w policzek. Od razu wiedział, że coś jest nie tak. Jak prawie każdy kot Laura była bardziej śpiochem niż głodomorem. W weekendy zdarzało jej się czasem upominać o śniadanie; w dni powszednie, kiedy on przed siódmą wychodził z domu, najczęściej spała, zagrzebana gdzieś w pościeli.

Szybko wstał i sięgnął po leżący na parapecie telefon. Ekran był czarny. Oczywiście zapomniał wczoraj podłączyć ładowarkę. Przeszedł do kuchni, starając się nie potknąć o krążącą między jego nogami Laurę. Kiedy spojrzął na zegar piekarnika, zdębiał. Za dziesięć ósma. Spał prawie dwanaście godzin!

Wrócił do pokoju, podłączył telefon. Musiał poczekać kilka minut, żeby się trochę podładował. Zgarnął ubranie i poszedł do łazienki. Przynajmniej będzie miał chwilę, żeby wymyślić jakieś usprawiedliwienie swojej nieobecności na porannej odprawie, która właśnie się zaczynała.

Dziesięć minut później wrócił do pokoju i uruchomił telefon. W dalszym ciągu nie wiedział, co właściwie ma powiedzieć szefowi. Żeby trochę odwlec tę chwilę, postanowił sprawdzić nowe SMS-y. Miał trzy. Według pierwszego z nich wygrał sto tysięcy złotych. Spodziewał się, że pozostałe będą podobne. Przeczytał je i z wrażenia usiadł na łóżku.

Laura natychmiast z tego skorzystała. Wskoczyła mu na kolana i zaczęła atakować jego głowę swoim łepkiem, tak że z trudem udało mu się ponownie odczytać obie wiadomości. Właściwie nie musiał tego robić, nie pomylił się za pierwszym razem.

Obie były od Kalickiego i obie były podobnie lakoniczne. Pierwsza, wysłana wczoraj po dziewiętnastej, brzmiała: „Po sekcji 99% cyjanek”. Druga, wysłana niecałą godzinę temu, nie pozostawiała żadnych wątpliwości: „Toksykologia potw. cyjanek stę-

żenie na słońca”.

Z trudem przekonał Laurę do tego, żeby zeszła mu z kolan. Wstał i przez chwilę nie ruszał się z miejsca. Musiał jak najszybciej wykonać masę telefonów. Nie wiedział, który z nich okaże się najgorszy. Gdyby ładowarka samochodowa, z którą wcześniej miał kłopoty, kompletnie się rozkraczyła, byłby ugotowany.

Tak czy inaczej, trzeba było ruszać. Szybkim krokiem przeszedł do drzwi wejściowych. Nic z tego. Laura siedziała na progu i nie miała zamiaru go wypuścić, zanim nie dostanie śniadania.

Kilka minut przed dziewiątą Zakrzeński podjechał na Nowolipie. Kacper Wilk czekał na niego pod swoim blokiem w pełnym rynsztunku; wielkiego czarnego parasola tym razem nie zabrakło.

Wilk przywitał się z Zakrzeńskim małym wylewnie. Nie zanośliło się na to, że rozpocznie rozmowę. Zakrzeński opowiedział mu więc szybko o wszystkim, co się właśnie działo: na miejscu pracują policjanci z lokalnej komendy, posiłki z Komendy Stołecznej są w drodze. Dzięki temu przesłuchania wszystkich kilkudziesięciu pracowników spółki powinny się zakończyć w ciągu czterech, pięciu godzin.

– Tak, czas jest teraz kluczowy – powiedział Wilk. – Tylko, panie komisarzu, jeśli dobrze zrozumiałem, wszystko rozegrało się w niewielkim gronie na ostatnim piętrze.

– Mamy nie przesłuchiwać pozostałych?

– Musimy. Niestety, liczymy się z tym, że to nam nic nie da, a w tym wypadku... Najistotniejsze będą zeznania tych kilku osób.

Wilk jakiś czas milczał, wreszcie wydusił z siebie jeszcze jedno zdanie:

– Zastanawiam się, jakie pan ma przemyślenia na ten temat.

Zakrzeński trochę zapomniał, jak się rozmawia z Wilkiem, i dopiero w tym momencie uświadomił sobie, że prokurator chce od niego uzyskać pełną relację na temat zdarzeń dnia wczorajszego. Bo przecież dotąd jej nie dostał.

Kiedy Zakrzeński skończył opowiadać, Wilk odwrócił głowę

i długo wyglądał przez okno.

– Czyli mamy jedno podstawowe pytanie – powiedział w końcu. – Jeśli ta Anna Szulc była jedyną osobą, która miała sposobność, to dlaczego składa zeznania zdejmujące podejrzenie z kogoś innego?

– Zgadza się.

– Czy panu nasuwa się jakaś odpowiedź?

– Wczoraj takie zachowanie uznałem za dowód, że to zwyczajne zejście, nie otrucie – stwierdził Zakrzeński i poczuł dziwne ciepło w okolicy karku. – Jak pan widzi, myliłem się.

Zakrzeński czuł, jak z każdym wypowiedzianym słowem ciepło rozlewa się coraz wyżej – na policzki i uszy. Chciał nawet zahamować, zdał sobie jednak sprawę, że jest to nie początek udaru ani zawału, tylko potężny rumieniec. Miał nadzieję, że jakimś cudem Wilk go nie dostrzeże.

– Tak – westchnął prokurator. – To było jak najbardziej racjonalne założenie w tych warunkach. Tylko mam wrażenie, że wczorajsze czynności... Nie wiem, jak to wyrazić... Mogły zostać przeprowadzone odrobinę lepiej.

Zakrzeński spojrzał na Wilka, który niemal podskoczył na swoim fotelu.

– Przeze mnie, oczywiście – dodał cicho i chwycił obiema rękami parasol, jakby miał zamiar bronić się przed ciosem.

– Przez pana? – wycedził Zakrzeński.

– Przecież ja za to odpowiadam – odparł Wilk w taki sposób, że zabrzmiało to jak pytanie.

– Panie prokuratorze, niech pan mnie nie traktuje jak dziecko. – Zakrzeński skupił wzrok na drodze i poczuł, że zaczyna mocniej przyciskać pedał gazu. – Doskonale wiem, co pan chce powiedzieć. Zostawił mi pan swobodę działania, a ja spieprzyłem sprawę. Nie mam zamiaru polemizować i jestem gotów ponieść konsekwencje.

Wilk wyraźnie się rozluźnił.

– Może się umówimy, że obaj wczoraj trochę tę sprawę... spieprzyliśmy – ostatnie słowo wymówił tak, jakby się miał nim udławić. – Tylko że teraz to bez znaczenia. Teraz chodzi tylko o to,

żeby złapać sprawcę. – Bo chyba go złapiemy, prawda? – dodał po chwili.

Był kwadrans po trzynastej, kiedy Zakrzeński i Zychowicz uznali, że więcej się od inżyniera Stefana Karwowskiego nie dowiedzą. Równało się to uznaniu, że nie dowiedzą się od niego nic, podobnie jak od innych pracowników OKZ Development, z którymi rozmawiali. Sprawiający wrażenie nieśmiałego mężczyzna natychmiast wstał, ukłonił się i opuścił salkę posiedzeń, cały czas uśmiechając się w ten sam przeproszający sposób, w jaki uśmiechał się dwadzieścia minut wcześniej, kiedy podawał swoje nieprawdopodobne personalia.

Drzwi nie zdążyły się za nim zamknąć, gdy pokazała się w nich blond czupryna sierżanta Leńczyka.

- Ten był ostatni z waszej listy.
- Zobacz, czy prokurator skończył, i poproś go tutaj.
- Jak skończył, to mam go poprosić?
- Tak, jeśli skończył.

Leńczyk sprawiał wrażenie, jakby potrzebował dodatkowych wyjaśnień, ale ton głosu Zakrzeńskiego sprawił, że powstrzymał się przed zadawaniem pytań i szybko zniknął w holu.

- Idę zapalić – poinformowała Zychowicz.

Kilka sekund później była na tarasie. Stała dokładnie w tym samym miejscu, w którym poprzedniego dnia stała Anna Szulc. Może próbowała się w nią wczuć, a może to było najbardziej oczywiste miejsce: na wprost drzwi i tuż obok popielniczki.

Zakrzeński spojrział na swoje notatki, od razu je odsunął, przetarł oczy i ziewnął. Nie było sensu przygotowywać się specjalnie do rozmowy z prokuratorem, bo wyniki trzech godzin intensywnej pracy kilkunastu policjantów najprościej dałoby się podsumować niezbyt cenzuralnym słowem.

Wyjątkiem był jeden jedyny konkretny rezultat, który zawdzięczali technikom. Przed jedenastą ich szef przyszedł i poinformował Zakrzeńskiego, że właśnie miał telefon z laboratorium chemicznego. Szampan w butelce był czysty, podobnie jego resztki

w czterech z pięciu kieliszków. Szampan w kieliszku denata był wręcz nafaszerowany cyjankiem potasu.

– Chwileczkę – zastanowił się głośno Zakrzeński. – Facet to wypił i upuścił kieliszek na podłogę. Myślałem, że nic nie zostało do analizy.

Jego rozmówca zmarszczył brwi, tak jakby Zakrzeński popełnił jakiś nietakt.

– Widział pan te kieliszki?

– Widziałem.

Technik z widocznym trudem powstrzymał się przed pokręceniem głową. W teczce wyszperał zdjęcie fioletowego kieliszka i zamachał nim Zakrzeńskiemu przed oczami. Komisarz nie czuł się ani trochę mądrzejszy po tej demonstracji.

– Mają puste nóżki – wyjaśnił technik. – Puste w środku. Podobno w takich szampan lepiej bąbelkuje. Tam zostało całkiem sporo.

Niestety, te ustalenia niewiele wносиły do sprawy. Pozwalały jedynie wyeliminować jakieś i tak fantastyczne możliwości, na przykład tę, że trucizna została podana Oleńczukowi wcześniej, lecz z jakichś tajemniczych przyczyn zadziałała z opóźnieniem.

Jeszcze mniej wynikało z bieżących działań kryminalistycznych na miejscu zbrodni. Pracując w poszerzonym składzie, technicy przetrząsnęli dokładnie całe ostatnie piętro. Nie było to nawet szukanie igły w stogu siana – nikt nie miał koncepcji, co mogłoby się okazać taką igłą. Powstawała więc cała kolekcja prawdopodobnie przypadkowych odcisków pozostawionych w prawdopodobnie przypadkowych miejscach i równie przypadkowa kolekcja zgubionych włosów.

Nic ciekawego nie przyniosła także analiza bieżącej pracy denata. Zajął się tym aspirant Mirończuk w asyście dotychczasowego zastępcy Oleńczuka, któremu z nerwów trzęsły się ręce i którego słownictwo wydawało się ograniczać do wyrażenia „tajemnica służbowa”.

Po dwóch godzinach z małym okładem Mirończuk oświadczył Zakrzeńskiemu, że właściwie skończył, bo jeśli w finansach firmy jest coś podejrzanego, muszą tego na spokojnie poszukać biegli,

i to bardzo dobrzy biegli. Sam Mirończuk sądził, że nie znajdą niczego poza jakimiś błahostkami, które trafiają się w każdej firmie. Zakrzeński tak dobrze znał umiejętności swojego współpracownika, że był skłonny zawierzyć jego intuicji. Mirończuk odjechał więc do Warszawy. Zabrał laptop denata (co łysego księgowego przypawiło niemal o zawał), by na komendzie w spokoju przejrzeć skrzynkę mailową. Nikt nie oczekiwał, że to żmudne zajęcie przyniesie wymierne rezultaty – w dzisiejszych czasach wszyscy wiedzą, że w mailach służbowych nie powinni pisać niczego, z czego później nie chieliby się tłumaczyć sędziemu albo prokuratorowi. Prywatne konto Oleńczuka na Hotmailu było dobrze zahasłowane. Wyglądało na to, że trzeba będzie poprosić o pomoc hakerów z działu informatyki Komendy Stołecznej, co oznaczało trudną do oszacowania zwłokę.

Najważniejszą część działań stanowiły przesłuchania. Tu sytuacja wyglądała najbardziej beznadziejnie. Rozmowy z szeregowymi pracownikami, które prowadziło trzech wywiadowców z KS i trzech policjantów z miejscowej dochodzeniówki, nie przyniosły dosłownie nic. Nikt nie widział ani nie słyszał niczego podejrzanego, nikt nie miał pojęcia, kto mógłby źle życzyć dyrektorowi Oleńczukowi, a już na pewno nikt sobie nie wyobrażał, że mógłby to być jeden z pozostałych członków zarządu.

O ile można było uwierzyć w taką niewiedzę szaraczków, o tyle wydawało się mało prawdopodobne, by wyżsi stopniem pracownicy, kierownicy działów i tym podobni zupełnie nic nie wiedzieli o tarcjach na szczycie. A takie właśnie odpowiedzi słyszeli Zakrzeński i Zychowicz, którzy wzięli na siebie tę grupę. Nie pomagała perswazja: ani łagodna, ani nieco mniej łagodna. Najwyżej ten i ów przyznawał niechętnie, że Krzysztof Oleńczuk „mógł być przez niektórych uznany za odrobinę konfliktowego”, po czym zdecydowanie odmawiał wskazania, kim byli ci „niektórzy”. Nawet podkomisarz Zychowicz, która rano nie próbowała skrywać swojej ekscytacji (za to świetnie skrywała poczucie triumfu nad Zakrzeńskim, które przecież musiała mieć), wyglądała na coraz bardziej zniechęconą.

– To co robimy dalej? – niemal podskoczył, kiedy nagle usłyszał

obok siebie jej głos. Wróciła z tarasu zupełnie niepostrzeżenie.

– Czekamy, co powie pan prokurator – odpowiedział. – Nie zapomnij, że to on tu rządzi.

O trzynastej Kacper Wilk miał za sobą oficjalne przesłuchania pięciorga głównych świadków wczorajszego dramatu. Nie czuł się z tego powodu o wiele mądrzejszy. Żadna z przesłuchiowanych osób nie powiedziała nic, co zmieniałoby wczorajsze ustalenia Zakrzeńskiego, i żadna nie odbiegała w istotny sposób od wyobrażenia, jakie Wilk sobie wyrobił na podstawie relacji komisarza. Ale przynajmniej formalności miał z głowy.

Wilk ułożył przed sobą pięć protokołów równo, jeden obok drugiego, w kolejności alfabetycznej. Ponieważ on sam je spisywał, wyglądały identycznie, tylko podpisy miały inne.

Największy był podpis Jerzego Zawirskiego, a właściwie „Z” w jego nazwisku. Wyglądało trochę jak znak Zorro, zresztą prezes machał złotym watermanem jak szablą i nawet przebił w jednym miejscu kartkę na wylot. Była to jedyna oznaka agresji z jego strony. Poza tym okazał się niezwykle grzeczny, wręcz przymilny, zarówno w trakcie przesłuchania, jak i wcześniej, kiedy zaoferował śledczym pokoje do pracy oraz napoje i kanapki.

– Teraz, kiedy się potwierdziło, że to trucizna, jesteśmy jeszcze bardziej otwarci na współpracę – zadeklarował, zerkając ukradkiem na Zakrzeńskiego. Wilk uznał, że były to przeprosiny za zachowanie poprzedniego dnia.

Podpis Anny Szulc, złożony firmowym długopisem, który wyjęła z torebki, był niemal dokładnym przeciwieństwem podpisu prezesa. Drobne proste litery przypominały czcionkę komputerową. Były tak idealnie wyrównane, jakby pani dyrektor do spraw sprzedaży dostrzegła na białej kartce jakąś niewidzialną dla innych linię.

Jan Kulak także nie łączył liter i na tym podobieństwa się kończyły. Każda litera w jego podpisie była innej wielkości, każda – nachylona pod innym kątem. Wyglądało to trochę jak dzieło przedszkolaka albo analfabety; zresztą sposób, w jaki trzymał pożyczone od Wilka pióro, prawie przy samej stalówce, można opisać w ten sam sposób.

Także Agnieszce Pająk prokurator musiał pożyczyć swoje pióro. Jej na wpół czytelny podpis byłby chyba najzwyczajniejszy ze wszystkich, gdyby nie to, że po napisaniu nazwiska narysowała krzyżyk w środku pętelki od „p” i zaczęła stawiać dokoła niej małe kreski.

– Pająk krzyżak – wyjaśniła, uśmiechnęła się przy tym szeroko i raczej głupio; w ten sam sposób uśmiechała się wiele razy w ciągu całego przesłuchania. Gdyby Wilk nie miał pewności, że kobiety, zwłaszcza piękne, uważają go za nieatrakcyjnego, uznałby, że Agnieszka Pająk próbuje go uwodzić.

I wreszcie podpis Witolda Oleńczuka złożony eleganckim czarnym piórem, którego marki ani wartości Wilk nie potrafił odgadnąć. „W” płynnie przechodzące w „O”, w którym było zawarte, na zakończenie prosta pozioma linia i „k” przypominające odwróconą strzałkę. Gotowy znak graficzny świadczący o fantazji, o którą tego człowieka trudno było podejrzewać.

Z zamyślenia wyrwało Wilka pukanie do drzwi. Jakiś bardzo młodo wyglądający mundurowy przyszedł powiedzieć, że „pan komisarz zaprasza”.

Zakrzeński skończył mówić. Wilk przez chwilę milczał.

– Dziękuję – wydusił z siebie w końcu takim tonem, jakby Zakrzeńskiego za coś przeproszał. – Niewątpliwie wiemy teraz więcej niż rano, chociaż oczywiście pozostają pewne pytania. To znaczy... Na przykład...

– Kto to zrobił? – odpowiedziała usłużnie Zychowicz.

Trudno było nie wyczuć kpiny w jej głosie. Prokurator Wilk od razu oblał się pąsowym rumieńcem.

– Tak – powiedział. – Musimy omówić dalsze kroki. Więc...

Urwał i zamlaskał bezradnie; w jego spojrzeniu była teraz wyraźna prośba o pomoc. Zakrzeński zastanawiał się, co mu powiedzieć, ale znowu wtrąciła się Zychowicz.

– Proponowałabym obiad.

– Znakomity pomysł! – Wilk uprzedził protest Zakrzeńskiego. – Skoro jesteśmy, jak to się mówi, w ślepym zaułku, chwilowe ode-

rwaniu się od sprawy na pewno nam nie zaszkodzi. A może pomoże. Wiadomo przecież, że mózg jest bardzo energochłonny. Mój na pewno.

Zaśmiała się głośno. W spojrzeniu Zychowicz musiało być coś takiego, co sprawiło, że natychmiast spoważniała. Wyglądał teraz jak skarcony uczeń.

– Jesteśmy zaproszeni do mojej matki chrzestnej – powiedziała Zychowicz. – Pracowała w OKZ od samego początku do zeszłego roku. Jest kopalnią wiedzy, jeśli chodzi o tę firmę. Powinniśmy się czegoś od niej dowiedzieć. Jeśli nie, to przynajmniej dobrze zjemy.

Matka chrzestna podkomisarz Zychowicz mieszkała zaledwie kilka ulic dalej w zwyczajnym klockowatym domku z białych pustaków. Zniszczony szyld na ścianie świadczył o tym, że na parterze mieścił się kiedyś warsztat ślusarski.

– Wujek to prowadził – wyjaśniła niepytana Zychowicz. – Nie żyje ładnych parę lat.

Otworzyła furtkę i poprowadziła ich w głąb posesji. Kiedy zbliżali się do schodków prowadzących na ganek, drzwi się otworzyły. Stała w nich kobieta koło sześćdziesiątki, niezbyt wysoka i trochę pulchna, z siwymi włosami i okularami w grubych oprawkach.

Typowa babcia, pomyślał Zakrzeński. Ta ocena szybko wydała mu się nieadekwatna. Kobieta podeszła do furtki szybkim, zdecydowanym krokiem, uścisk jej dłoni był silny, niemal za silny.

– Elżbieta Skąpska.

Przyproceedziła ich do dużej kuchni. Na okrągłym stole rozłożony był pasjans. Gospodyni szybkim ruchem zgarnęła karty i wrzuciła je do szuflady w stojącej obok komodzie.

– To ostatnio moja główna rozrywka – powiedziała. – A gdzie się podział pan prokurator?

Rzeczywiście, Wilk zaginął po drodze. Zakrzeński cofnął się do przedpokoju. Prokurator stał przed lustrem i grzebał przy swoim krawacie.

– Przepraszam – wymamrotał, kiedy zauważył Zakrzeńskiego. – Musiałem trochę poprawić węzeł.

Wydawało się, że najchętniej zostałby przed lustrem, mimo to posłusznie poszedł za Zakrzeńskim do kuchni i usiadł przy stole.

– Myślałam, że przyjdziecie trochę później – zauważyła Skąpska. – Obiad nie jest gotowy. Kotlety zaraz usmażę. Ugotuję ryż, będzie szybciej.

Nastawiła wodę i zaczęła tłuc mięso. Wydawało się, że spędzi na tym wieczność. Robiła to z wprawą i energią, ale sprawiała wrażenie ciągle niezadowolonej z rezultatu: przerywała, poddawała kotlety dokładnej inspekcji, odnajdywała w nich jakąś niedoskonałość i wracała do tłuczenia.

– Przepraszam, że to tyle trwało – wytłumaczyła się, kiedy kotlety wreszcie wylądowały na patelni. – Moim zdaniem rozbicie mięsa to podstawa dobrego schabowego.

Stała przy kuchence w milczeniu, dokładnie wycierając ręce w fartuch.

– No – rozpoczęła wreszcie – przede wszystkim powiem, że naprawdę nie mam pojęcia, kto mógł tego chłopaka tak urządzić.

Zakrzeński spojrzał szybko na Zychowicz. Skąpska zauważyła to spojrzenie.

– Spokojnie, Marta nic mi nie powiedziała. Jest dyskretna do przesady. Sama wiem, że nie siedzielibyście tutaj bez powodu drugi dzień. Poza tym nie myślcie chyba, że ludzie o tym nie mówią. Znam tam wciąż wiele osób.

– Kiedy pani stamtąd odeszła? – zapytał Wilk.

– Czternaście miesięcy temu. Czternaście miesięcy i siedem dni, dokładnie rzecz biorąc.

Na chwilę zajęła się obiadem.

– Rozumiem, że chcecie się jak najwięcej dowiedzieć o układach w zarządzie – kontynuowała. – Myślę, że najlepiej będzie zacząć od historii firmy.

Zakrzeński nie zdążył zaprotestować, bo odezwał się Wilk.

– Poznanie szerszego kontekstu może nam tylko pomóc.

– Proszę mi przerywać, jeśli się za bardzo rozgadam. Jak pewnie wiecie, nazwa OKZ wzięła się od nazwisk trzech założycieli.

Zbigniew Oleńczuk, Mikołaj Kulak, Jerzy Zawirski. Wszyscy stąd, z Ożarowa, i wszyscy jeden rocznik, czterdziesty trzeci, jeśli dobrze pamiętam. Koledzy z klasy w szkole podstawowej, wtedy to się nazywało powszechna. To znaczy Zawirski i Oleńczuk byli na pewno w jednej klasie, co do Kulaka, nie wiem. To trochę inna historia, wrócimy do tego później.

W każdym razie Zawirski i Oleńczuk się zaprzyjaźnili, trochę na zasadzie przyciągania przeciwieństw. Zawirskiego poznaliście. Jest dokładnie taki, jaki zawsze był, tylko kiedyś nie nosił garnituru ani krawata. A już na pewno spinek do mankietów. Nie pijał szampana ani koniaku, tylko wódkę.

Oleńczuk... Rozmawialiście z jego starszym synem, prawda? To prawie wierna kopia ojca. Pod względem wyglądu, włącznie z wąsami, choć nie tylko. Tak samo formalny, no nie wiem, chłodny, tak samo mało się uśmiecha... Prawie w ogóle nie pije.

W każdym razie po szkole podstawowej ich losy potoczyły się inaczej, chociaż obaj związali się z budownictwem. Zawirski skończył technikum budowlane, pracował na jakichś budowach, wreszcie ulokował się w spółdzielni mieszkaniowej. Oleńczuk skończył liceum i WAT, został w wojsku. Nadzorował projekty, kierował inwestycjami, doszedł do stopnia majora. Wiecie, wojsko kiedyś dużo budowało, teraz mają co sprzedawać.

Gdzieś w latach osiemdziesiątych, po stanie wojennym, Zawirski doszedł do wniosku, że ta jego spółdzielnia przestaje mu wystarczać. Może go wywalili? Tego nie wiem. W każdym razie stał się tak zwaną prywatną inicjatywą. Jakiś bar, butik, coś takiego. Raczej średnio mu to szło.

Przyszedł rok osiemdziesiąty dziewiąty i Zawirski doszedł do wniosku, że albo teraz, albo nigdy. Miał szczęście, bo trafił z pomysłem: używana odzież z Zachodu. Nie wiem, czy lumpeks, który otworzył tutaj, w Ożarowie, był pierwszym w Polsce, ale na pewno jednym z pierwszych.

Na chwilę przerwała, żeby podać obiad. Sobie też nałożyła, ale nawet nie zaczęła jeść, tylko płynnie wróciła do opowieści.

– Nie wiem, w jaki sposób Zawirskiemu udało się przekonać Oleńczuka, żeby odszedł z wojska i wszedł z nim w spółkę. Może

Oleńczuk bał się zmian w armii? Nie był jakimś zatwardziałym komuchem, ale wtedy wszystko zmieniało się bardzo szybko i nikt nie wiedział, jak się sprawy potoczą. Może uświadomił sobie, że jest w wieku, w którym trzeba albo odejść, albo zostać generałem? On na pewno nie był materiałem na generała. W każdym razie przyjął propozycję Zawirskiego.

Wiem natomiast, dlaczego Zawirski potrzebował Oleńczuka. Bo Zawirski jest świetny, jeśli chodzi o znajomości i kontakty, trudno o większego czarusa...

– Odniosłem trochę inne wrażenie – wszedł jej w słowo Zakrzeński.

– Oczywiście trudno też o większego chama, jak mu ktoś zajdzie za skórę. Ale proszę mi wierzyć, kiedy czegoś potrzebuje, staje się uroczy. Z tym że znajomości i kontakty to dużo, ale nie wszystko. Ktoś musi pracować, zorganizować całość. A kto się do tego nadaje lepiej niż inżynier i były major?

Interes szedł im doskonale. Po kilku latach mieli kilkadziesiąt lumpeksów w centralnej i północno-wschodniej Polsce. Organizowali też dostawy dla wielu więcej. Ja zaczęłam pracę w ich drugim sklepie w Ożarowie w dziewięćdziesiątym pierwszym jako sprzedawczyni. Szybko awansowałam na kierowniczkę. W końcu byłam zastępcą głównej kadrowej w fabryce kabli, zanim mnie zredukowali. Dlatego mówię, że w OKZ Development byłam od początku, a nawet dłużej.

Swoją drogą, jedną z moich pierwszych decyzji jako kierowniczki było przyjęcie do pracy pewnej kobiety zwolnionej ze sklepu ogrodniczego. Nie pracowała tam na kierowniczym stanowisku, niby niczym się nie wyróżniała, ale coś mnie w niej uderzyło... Nie wiem, determinacja, siła woli... Od razu zrobiłam ją swoją zastępczynią i chyba przeczuwałam, że jest kimś, kto może daleko zajść. Nie pomyliłam się. To była Anna Szulc.

Wróćmy do tematu. Biznes się kręcił, tylko właścicielom po pewnym czasie przestało to wystarczać. Oleńczuk pewnie czuł, że nie wykorzystuje swoich kwalifikacji, dla Zawirskiego to było za mało prestiżowe. Co prawda pieniądze nie śmierdzą, ale wiadomo... Zastanawiali się, co dalej, i naturalnie pomyśleli o budowa-

niu. W końcu obaj się tym wcześniej zajmowali. W połowie lat dziewięćdziesiątych to się wcale nie wydawało takim dobrym pomysłem. Raczej szalonym. Ludzie byli biedni, o kredytach hipotecznych nikt nie słyszał. Ani o deweloperach. W ogóle nie było takiego słowa.

Nasi panowie mieli trochę kapitału, ale raczej nie tyle, żeby wystarczyło. I właśnie wtedy na scenę wkroczył Mikołaj Kulak. Muszę więcej o nim opowiedzieć. Każdy, kto się kiedykolwiek z nim zetknął, powie wam, że to był, przepraszam, jest, dziwny człowiek...

– On żyje? – zapytał Wilk. – Myślałem, że skoro udziały należą do jego żony...

Elżbieta Skąpska podrapała się w głowę.

– Powiem tak: nie mam wiadomości o jego śmierci. Kilka lat temu przepadł jak kamień w wodę. Nikt nie wie, co się z nim dzieje.

– Jak to? – zdziwił się Zakrzeński.

– Jeśli pan pozwoli, dojdziemy do tego po kolei, dobrze? Inaczej stracę wątek. W każdym razie Mikołaj Kulak jest, postaram się używać czasu teraźniejszego, bardzo dziwnym człowiekiem. Po pierwsze wygląd: taki potężny kudłacz. Metr dziewięćdziesiąt z hakiem, ogromna czupryna, gęsta broda. Jako dziecko strasznie się jękał i potem też mu się to zdarzało, jak się zdenerwował. Bez skutku próbował się dostać na architekturę, potem studiował filozofię, ale nie skończył. Pracował w szkole i w urzędzie miasta. Na początku lat osiemdziesiątych rzucił posadę. Odziedziczył po dziadku trochę ziemi pod Ożarowem, trochę dokupił i zaczął hodować ogórki i pieczarki w szklarniach. To wtedy był niezły interes. I jeszcze zaczął się bawić w radiestezję, wie pan, te różdżki, te łańcuszki, które się kręciły nad żyłami wodnymi... Wtedy przyszła na to moda.

W latach dziewięćdziesiątych dochód z ogórków zmaleł. Kulak też potrzebował zmiany. Wpadł na pomysł, że tę jego ziemię dałoby się odrolnić i zamienić na działki budowlane. W odpowiednim momencie trafił na Zawirskiego i Oleńczuka.

Tak oto w 1995 roku powstało OKZ, jeszcze bez „Development”.

Zresztą na początku robiliśmy wszystko, to znaczy i deweloperkę, i budowę. Dopiero potem panowie wpadli na pomysł, że lepiej zlecać budowanie na zewnątrz. Stworzyli spółkę cywilną, Oleńczuk z Zawirskim włożyli do niej głównie pieniądze, Kulak głównie ziemię.

Model był taki, że Zawirski zajmował się załatwianiem: decyzji o odrobnieniu, pozwoleń na budowę, kredytów. Oleńczuk zajmował się budową, a kiedy zaczęliśmy to zlecać na zewnątrz, nadzorem inwestorskim nad projektowaniem i budową. Kulak robił najmniej. Wymyślał reklamy. To on wpadł na hasło „OKZ = okazja”, które jest w użyciu do dzisiaj. Ja zostałam kadrową. Anna Szulc pracowała w sprzedaży.

Zaczęliśmy od osiedla domków szeregowych, to wypaliło. Pierwsze oddano do użytku w 1997 roku. Potem drugie i trzecie. W 1999 roku zaczęła się budowa pierwszego osiedla bloków, małego, pięć bloków i chyba sto dwadzieścia mieszkań, jeśli dobrze pamiętam, na wylocie na Warszawę. Było nieduże, i dobrze, bo około 2001 roku przyszedł kryzys w branży i mało brakowało, a byłby nas zgniótl.

Na chwilę zamilkła. Ukroiła kawałek kotleta, ale nie wzięła go do ust.

- Wyglądało to bardzo źle. Mimo wszystko byli chętni, żeby nas przejąć, a przynajmniej jeden, duży deweloper, który jakoś sobie radził. Oczywiście przejąć za odpowiednio niską cenę. Mówię, że cena była niska, mimo to każdy z założycieli dostałby sumę, dzięki której normalny człowiek ustawiłby się wygodnie na całe życie. Oleńczuk i Kulak, zwłaszcza Kulak, byli skłonni się zgodzić. Zawirski nie chciał o tym słyszeć. Był w mniejszości, ale udało mu się wykorzystać sytuację rodzinną Kulaka.

Żona Mikołaja Kulaka to dziwna, nieprzyjemna kobieta. Nie mam pojęcia, w jaki sposób on wylądował w tym związku. W każdym razie ona jest całkowicie zafiksowana na swoim synalku, który, co tu dużo kryć, jest kompletnym durniem. Może zresztą to ona z niego zrobiła kompletnego durnia, nie umiem tego ocenić. Zawirski uderzył do niej. Zaczął jej opowiadać, że ten chłopak, który wtedy właśnie robił niby-studia w jakiejś wyższej szkole

gotowania na gazie, ma świetlaną przyszłość właśnie w OKZ. Ona kupiła tę gadkę i całkowicie przeszła na stronę Zawirskiego. Zaczęła wojnę z mężem, żeby zrezygnował z planów sprzedaży swoich udziałów. To były jego udziały, nie ich. Jak mówiłam, dostał je za odziedziczoną ziemię. Kulak najpierw się opierał, potem nagle skapitulował.

Żeby tylko skapitulował. Wspomniałam, że to był, jest, dziwny człowiek. Pewnego dnia po prostu przepisał całość udziałów na żonę. Kilka dni później zniknął.

– Co znaczy: zniknął? – chciał wiedzieć Zakrzeński.

– Żebym to ja wiedziała. Wyjechał bez słowa pożegnania i Bóg wie dokąd. Były różne teorie. Że wyjechał do Indii i zamieszkał w klasztorze buddyjskim. Że został bezdomnym.

– A samobójstwo?

– Raczej nie. To chyba by do niego nie pasowało. I raczej nie miał powodu. Po prostu miał dość jędzy, która była jego żoną, i syna idioty. Myślę, że wziął jakąś sumkę pozwalającą na przeżycie i wyjechał gdzieś na drugi koniec Polski zacząć wszystko od nowa. Nie wiem, może znowu hoduje ogórki, tym razem ekologiczne?

W każdym razie, kiedy akcje przeszły na własność żony Kulaka, nie było mowy o sprzedaży. Jej synalek dostał pracę w firmie. Jako główna kadrowa musiałam go oficjalnie przyjąć. Oleńczuk też dał się przekonać, żeby zostać w spółce. Jednej trzeciej udziałów, czyli bez możliwości kontroli, nikt by nie kupił, zwłaszcza wtedy, kiedy chodziło nie o zarobki, ale o przetrwanie.

Szybko zaczęło się robić lepiej. Rosły ceny mieszkań, najpierw powoli, potem coraz szybciej, pojawił się boom kredytowy. I gdzieś około 2004 roku nikt o kryzysie nie pamiętał. Firma rosła tak szybko, że trudno było za tym nadążyć.

Pojawił się inny problem. Zbigniew Oleńczuk zachorował na raka. Wydawało się, że umrze. Na szczęście powiodła się ryzykowna operacja. Niestety, nie miał sił ani chęci dalej pracować. Namówił starszego syna Witolda, żeby zajął jego miejsce. Witold, jak już mówiłam, to kopia ojca. Wybrał taką samą drogę w życiu: skończył WAT, pracował w wojsku, dorobił się stopnia kapitana.

Ale on chyba też zdawał sobie sprawę, że generałem nie zostanie, i zdecydował się na zmianę.

Spółką kierował Zawirski razem z Witoldem Oleńczukiem, przy czym oczywiście w tej sytuacji Zawirski miał nieporównanie silniejszą pozycję niż Witold. Kulakowa zaczęła kombinować. Dlaczego jej syn nie jest na kierowniczym stanowisku? W końcu miał obiecaną wielką karierę.

Zawirskiemu zależało na tym, żeby dalej mieć w niej wiernego sojusznika, więc zgodził się zrobić z jej synka „członka zarządu”. Problem był do spraw czego, bo przecież on się do niczego nie nadawał i dalej się nie nadaje. Wymyśliliśmy mu ten cały marketing. Nie pomyliłam się, wymyśliliśmy, bo Zawirski się wtedy ze mną w takich sprawach konsultował.

Wszystko przypadło na czas, w którym firma była tak duża, że potrzebowała lepszej struktury zarządzania. Albo dokładniej: potrzebowała jakiejś struktury zarządzania, bo wcześniej to się opierało na autorytecie Zawirskiego i starego Oleńczuka. Zawirski postanowił skorzystać z tej sytuacji z Kulakiem i poszerzyć zarząd, a właściwie stworzyć zarząd z prawdziwego zdarzenia. Skoro w tym zarządzie miał być członek odpowiedzialny, tylko w teorii, za marketing, to wydawało się logiczne, że powinna też się w nim znaleźć osoba, która od pewnego czasu naprawdę robiła wszystko związane z marketingiem i sprzedażą, czyli Anna Szulc.

To nie było dla Zawirskiego żadne ryzyko. Ona nie ma żadnych udziałów, więc w każdej chwili może ją wywalić. Trudno sobie wyobrazić, żeby chciał to zrobić. Jest mu bezwzględnie wierna, a jednocześnie niemal doskonała w tym, co robi. Bo sprzedaż rzeczywiście jest, a przynajmniej była, mocną stroną OKZ.

Zarządzanie ludźmi też jej nieźle wychodzi. W pewnej mierze to zarządzanie przez strach, ale nie wyłącznie. Na pewno potrafi być bezwzględna, jeśli ktoś nie spełnia jej oczekiwań. Albo jej zagraża.

Na dalszy ciąg musieli poczekać, bo tym razem Skąpska wzięła kęs kotleta do ust i dosyć długo go przeżuwała.

- Twardości nauczyło ją życie. Nie miała łatwo. Pochodziła

z niebogatej rodziny, mimo to dostała się na studia, na weterynarię. Zaraz potem zaszła w ciążę i urodziła córkę. Wyszła za tego faceta za męża, ale on ją porzucił. Musiała sama się utrzymywać i wychowywać dziecko. To chyba jej całkiem nieźle wyszło. Córka jest ponoć strasznie zdolna, zdaje się, że robi doktorat w Stanach z jakiejś chemii czy innej biologii. W każdym razie Szulc jest z niej niesamowicie dumna.

– Wróćmy do zarządu – zaproponował Zakrzeński. – Rozumiem, że wtedy wszedł do niego Krzysztof Oleńczuk.

– Tak. Z nim było tak, że... Ale proszę mi jeszcze pozwolić na dygresję. Widzi pan, może mi pan uwierzyć albo nie, ale wtedy niewiele brakowało, żebym ja też została członkiem zarządu.

Uśmiechnęła się lekko, nieśmiało, jakby speszona.

– Zawirski nie chciał, żeby zarząd był nie wiadomo jak liczny, a zdał sobie sprawę, że bardziej od członka do spraw personalnych potrzebuje dyrektora finansowego z prawdziwego zdarzenia. Wcześniej był tylko główny księgowy, który coraz gorzej sobie radził.

Witold Oleńczuk zaproponował swojego brata. Teraz parę słów o nim. Fizycznie Krzysztof jest, był, w miarę podobny do Witolda, ale tylko fizycznie. Chociaż nie, można powiedzieć, że obaj trzymają ludzi na dystans, każdy z nich w inny sposób. Witold w ogóle nie pokazuje emocji, jest grzeczny, ale stanowczy, kiedy trzeba. Krzysztof wręcz przeciwnie, zawsze można było poznać, że jest zdenerwowany albo że coś go gnębi. Najczęściej wyglądał tak, jakby coś go gnębiło, jakby żył w swoim własnym świecie. Nawet jeśli żartował albo się wygłupiał, zawsze miało się wrażenie, że to tylko pozory.

Nie poszedł w ślady ojca i brata, nie został wojskowym. Trudno go sobie wyobrazić w mundurze albo wykonującego rozkazy. Studiował na SGH. Miał opinię genialnego matematyka i rzeczywiście był świetny, jeśli chodzi o liczby. Zaraz po studiach zaczął pracować w różnych dużych spółkach i w wieku trzydziestu lat był dyrektorem finansowym spółki giełdowej, nie jednej z tych największych, ale zawsze. Więc wydawało się mało prawdopodobne, że tę propozycję przyjmie.

A jednak przyjął. Zawirskiemu to nie pasowało, bo Krzysztof był naprawdę silną, niezależną osobowością i nie miał wobec niego szczególnego respektu. Ale ze względów politycznych nie bardzo mógł się sprzeciwić. Zwłaszcza że trudno było sobie wyobrazić kogoś bardziej kompetentnego na tym stanowisku.

I tak właśnie powstał zarząd OKZ Development w obecnym składzie.

– Między Zawirskim a Krzysztofem Oleńczukiem cały czas iskrzyło? – uściślił Zakrzeński.

– Cały czas? Nie, to nie było tak... Przez kilka pierwszych lat nie było po temu większych powodów, bo biznes rósł szybko. Krzysztof zajmował się swoimi liczbami, na tym Zawirski zupełnie się nie zna. Spięcia pojawiły się chyba tak naprawdę pod koniec zeszłego roku czy na początku tego roku, bo stało się jasne, że rynek zaczyna zwalniać. O ile mi wiadomo, Krzysztof Oleńczuk jako pierwszy zaczął twierdzić, że to poważniejszy problem, który może zagrozić przyszłości firmy, i parł do ograniczenia inwestycji oraz niepowiększania długu. To wiem z drugiej ręki. Mnie tam wtedy nie było.

– A jego stosunki z innymi członkami zarządu?

– Nie wiem, czy mam coś do dodania. Z bratem nie miał bliskiej relacji, tak naprawdę wydawali się sobie obcy. Mimo to myślę, że Witold był zadowolony z jego obecności w firmie. Bo Witold, ogólnie rzecz biorąc, podporządkowywał się Zawirskiemu, ale gdyby doszedł do wniosku, że to konieczne, na pewno potrafiłby się mu sprzeciwić. To byłoby dużo trudniejsze, gdyby był zupełnie sam.

Z Anną Szulc chyba nie wchodzili sobie w drogę. Natomiast Jan Kulak... Krzysztof Oleńczuk lubił sobie z niego kpić, czasem zupełnie otwarcie. Potrafił na przykład wyskoczyć z jakimiś bardzo skomplikowanymi pytaniami na temat drużyny siatkówki, którą OKZ sponsoruje. Nie wiem dokładnie, ale powiedzmy, że coś związanego z umową sponsorską. W ten sposób wychodziło na jaw, że Kulak nie rozumie nawet tego, czym podobno się zajmuje. To było upokarzające, tylko nie mam pewności, czy sam Kulak to rozumiał.

– Czy Krzysztof Oleńczuk blokował środki na klub?

– Nie, oczywiście, że nie, nie miał takiej możliwości. Dopóki Zawirski potrzebuje sojuszu z matką Kulaka, musi jej synkowi dawać jego zabawkę. Może gdyby nie sprzeciwy Oleńczuka, budżet na klub byłby większy? Nie sądzę. Nie wiem, czy to pomaga w sprzedaży mieszkań, ale na pewno pomaga budować prestiż Zawirskiego wśród miejscowych szlach.

– Lubiła pani tam pracować? – zapytał Wilk.

– Po śmierci męża to było jedyne, co miałam.

Przez chwilę milczeli.

– Nie chciała pani zostać dłużej? Jest pani przecież w dobrej formie.

– Dziękuję – lekko się uśmiechnęła.

Wzięła do ust dawno odkrojony kęs kotleta. Odezwała się znowu, dopiero kiedy go połknęła.

– Był na mnie czas. Szybko się przyzwyczaiłam. Nie nudzę się w każdym razie.

Na chwilę zapadła pełna skrępowania cisza. Na szczęście przewalał im dzwonek telefonu Zychowicz.

– Musimy iść – oznajmiła, kiedy skończyła rozmawiać. – Podobno jeden z sąsiadów ma coś ciekawego do powiedzenia.

Dom, w którym mieszkał Mariusz Doliński, stał po drugiej stronie ulicy, niemal dokładnie na wprost okien sali posiedzeń. Drzwi otworzył im brodacze po pięćdziesiątce, o którym można było powiedzieć tyle, że był bardzo nerwowy i bardzo włochaty – siwe włosy zdawały się zajmować każdy centymetr jego ciała, którego nie skrywała niebieska koszulka z krótkimi rękawami.

– Chodźcie, chodźcie – ponaglił, zanim Zakrzeński zdążył cokolwiek powiedzieć, i zniknął w głębi korytarza.

Czekał na nich przy schodach. Zaprowadził ich na piętro do drzwi, na których widniała tabliczka w kształcie znaku „stop” z napisem „Proszę pukać”. Mężczyzna zastosował się do polecenia, głos z drugiej strony odpowiedział „można”.

Pod oknem na wózku inwalidzkim siedział może dwudziesto-

letni chłopak z lornetką na kolanach. Miał twarz, która musiała podobać się dziewczynom. Uwagę zwracały przede wszystkim jego włosy, nie z powodu ilości, tylko koloru – prawdziwej, głębokiej czerni.

Chłopak szybko podjechał do nich i wyciągnął rękę. Silnie ścisnął im po kolei dłonie, jakby sprawdzał ich wytrzymałość. Wilk chyba oblał test, bo wyraźnie się skrzywił.

– Doliński Mariusz jestem. Teraz zapraszam tutaj.

Jedyną rzeczą, jaką można było zobaczyć przez szerokie okno bez firanek, była frontowa fasada budynku OKZ Development.

– Nie wiem, co wam przekazał ten facet od was, co tu był wcześniej. Powtórzę, bo to proste. Jeśli chodzi o wczoraj, nie mogę zaświadczyć, co się działo przed śniadaniem, to znaczy przed dziewiątą mniej więcej piętnaście. Potem już tak. Z tej strony nikt nie wychodził na taras na czwartym piętrze, żadnymi drzwiami. Dopiero koło jedenastej wyszła ta kobieta, taka chuda, wicie podobno, o kogo chodzi. Wypaliła papierosa i weszła do środka. Dosłownie chwilę potem znowu wyszła i wypaliła tym razem dwa papierosy. Ona zawsze pali szybko, więc to było jak jeden, no, półtora papierosa, gdyby to był ktoś inny. Weszła do środka i więcej nie wychodziła. To znaczy wyszła po południu z panem – Doliński zwrócił się bezpośrednio do Zakrzeńskiego. – Chyba panu wtedy pokazywała, gdzie stała na tarasie.

Obrzucił ich inteligentnym spojrzeniem. Oczy też miał bardzo czarne.

– Poczekaj – przerwał mu Zakrzeński. – Chcesz powiedzieć, że cały dzień siedziałeś i obserwowałeś taras?

– Nie. – Doliński pokręcił głową. – To znaczy taras obserwowałem przy okazji. Przede wszystkim obserwuję okna od parteru do drugiego piętra, tam dobrze widać, co się dzieje w środku. Na trzecim też czasem widać, ale tylko jak oni są blisko okna.

– Jacy oni? – chciał wiedzieć Zakrzeński. – I co się dzieje?

– Pracownicy. Dzieją się różne rzeczy. Kłóczą się na przykład. Albo ktoś dostaje opieprz, słucha ze spuszczoną głową, a potem, jak ten drugi wyjdzie, pokazuje faka albo Kozakiewicza. I tak dalej.

– Podglądanie tak cię wciąga, że spędzasz na tym cały dzień?

– Nie każdy i nie cały, ale sporo. Telewizja już mi się przejadła na amen, znajomi w necie mnie drażnią, książek nigdy nie lubiłem. Coś chyba muszę robić, nie? Czasem się zdarzają „momenty”, jak to mówią. Całują się i klepią po tyłkach w co najmniej trzech pokojach. Raz na drugim piętrze wyglądało na to, że pójdą na całość, ale niestety się opanowali.

– Według ciebie wczoraj około jedenastej ta kobieta wyszła dwa razy na papierosa, tak? – drażył Zakrzeński. – Jesteś pewien, że za drugim razem nie weszła szybko do środka ani na chwilę?

Chłopak skinął głową.

– Jak możesz być tego pewny, jeśli obserwujesz cały budynek?

Doliński nie odpowiedział od razu. Na jego twarzy pokazała się szybko cała gama emocji: najpierw zdziwienie, potem złość, wreszcie rodzaj rezygnacji.

– Czy pan wie, gdzie ja powinienem teraz być?

– Gdzie powinieneś teraz być? – powtórzył bez zrozumienia Zakrzeński.

– Powinieneś być na plaży. Na wieży ratownika. Tak jak w wakacje rok, dwa i trzy lata temu. Niestety, nie będę.

– Bardzo mi przykro, ale co to ma do rzeczy?

– Pan nigdy nie był ratownikiem, prawda? Jasne, że nie, za niski pan jest. Wie pan chyba, jak to wygląda: setki ludzi na plaży i w wodzie, a pan musi wszystko widzieć jednocześnie. Nie tylko gościa, który wypłynął daleko, a wygląda na słabego pływaką. Także gości, co siedzą na kocu, ale piją piwo za piwem i nie wiadomo, co im w końcu strzeli do głowy. I dziewczynkę, która na razie buduje zamek z piasku koło rodziców, ale chodzi po mokry piasek i za każdym razem coraz bliżej wody, a jej rodzice coraz bardziej się kłócą i zwracają na nią coraz mniej uwagi. I tak dalej. A ja byłem bardzo dobrym ratownikiem.

Akurat, pomyślał Zakrzeński. Jakbyś był dobrym ratownikiem, tobyś wiedział, że się nie skacze na główkę do nieznannej wody.

– Dobrze. Myślę, że to wystarczy. Zgłosimy się, jeśli...

– W którą stronę patrzyła? – wtrącił się Wilk.

Doliński skinął głową, tak jakby wyrażał zadowolenie z faktu,

że ktoś wreszcie zadaje sensowne pytanie.

– Za pierwszym razem w tę stronę. Za drugim najpierw była odwrócona w kierunku salki, z której wyszła, potem odwróciła się w tę stronę i stała tak do końca.

– Odwracała się?

– Tego nie potrafię powiedzieć. Jeśli się odwróciła na dwie, trzy sekundy, mogłem to przeoczyć. Zupełny szczegół. Jak się jest na wieży, można nie zauważyć, że pijanemu, który się kieruje w stronę wody, spadła czapka.

Wilk poważnie pokiwał głową, Zakrzeński z trudem powstrzymał westchnięcie. Nie ma co, ta rozmowa świetnie pasowała do prokuratora.

– Będziemy potrzebowali spisać oficjalne zeznanie, z protokołem – poinformował Wilk. – Nie chciałbym pana fatygować do Warszawy, więc może...

– Nie ma sprawy, żadna fatyga – przerwał mu Doliński. – Tata mnie może zawieźć, tylko proszę powiedzieć kiedy.

Ojciec chłopaka odprowadził ich do drzwi.

– Myślę, że możecie mu wierzyć, on ma naprawdę fenomenalną pamięć do takich rzeczy.

– Na pewno weźmiemy to pod uwagę – zapewnił go Zakrzeński.

– A po naszym ciągle ani śladu, co?

– Po kim? – zdziwił się Zakrzeński.

– Po tym chuju, który strącił Mariusza z roweru. Ja wiem, nie było świadków i tak dalej, więc nic na to nie poradzicie. Ale skoro mam okazję, chciałem zapytać.

– Sprawa pozostaje otwarta – odpowiedziała Zychowicz i niemal się skrzywiła, bo chyba zdała sobie sprawę z banalności tego frazesu.

– Fascynujące – westchnął Wilk, kiedy znaleźli się na ulicy. – Czy to państwu nie przypomina *Okna na podwórze* Hitchcocka? Oczywiście à rebours i nie w szczegółach, ale...

Widząc spojrzenia Zakrzeńskiego i Zychowicz, zamilkł, odwró-

cił się i powoli ruszył w kierunku budynku firmy. Odezwał się ponownie, dopiero kiedy wchodzili na parking.

– Tak czy inaczej wiemy, że Anna Szulc tego nie zrobiła. Kulak i Oleńczuk zgodnie zeznali, że od razu wyszła z sali na taras. Mogłyby wsypać truciznę, tylko gdyby weszła do środka w czasie przerwy w posiedzeniu. Skoro nie wchodziła...

– Pan zakłada, że było dokładnie tak, jak mówi ten chłopak – podsumował Zakrzeński. – Dla mnie to nie jest takie oczywiste.

Wilk pokręcił głową.

– Nie wiem, czy dokładnie tak – powiedział. – Ale to, co mówi, jest spójne. Ważniejsze jest coś innego. Jestem przekonany, że sąd by mu uwierzył. To znaczy uwierzył w sensie procesowym, uznał jego zeznania za wiarygodne do tego stopnia, żeby wykluczyć sprawstwo Anny Szulc. Więc nie ma o czym mówić. Zwłaszcza że z motywem też nie będzie łatwo.

Przed wejściem do budynku natknęli się na Leńczyka. W rękę trzymał jakieś papiery. Sprawiał wrażenie, że na nich czeka.

– Co tam? – rzuciła Zychowicz. – Coś nowego?

– W sumie nic... – Leńczyk natychmiast się zmieszał. – To znaczy...

– Dawaj – ponagliła go.

– Przez chwilę w zasadzie nie miałem nic do roboty, więc tak sobie rzuciłem jeszcze raz okiem na wydruki z systemu bezpieczeństwa, kto wczoraj wchodził na ostatnie piętro. To znaczy, kto sobie otwierał drzwi kartą.

– Chcesz powiedzieć, że znalazłeś kogoś, kogo tam nie powinno było być? – zainteresowała się Zychowicz.

– Nie znalazł – powiedział Zakrzeński. – Sam to dokładnie przeglądałem.

Leńczyk potrząsnął głową.

– Nie, oczywiście, że nie. Chodzi mi o kartę Jana Kulaka. Ona w ogóle nie otwierała wczoraj tamtych drzwi. A przecież on tam wchodził.

Zakrzeński wzruszył ramionami.

– Też mi zagadka. Przyszedł na posiedzenie z Witoldem Oleńczukiem, który otworzył drzwi.

– Tak, ale... – wydukał Leńczyk, zamilkł i momentalnie zrobił się czerwony.

Spojrzał bezradnie na Zychowicz, tak jakby oczekiwał od niej pomocy, ale podkomisarz nic nie powiedziała. Sama wyglądała na zakłopotaną.

– Zeznał, że w czasie przerwy w obradach zszedł na dół – odezwał się Wilk. – Po wyjściu z toalety. I na górę musiał wrócić sam i musiał sam się wpuścić do środka.

Kurwa, zaklął w myślach Zakrzeński. Chyba czas na emeryturę. Wygląda na to, że nawet za biurko już się nie nadaje.

– Dobra robota, sierżancie – powiedział na głos, starając się zachować w miarę naturalny ton głosu. – Teraz zostaw nam te wydruki i wracaj do roboty.

Leńczykowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Zniknął w budynku, zanim Zakrzeński skończył mówić.

– Sekretarka kłamie – prychnęła Zychowicz. – Powiedziała, że Kulak zszedł na dół.

Zakrzeński pokręcił głową.

– Powiedziała, że słyszała dwa trzaśnięcia – odgłos otwierania i zamykania drzwi. Ale nie widziała, jak wychodził, bo był za załomem muru. Musiało być tak, że kiedy wyszedł z łazienki, otworzył drzwi wejściowe i zamknął je, ale od środka. Potem znowu je otworzył od wewnątrz i zamknął. W ten sposób udał, że wraca na górę. Dlatego nie musiał używać karty, od wewnątrz drzwi otwiera się przyciskiem.

– Tylko po co to zrobił? – zamyśliła się Zychowicz. – I dlaczego skłamał?

– Zaraz się tego spróbujemy dowiedzieć.

W gabinecie Jana Kulaka zastali tylko jego zastępcę, ostrzyżonego na jeża pięćdziesięcioletniego mężczyznę, który wyglądał na bardzo przepracowanego. Na pytanie o szefa zrobił wielkie oczy.

– Przecież jest po dwunastej. A dzisiaj jest piątek.

– Pan Kulak kończy pracę w piątek wcześniej? – dociekał Za-

krzeński.

– Nie zawsze. Często w piątek w ogóle nie przychodzi, więc chyba nie można powiedzieć, że kończy pracę.

– Gdzie go można znaleźć?

– Gdzieś, gdzie jest alkohol. Czyli na razie w jakimś barze w Warszawie. Potem szukajcie w klubach.

– W jakich?

– Czy ja wyglądam na kogoś, kto zna jakieś kluby? – mężczyzna obrzucił ich kolejno spojrzeniem, jakby rzeczywiście oczekiwał odpowiedzi. – A teraz, jeśli nie macie panowie do mnie pytań, bardzo przepraszam, bo mam kupę roboty.

– Myślałem, że cały dział marketingu w tej firmie to fikcja – niespodziewanie odezwał się Wilk.

Mężczyzna przez chwilę przyglądał mu się tak, jakby miał wybuchnąć. Zamiast tego wydał z siebie coś między zaśmianiem się a prychnięciem.

– Fikcja. Ale nawet ta fikcja musi co chwila produkować jakieś cholerne raporty. I mamy prawdziwą cholerną umowę z prawdziwym cholernym klubem. Do widzenia.

Zakrzeński kilka razy próbował dodzwonić się do Kulaka. Za każdym razem włączała się poczta. Komisarz skontaktował się więc z Komendą Stołeczną i zorganizował ograniczone poszukiwania: dwaj wywiadowcy mieli się przejść po modnych lokalach, w których Kulak mógł bywać. Jak wyjaśnił Wilkowi, wołał na razie nie organizować dużej akcji z udziałem mundurowych. Po pierwsze kłamstwo Kulaka nie czyniło z niego automatycznie głównego podejrzanego. Nawet jeśli rzeczywiście nie ruszył się z czwartego piętra, i tak musiał pozostać przy drzwiach, bo gdyby wyszedł za załom muru, zauważyłaby go sekretarka lub Witold Oleńczuk. Po drugie nawet jeśli za parę godzin zostałyby gdzieś odnalezione, prawdopodobnie byłby zbyt pijany, żeby zeznawać.

Następne półtorej godziny Zakrzeński spędził na rozmowach z policjantami, którzy przesłuchiwali pracowników firmy, oraz na przeglądaniu ich notatek. Niczego przełomowego się nie dowiedział; tak naprawdę nie dowiedział się w ogóle niczego. Było dokładnie tak, jak się spodziewał. Równie dobrze mogli się zwinąć

o piętnastej – ale to byłoby przyznaniem się do klęski. Podobnie myślał chyba prokurator Wilk, który podziękował za ofertę odwiezienia radiowozem do Warszawy. Wolał się zająć nieuniknioną papierkową robotą i poczekać na Zakrzeńskiego, aby w razie czego być na miejscu.

O wpół do piątej Zakrzeński wydał polecenie zakończenia działań. Kilkanaście minut później siedział w towarzystwie Wilka za kierownicą swojego golfa. Prokurator sprawiał wrażenie zamyślonego i przez dłuższy czas nie mógł zapiąć pasa. Więc kiedy Zakrzeński musiał gwałtownie zahamować, Wilk poleciał do przodu i musiał się zaprzeć rękami o deskę rozdzielczą.

Zakrzeński ledwie zarejestrował dramatyczny okrzyk prokuratora, bo jego uwaga była skupiona na przyczynie gwałtownego hamowania. Przed maską pojawiła się niespodziewanie Agnieszka Pająk. Sprawiała wrażenie mocno zaskoczonej, jej ciemnobrązowe oczy wydały się komisarzowi jeszcze większe niż przedtem. Podniosła palec wskazujący prawej ręki do góry, tak jakby chciała mu pogrozić. Zamiast tego włożyła go do ust i ugryzła, jednocześnie się uśmiechając. Potem podeszła do drzwi od strony Zakrzeńskiego. Uchylił szybę.

– Ojej, to chyba moja wina, panie komisarzu – zaszczębiotała. – Najmocniej przepraszam. Nie powinnam tak biec przez parking, prawda? Ale spieszę się na pociąg.

– Proszę na siebie uważać, byłaby szkoda, gdyby z takimi nogami musiała pani jeździć na wózku – powiedział Zakrzeński. – Podwiozę panią.

– Dziękuję, chyba i tak nie zdążę. Mogę się przejść. Za pół godziny będę miała następny.

– Podwiozę panią do domu.

– Oj, to miło. Tylko skąd pan wie, gdzie ja mieszkam?

– Sama mi pani powiedziała. Zresztą numer też mi pani dała.

Dziewczyna zrobiła zdziwioną minę i zaraz się roześmiała.

– No tak, zapomniałam, że pan mnie przesłuchiwał. Wniosek z tego, że jest pan nadzwyczaj delikatny jak na policjanta.

Ruszyła dokoła samochodu i w tym momencie odezwał się Wilk, o którego istnieniu Zakrzeński zdołał całkowicie zapo-

mnieć.

- Jest pan pewien, że to dobry pomysł? To kluczowy świadek.
- Chcę ją tylko podwieźć.
- Właśnie o tym mówię – odparł z pewnym wahaniem Wilk.

Drzwi od strony Wilka się otworzyły. Dziewczyna zajrzała do środka i cofnęła się o krok.

- O, pan prokurator – zauważyła z wyraźnym rozczarowaniem w głosie.

Szybko się opanowała i usiadła z tyłu. Jak to możliwe, że go wcześniej nie zauważyła, pomyślał Zakrzeński. Zaraz potem zdał sobie sprawę, że Wilk należy do tych mężczyzn, których kobiety nigdy nie zauważają.

- Jejku, teraz się chyba powinnam bać, że mnie weźmiecie w dwa ognie i przyciśnięcie – zaśmiała się głośno.

Zakrzeński zauważył kątem oka, że prokurator zrobił się pąsowy. Musiało mu być gorąco, bo poluzował kołnierzyk koszuli. Komisarzowi też było gorąco, ale z innych powodów. Wrzucił jedynkę i ruszył.

- Podoba mi się pana drażek – powiedziała Agnieszka Pająk.

Mało brakowało, a Zakrzeński machinalnie nadepnąłby na pedał hamulca.

- Inni mają czasem brzydkie. Pański jest taki, ja wiem, konkretny i ma ładny kształt. Aż się chce samej pozmienić biegi.

Unikając spoglądania na Wilka, Zakrzeński zaczął analizować trasę podróży. Dziewczyna mieszkała w jednym z wieżowców w Alejach Jerozolimskich, przed placem Zawiszy. Powinien odwiedzić najpierw ją, a potem Wilka na Nowolipie, tak by było najlogiczniej. Ale mógł skrócić na Trasę Armii Krajowej, pojechać przez Kasprzaka i Solidarności. Jeśli Wilk pamiętał adres dziewczyny i był biegły w geografii stolicy, zorientuje się, że to manewr mający na celu umożliwienie Zakrzeńskiemu pozostanie sam na sam z Agnieszką Pająk. Trudno, pomyślał. W razie czego powiem prokuratorowi, że chciałem być dla niego miły i odstawić go pierwszego.

Przez dłuższą chwilę dziewczyna nie odzywała się, tylko rozglądała po samochodzie, tak jakby szukała innego elementu,

o którym mogłaby mówić.

– Mam nadzieję, że nie miał psa – odezwała się wreszcie. – Kot wiadomo, tak naprawdę wszystko mu jedno, ale psinka by się czuła opuszczona.

– Nie miał – powiedział Zakrzeński, czując, że Wilk intensywnie mu się przygląda. – Żadnych zwierząt.

– A jak mieszkał? – zapytała Agnieszka Pająk. – Tak z ciekawości. Ja bym zgadywała, że miał mało mebli i w ogóle mało rzeczy.

– Nie wiem. Właśnie z panem prokuratorem jedziemy zobaczyć jego mieszkanie.

Wilk zakasłał i odwrócił głowę. Agnieszka Pająk przysunęła się bliżej, prawie oparła głowę o ramię Zakrzeńskiego.

– Zazdroszczę. Ja jestem strasznie wścibska i strasznie mnie interesuje, jak ludzie mieszkają. To tyle mówi o człowieku. W pana przypadku nie podejmowałabym się zgadnąć. No, jakbym miała strzelać, tobym powiedziała, że pan nie ścieli łóżka.

– Czy pan myśli, że ta dziewczyna jest zdrowa na umyśle? – zapytał Wilk natychmiast, kiedy Agnieszka Pająk wysiadła.

– Nie wiem – odparł Zakrzeński. – Według pana potrzebujemy biegłego, żeby określił jej wiarygodność jako świadka?

Wilk nabrał powietrza, ale nic nie odpowiedział. Odezwał się dopiero po chwili, na inny temat.

– Czy ktoś był w jego mieszkaniu?

– Nie. Ja mam klucze.

– Mam wrażenie, że trzeba było kogoś tam wcześniej wysłać.

– Ja też. Czy przeoczyłem jakieś pańskie polecenie?

Wilk przez chwilę nie odpowiadał.

– Panie komisarzu, mam wrażenie, że tym razem brakuje nam trochę koncentracji – wysapał w końcu. – To znaczy mnie często brakuje koncentracji, ale w pańskim przypadku to coś nowego.

– Popracuję nad tym – obiecał Zakrzeński. – Sądzę, że jeśli morderca chciał się dostać do jego mieszkania, zrobiłby to natychmiast po morderstwie. Albo nawet przed morderstwem, w końcu Oleńczuk od rana był w pracy. Zakładam, że nic się nie

stało.

Sam sobie do końca nie wierzysz, pomyślał. Wilk być może pomyślał to samo, ale się z tym nie zdradził.

Mieszkanie Krzysztofa Oleńczuka znajdowało się w wysokim bloku wciśniętym między postkomunistyczne budynki na Rakowcu. Nie był to apartamentowiec, ale niewiele mu do takiej klasyfikacji brakowało. Do środka weszli za modnie ubranym mężczyzną, który obrzucił podejrzliwym spojrzeniem Zakrzeńskiego, ale na widok Wilka uspokoił się i zdecydował się nie zatrząskiwać im drzwi przed nosem.

Zakrzeński otwierał właśnie drzwi do mieszkania, kiedy Wilk niespodziewanie się odezwał.

– Przepraszam, panie komisarzu. Skąd pan wiedział, że on nie miał żadnych zwierząt?

– Nie wiedziałem. Pan sądzi, że miał?

Wilk nie odpowiedział, tylko cofnął się o krok i nie od razu wszedł za Zakrzeńskim do środka. Nie rzucił się im jednak do szyi żaden agresywny pies, a do oczu żaden wściekły kot. W ogóle nie znaleźli zbyt wielu śladów życia, nawet śladów pozostawionych przez Oleńczuka – w zlewie nie było nawet jednej nieumytej szklanki. Ktoś tu regularnie sprzątał, być może nawet w czwartek. Zakrzeński przypomniał sobie, że w telefonie denata widział jakąś Swietlanę. Jeszcze do niej nie dzwonił.

Rzeczy świadczących o zainteresowaniach albo osobowości zmarłego nie zobaczyli wiele. Najciekawszym elementem była oryginalna tablica rejestracyjna ze stanu Nevada przyczepiona do drzwi od łazienki. Poza tym trochę książek, głównie z ekonomii, i parę powieści oraz półka z filmami DVD, głównie starszymi amerykańskimi. Jak można było przewidzieć, właśnie nimi prokurator Wilk najbardziej się zainteresował.

Zakrzeński znalazł szufladę wypełnioną dokumentami. Były to głównie kopie rachunków bankowych oraz jakieś zupełne starocie, na przykład odpis dyplomu. Trzeba pamiętać, żeby dostał je Mirończuk, pomyślał.

– Mieszkał tu trochę jak w hotelu – podsumował dosyć trafnie Wilk. – Mam wrażenie, że to chyba był bardzo samotny człowiek.

Zadzwoił domofon. To byli technicy, których Zakrzeński wcześniej wezwał. Kiedy dotarli na górę, Zakrzeński poinstruował ich, co mają robić, ale bez większej nadziei na sukces. Skinął głową na prokuratora, który także był gotowy do wyjścia.

W drodze powrotnej zajrzeli do portierni. Ochroniarz najpierw długo i nieufnie przyglądał się legitymacji Zakrzeńskiego, całą swoją osobą mówiąc, że uważa ich za intruzów. Jego podejście zmieniło się całkowicie, kiedy dowiedział się, o co chodzi. Ukrył twarz w dłoniach i przez dłuższą chwilę milczał.

– To od początku do końca moja wina – wyszeptał. – Powinieniem był go nie słuchać i zadzwonić.

– Zadzwonić gdzie? – zapytał Zakrzeński.

Starszy mężczyzna podniósł głowę i przez chwilę przyglądał się Zakrzeńskiemu bezrozumnym wzrokiem.

– Do was. Po tym, co się stało na parkingu. Ale on nie chciał, żeby do was dzwonić.

– Można prosić po kolei?

– Tak, oczywiście. – Mężczyzna zerwał się z miejsca i obciągnął mundur. – Proszę za mną.

Zaprowadził ich na parking podziemny. Zatrzymał się przy pustym stanowisku z numerem osiemdziesiąt siedem.

– Ten pan tutaj parkował. Volvo, ładne, całkiem nowe. Wczoraj, nie, co ja mówię, przedwczoraj, w środę wieczorem, akurat tutaj byłem, jak przyjechał. To znaczy byłem na drugim końcu parkingu, bo mi się zaświeciło, że drzwi na klatkę są niedomknięte. Więc...

– O której to było? – wtrącił Zakrzeński.

– Gdzieś po osiemnastej. Zaraz jak zacząłem zmianę, wtedy miałem nockę. No więc zauważyłem, że on przyjechał, to znaczy tak naprawdę nie widziałem wcale, że to on, tylko że jakiś samochód przyjechał na tę część parkingu. Wracalem na górę, kiedy usłyszałem jakieś krzyki. W zasadzie nie krzyki, tylko usłyszałem, że coś się dzieje. Wiecie panowie, jak to jest, można po prostu usłyszeć, że jest zamieszanie. No to tu żem przybiegł. Pan tak na mnie nie patrzy, może jestem stary, ale biegać jeszcze potrafię. I widzę, że ten pan opiera się o swoje volvo i trzyma się za twarz,

a obok stoi taki byczek. No w zasadzie może nie byczek. Nieźle zbudowany, ale byczek to może za dużo powiedziane. Za drobny. Trochę Putina przypominał z wyglądu. Też lekko łysawy. Na pewno nikt, kto tu mieszka. Ja tu jestem prawie dwa lata i wszystkich rozpoznaję. No więc łapię za telefon, a wtedy ten Putin nawet na mnie nie spojrział, tylko mówi: „My się tu tylko tak bawimy, prawda?”. I ten pan od volvo od razu skinął głową, a Putin się uśmiechnął i sobie poszedł. To ja mówię wtedy: „Proszę pana, dzwonię po policję”. Ale ten pan mówi: „To naprawdę była zabawa”. Wyciągnął z kieszeni dwadzieścia złotych i mi dał. Wzbraniałem się, ale on mówi, że to za dobrą pracę, bo przyszedłem sprawdzić, co się dzieje. No i co miałem robić? Wróciłem do siebie.

– Czyli wiemy tylko tyle, że facet był podobny do Putina? – powiedział z wyraźnym rozczarowaniem w głosie Zakrzeński.

– No tak – zgodził się zawstydzony ochroniarz. – No bo co miałem robić, jak mi... Zaraz, cholera, ta moja skleroza to zupełnie... Przecież jak wróciłem na górę i wyjrzałem przez okno, to on jeszcze był na parkingu przed blokiem. Siedział w samochodzie, w lancii, gadał przez telefon i palił. Normalnie jak cię mogę, na wprost portierni.

– No i co?

– No i co miałem zrobić? Zapisałem numer.

– Myśli pan, że ten mężczyzna, który go pobił na parkingu, ma coś wspólnego z zabójstwem? – zapytał Wilk, kiedy Zakrzeński skończył rozmawiać z Komendą Stołeczną.

– Nie. W środę wieczór daje mu w twarz, a w czwartek wrzuca mu cyjanek do szampana? To się nie trzyma kupy. Mimo to musimy dokładnie sprawdzić.

Wilk nic nie odpowiedział i milczał do Nowolipia, gdzie pożegnał się z Zakrzeńskim szybkim uściskiem swojej jak zwykle miękkiej dłoni. Odjeżdżając, Zakrzeński miał wrażenie, że w kierunku prokuratora ruszyła spod drzewa niewysoka postać. Nie wyglądało to szczególnie groźnie, poza tym komisarz miał o wiele ważniejsze sprawy na głowie.

– Witam szanownego pana – redaktor Wojciech Walny odezwał się dokładnie w momencie, w którym prokurator Wilk przymierzał się do naciśnięcia pierwszego guzika domofonu. – Czyżbym pana przestraszył?

– Witam. Czego pan znowu chce?

– O, czy to ładnie tak się witać z przyjacielem? Albo, jak by to powiedzieli Anglicy, *with the friend*.

– Trzyma pan ręce za plecami. A tam pewnie nóż.

– Widzi pan, błąd. Też podłużne, ale coś innego.

Walny pokazał Wilkowi butelkę czerwonego wina.

– Naprawdę dobre – powiedział. – Prawie na debet wszedłem. Wiem, że pan byle czego nie rusza.

– Więc czegoś pan jednak chce.

– Miłego wieczoru w miłym towarzystwie. Czegóż by innego? Przecież wiem, że po poprzednim razie na pewno mi pan nic nie zdradzi na temat żadnego śledztwa. Zresztą żadnego ciekawego śledztwa pan przecież teraz nie prowadzi, więc o co się rozchodzi?

Zakrzeński znalazł wolne miejsce tuż obok miejsca, przy którym godzinę wcześniej wysadził Agnieszkę Pająk. Tutaj kazała mu się zatrzymać, ale dystans do trzech klatek wieżowca był stąd taki sam. Nie będzie łatwo, pomyślał Zakrzeński. W tym momencie usłyszał, jak otwierają się drzwi po stronie pasażera.

– Trochę ci to zajęło – powiedziała Agnieszka Pająk, sadowiąc się na fotelu. – No dobra, jedziemy do ciebie. Mieszkam z koleżanką. Niczego sobie, ale nie mam w zwyczaju zaczynać od menażerii na trzy. I weź od razu zadzwoń po pizzę, umieram z głodu. Cokolwiek, byleby było dużo mięsa i nie za dużo warzyw.

Rozdział 4

Sobota

Zakrzeński otworzył oczy. Agnieszka Pająk już nie spała. Siedziała na środku łóżka naga i przeglądała jego telefon.

– Nie rób takiej miny – odłożyła leniwym ruchem aparat. – Chciałam zobaczyć, jakie masz zdjęcia. A ty nie masz żadnych.

Od robienia zdjęć mamy fotografów, pomyślał, ale nie powiedział tego na głos. Agnieszka przeczesła sobie rękami włosy i szeroko ziewnęła.

– To co, przespałeś się z moim pytaniem? Nawet nie pamiętasz. Widzisz, jaki jesteś. Pytałam wczoraj, czy twoim zdaniem ja bym się nadawała do pracy u was. Nie w mundurze, rzecz jasna, mundury macie paskudne. Nie mam pojęcia, dlaczego te kobitki się zgadzają w nich chodzić. Ale przecież nie trzeba chodzić w mundurze, co? Ty nie chodzisz, ten rudy szkieletor, którego ze sobą miałeś, też nie...

– Chciałabyś się zajmować zabójstwami? – Zakrzeńskiemu udało się dojść do głosu. – Zwłoki i tak dalej. Nic fajnego.

– No – zgodziła się poważnie Agnieszka Pająk. – Chyba nie. Ale przecież macie jakieś kradzieże, nie? Oczywiście bez przemocy. Coś widzę, że to może nie najlepszy pomysł. Zresztą mnie by przecież wystarczyło coś prostszego, nawet być taką prostą sekretarką. One przecież nie noszą mundurów, co?

– Nie.

– Ale mogą iść wcześniej na emeryturę.

– Jak na razie.

– Czyli super. No to co, myślisz, że bym się nadawała?

Zakrzeński wzruszył ramionami.

– Czemu nie.

Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko.

– To co, masz dla mnie jakąś propozycję?

Nie zdążył nic powiedzieć, bo w tym momencie zadzwonił jego

telefon. Agnieszka Pająk szybko spojrzała na wyświetlacz.

– Jakiś numer bez kontaktu – powiedziała. – Mam nadzieję, że to nie ta druga.

Zakrzeński wziął od niej telefon i przyjął rozmowę.

– Panie komisarzu, obiekt właśnie wrócił do domu taksówką – usłyszał głos w słuchawce. – Nie mam pojęcia, gdzie się szwendał.

– Jaki znowu obiekt?

– Kulak Jan, panie komisarzu – odparł z pewnym zdziwieniem głos.

– Dzięki, jadę – rzucił i rozłączył się.

– I co, zostawisz mnie samą? – Agnieszka Pająk wykrzywiła usta w udawanym smutku. – Dobra, mam nadzieję, że to nie potrwa długo. Przynies coś fajnego na śniadanie, jak będziesz wracał.

Przysunęła się do niego lekko, tak jakby chciała tylko musnąć jego usta, ale zamiast tego ugryzła go mocno w dolną wargę i wepchnęła mu język niemal w gardło. Oderwał się od niej z najwyższym trudem.

– Wrócę szybko – obiecał.

Po przebudzeniu Wilk dłuższą chwilę leżał nieruchomo, próbując pozbierać myśli. Dosyć szybko udało mu się dojść do kilku wniosków. Po pierwsze było rano – nie musiał otwierać oczu, żeby to stwierdzić, światło wpadało przez powieki. Po drugie był w ubraniu, raczej nie w marynarce, ale na pewno nie w piżamie. Po trzecie: leżał nie na łóżku, tylko na czymś twardym.

Prawdopodobnie była to podłoga w jego własnym mieszkaniu, ale pewności nie miał. Musiał to jak najszybciej sprawdzić. Nie byłoby dobrze, gdyby prokurator prokuratury okręgowej został w takim stanie znaleziony na ulicy lub na klatce schodowej.

Otworzył oczy, uniósł głowę. W tym momencie poczuł, jak wszystko zaczyna wirować z oszałamiającą prędkością, ktoś wbił mu w czaszkę wielkie metalowe gwoździe, a zawartość żołądka wędruje w stronę gardła. Na szczęście zamknięcie oczu i położe-

nie głowy na podłodze uspokoiło sytuację.

Była sobota, nie musiał się nigdzie spieszyć. Przynajmniej zdążył się upewnić, że jest u siebie.

Zakrzeński dwadzieścia minut stał przy furtce domu Jana Kulaka na tyłach parku Szczęśliwickiego i dusił dzwonek. Dawno uznaliby, że dzwonek jest zepsuty, ale słyszał dźwięk dobiegający z wnętrza mieszkania – tak głośny, że obudziłby umarłego. Najwyraźniej Jan Kulak zalał się bardziej niż w trupa.

Wreszcie drzwi się otworzyły i na progu stanął rozczochrany gospodarz w slipach i w podkoszulku na ramiączkach.

– Przestań, chuju, dzwonić, bo wezwę psy! – krzyknął.

– Nie musisz wzywać – odparł Zakrzeński.

– O, pan komisarz – powiedział z wyraźnym zdziwieniem w głosie Kulak. – Jak to miło. Co prawda całą noc pracowałem, ale zawsze jestem chętny do rozmowy z panem.

Zwolnił zamek furtki i wpuścił Zakrzeńskiego do wnętrza domu. Zionęło od niego alkoholem, papierosami i może czymś jeszcze, ale nie sprawiał wrażenia kogoś, kto się zaraz wywróci.

Bez słowa zaprowadził Zakrzeńskiego do nowocześnie urządzonej kuchni, zdjął z półki półtoralitrową butelkę wody i jednym ciągiem wypił niemal połowę zawartości. Potem odkręcił kran i włożył głowę pod wodę na dobrą minutę. Na koniec otrzepał się jak piesek.

– No więc? – zwrócił się do Zakrzeńskiego.

– Całą noc pan pracował?

– Tak. Wie pan, na czym polega biznes, marketing? Na kontaktach, to jest najważniejsze. Nad tym właśnie pracowałem, i to bardzo ciężko.

– Oczywiście.

– A jeśli się po prostu bawiłem, to co, złamałem jakieś prawo? – Kulak nagle porzucił udawaną grzeczność. – Chyba się pan nie spodziewał, że będę po nim chodził w żałobie?

– Może pan nawet śpiewać z radości, nic mnie to nie obchodzi. Interesuje mnie co innego. W czasie przerwy w obradach po wyj-

ściu z toalety wcale nie zszedł pan na dół. Otworzył pan i zamknął drzwi, ale został na górze.

– Skąd to niby wiecie?

– Zapisy z kart.

– Ach, kurwa, jasne. – Kulak uderzył się otwartą dłonią w czoło, ale nie sprawiał wrażenia specjalnie zdenerwowanego. – No fakt, chyba rzeczywiście nie do końca precyzyjnie się wyraziłem.

– To się nazywa składanie fałszywych zeznań.

Słowa te wywarły na Kulaku zdecydowanie mniejsze wrażenie, niż Zakrzeński się spodziewał.

– Wie pan co, miałem czas, żeby się nad tym wszystkim trochę na spokojnie zastanowić. I nie dam się wkręcić w jakieś nie wiadomo jakie historie ani histerie jak wczoraj. Niczego mi nie dowiedziecie, bo nie ma czego. A jeśli chodzi o te drzwi, to trudno, pomyliłem się, zapomniałem, każdemu się zdarza. Dla was to przecież niczego nie zmienia, nie?

– To ja ocenię. – Zakrzeński stłumił złość. – Na razie chcę się dowiedzieć, po co był ten cyrk i po co pan został na czwartym piętrze.

Usłyszeli odgłos otwierania i zamykania drzwi zewnętrznych. Do kuchni weszła, trzymając torbę z zakupami, niezbyt wysoka kobieta, której twarz chyba permanentnie była skrzywiona.

– Kto to jest? – burknęła, patrząc na Zakrzeńskiego.

– Pan komisarz Za... za coś tam. Przyniosłaś, mamusia, kefir?

Nie odrywając wzroku od Zakrzeńskiego, kobieta wyłuskała z torby białą butelkę i podała ją synowi, który w ciągu kilku sekund opróżnił jej zawartość.

– No, teraz lepiej – sapnął i głośno beknął. – Sorki. Teraz mogę odpowiadać.

– Odpowiadać? – powtórzyła kobieta.

– Właśnie zadałem pani synowi ważne pytanie.

– Nie jestem wcale pewna, czy to dobry pomysł, żeby Jan odpowiadał na pańskie ważne pytania właśnie w tej chwili. Chyba widać pan, że jest lekko niedysponowany.

– Nie, jest git, mamusia – wtrącił się Kulak. – Wolę to, niż latać na komendę.

– Dobrze by było, gdybyś się przez chwilę nie odzywał – powiedziała jego matka.

– Myślę, że pani syn jest dorosły i może sam o tym decydować – powiedział Zakrzeński. – A jeśli nie ma nic do ukrycia, to nie rozumiem, czemu nie miałby odpowiedzieć na moje pytanie.

– Poza tym – Kulakowa sprawiała wrażenie, jakby go zupełnie nie słyszała – jeśli Jan ma udzielać wywiadów prasie, to chyba lepiej by było, żeby rozmawiał bezpośrednio z dziennikarzami. Mniej poplączą.

– Słucham? – zapytał Zakrzeński.

Wyglądało na to, że Kulak także nie zrozumiał, o co chodzi jego matce. Kobieta sięgnęła do siatki z zakupami, wyciągnęła z niej egzemplarz „Super Prawdy” i podała Zakrzeńskiemu. Na pierwszej stronie widniał wielki tytuł „Co widziała pani dyrektor?”, a pod nim duże zdjęcia siedziby OKZ Development. Część tarasu na czwartym piętrze zakreślono czerwonym kółkiem, obok którego znajdowało się zbliżenie, czyli niewielki rysunek zatytułowany szumnie „Rekonstrukcja”. Przedstawiał on osobę z papierosem, która stała odwrócona tyłem do czytelnika, a przodem do drzwi tarasowych i przyglądała się temu, co dzieje się wewnątrz. Tam z kolei widać tylko było nienaturalnie duży kieliszek i zbliżający się do niego cień ręki trzymającej fiolkę.

Zakrzeński przeczytał szybko kawałek sąsiadującego z artykułem komentarza redakcyjnego: „Policja ustaliła ponad wszelką wątpliwość, że pani dyrektor, sama nie będąc zamieszana w sprawę, mogła widzieć, kto zbliżył się do feralnego kieliszka, żeby sporządzić zabójczy koktajl. Mogła, czyli prawdopodobnie widziała. Dlaczego więc milczy – czy kieruje nią źle pojęta lojalność, strach, a może jeszcze coś innego?”.

– Można mieć wrażenie, że mają od was informacje z pierwszej ręki – powiedziała Kulakowa. – Więc w tej sytuacji...

– Skąd ma pani pewność, że to jest oparte na faktach? – zapytał ostro Zakrzeński.

– Mówi pan, że nie jest?

– Tak czy inaczej, ja prasie żadnych informacji nie sprzedaję – powiedział Zakrzeński, czując narastającą złość. – Potrzebuję od

niego odpowiedzi, i to szybko. Możemy porozmawiać tutaj albo jedziemy na komendę.

– A jeśli weźmie nas pan na komendę i okaże się, że Jan wypił jedno piwo za dużo, żeby móc zeznawać?

– Nie wezmę was, wezmę jego. Pani tam nikt nie wpuści – powiedział Zakrzeński i zwrócił się bezpośrednio do Kulaka. – Był pan już kiedyś w izbie wytrzeźwień?

– Janku, zadzwonię po Andrzeja – powiedziała Kulakowa.

Zabrzmiało to trochę tak, jakby mówiła o ochroniarzu albo nawet o lokaju, który miałby Zakrzeńskiego wyrzucić za drzwi. Komisarz domyślił się, że chodzi o adwokata.

– Spoko, mamusia, to nic takiego – powiedział Kulak i napił się jeszcze trochę wody z niemal pustej butelki. – Naprawdę mogę mu powiedzieć. Powinno go to zaciekawić. No więc nie poszedłem na dół, bo chciałem sobie posłuchać, o czym gruchała ta dwójka.

– Jaka dwójka?

– Jak to jaka? Ci, co tam byli. Ta laska, jak jej tam, Anna Mucha, i stary Oleńczuk. Od razu wyczułem, że coś jest na rzeczy. To znaczy od razu jak wyszedłem z kibla. Nic wtedy nie usłyszałem, ale oni tak odskoczyli od siebie, jakby się właśnie całowali. To mnie, rzecz jasna, zaciekawilo. Choćby dlatego, że ta laska jest rzeczywiście niczego sobie, a starszy Oleńczuk z kolei sprawia wrażenie mnicha. Wiem, że ma żonę, ale wiadomo, jak to jest w małżeństwie. On przecież nawet dzieciaka sobie nie zrobił. Byłem ciekaw, o co w tym biega. Udałem, że idę na dół, i podszedłem za róg korytarza. Ale tam cicho. To sobie myślę, że chyba rzeczywiście się wymieniają śliną przez blat, więc wyjrzałem. A tu niespodzianka! Nie ma ich. Tylko na zaplecze sekretariatu mogli pójść. No więc sobie myślę, może to będzie nawet coś lepszego niż obcałowywanie. Poleciałem do dużej sali konferencyjnej, tej po prawej stronie, przez nią na taras i do okienka, tak wie pan, ostrożnie.

Przerwał i upił łyk wody, najwyraźniej specjalnie to celebrując.

– I co dalej? – indagował Zakrzeński. Czuł, że zaczyna mu się robić sucho w gardle.

– Gówno. – Kulak wzruszył ramionami. – To znaczy nic ciekawego. Nawet się raz nie dotknęli. Jakbym miał fonię, to by było co innego, ale przez to okno nic nie słyszałem. Najpierw ona coś mówiła, tak niby zalotnie, wie pan, uśmiechała się, poprawiała włosy. Potem wyciągnęła coś z torebki i chciała mu to dać. Płytkę CD albo coś takiego. Ale on nie chciał tego wziąć, tylko sam zaczął mówić. Dosyć długo coś pieprzył. Sprawiał wrażenie poważnego, ona też się przestała uśmiechać. No i potem się odwrócił i wyszedł, a ja szybko pobiegłem z powrotem do drzwi, żeby nie wpaść.

Jak wróciłem na korytarz, usłyszałem, że się zamykają w tamtej części jakieś drzwi, czyli chyba starszy Oleńczuk wlaźł do gabinetu starego, to znaczy Zawirskiego, ale ja tego nie widziałem. Dziewczyna z kolei musiała sięść za biurkiem, bo usłyszałem stukot klawiatury. Chyba była zła, bo mocno waliła. O szczegóły pan musi bezpośrednio do tej parki uderzyć. Ja w każdym razie poczekałem chwilę, potem otworzyłem i zamknąłem te drzwi, żeby dziewczyna myślała, że byłem na dole. I wróciłem do sali posiedzeń.

– Dlaczego nie powiedział pan prawdy? – zapytał Zakrzeński. – Ani mnie, ani prokuratorowi?

Kulak stracił nieco rezon.

– No nie wiem – wzruszył ramionami. – Może to trochę dziecinne, że ich śledziłem. Poza tym chcecie sobie zobaczyć, co ludzie kombinują, to jedno, ale kablować wam, to mniej fajne. Podejrzywałem, że oni się z tym nie będą wrywać. Wtedy nie wiedziałem, że wy z tym wszystkim od razu lecicie do prasy.

Wyszczерzył zęby w głupim uśmiechu, który Zakrzeński postanowił natychmiast zgasić.

– Jest jeszcze inna możliwość – zauważył. – Nie wspomniał pan o tym, bo wcale nie poszedł pan na taras z drugiej strony podglądać Oleńczuka i dziewczynę, tylko...

– Dość – wtrąciła Kulakowa. – To koniec tej rozmowy, proszę się natychmiast stąd wynosić.

– Co, pan myśli, że ja wtedy wlaźłem do salki i dosypałem Oleńczukowi czegoś do kieliszka? – po raz pierwszy w czasie tej roz-

mowy Kulak naprawdę stracił pewność siebie, zrobił się czerwony. – Przecież to bzdura kompletna! No proszę. Po kiego grzyba miałbym to robić?

– Zamknij się – krzyknęła Kulakowa. – Ani słowa więcej.

– Zaraz, wiem – Kulak nagle się trochę rozluźnił. – Przecież wy zbieracie, te, jak to się nazywa, odciski papilarne, nie? No to możecie sprawdzić, że byłem na tym tarasie z drugiej strony. Pamiętam, że przytrzymałem się parapetu, jak zaglądałem przez okno do kanciapy. Muszą być tam moje odciski, nie? Normalnie tam nie łążę.

– Sprawdzimy to – obiecał Zakrzeński. – Tak czy inaczej, będziemy jeszcze musieli z panem porozmawiać. I następnym razem radzę trzymać się prawdy. Do widzenia.

– Mam nadzieję, że pan przyśle ten wywiad do autoryzacji – dobiegł go przy drzwiach głos Kulakowej.

Zakrzeński wszedł do swojego golfa i odpalił silnik. Pierwszą myślą było natychmiast wracać do siebie, rozmówić się z Agnieszką Pająk i pozbyć się jej z domu. Ale szybko ochłonął i doszedł do wniosku, że lepiej będzie, jeśli najpierw porozmawia z Witoldem Oleńczukiem. Kiedy do niego zadzwonił, okazało się, że Oleńczuk przebywa właśnie u ojca.

Dom Zbigniewa Oleńczuka w Podkowie Leśnej nie był szczególnie okazały ani piękny, ale pokryta drzewami działka, na której stał, była tak wielka, że Zakrzeński nawet nie próbował zgadywać, ile cała posiadłość może być warta. Zaparkował przy płocie i zadzwonił do furtki; wpuszczono go bez zadawania pytań, ale musiał na to chwilę poczekać. Inaczej było przy drzwiach wejściowych do domu; Witold Oleńczuk otworzył je, zanim Zakrzeński zdołał zlokalizować dzwonek.

– Proszę za mną, panie komisarzu – powiedział i od razu ruszył w głąb domu. Zaprowadził Zakrzeńskiego na piętro do pokoju przypominającego niewielki salonik. W głębi były niedomknięte drzwi do kolejnego pomieszczenia, z którego dobiegał niemożliwy do pomylenia z cymkolwiek innym zapach szpitala.

– Przepraszam, ale musimy rozmawiać tutaj – powiedział Zakrzeński. – Tak, żebym w razie czego usłyszał.

– Jeśli zawoła?

– Nie zawoła – pokręcił głową Oleńczuk. – Może zajęczeć, ale to co innego. Natomiast w każdej chwili może zacząć umierać. Naprawdę umierać. Dusić się, charczeć, nie wiem. W każdym razie nie można go zostawić bez nadzoru.

– Rozumiem, że ma kogoś do opieki? Pan przecież pracuje.

– Ma dwie kobiety, na zmianę, ale one też kiedyś muszą odpocząć.

– To spory koszt. Dzielił go pan z bratem?

Oleńczuk zmarszczył brwi, uśmiechnął się kwaśno.

– No tak, zapomniałem, że to kolejne przesłuchanie. Koszt jest oczywiście spory, ale ojciec ma dużo pieniędzy, jak pan zapewne wie. Nikt niczego nie musi dokładać.

– Dlaczego nie najmiecie trzeciej kobiety?

– Wcale nie tak łatwo znaleźć kogoś zaufanego, nawet jak pieniądze nie są zmartwieniem. Tak naprawdę chodzi o coś innego. Doszedłem do wniosku, że jeden dzień w tygodniu mogę mu poświęcić. Gdybym miał skłonność do patosu, powiedziałbym, że jestem mu to winien, ale zostanmy może przy tym, że mogę. Od jakiegoś już czasu spędzam z nim, czy raczej przy nim, soboty: od rana do niedzieli rano.

– W niedzielę rano zmieniał pana brat.

Wąsy Witolda Oleńczuka zadygotały, chwilę potem pojawił się pod nimi leciutki uśmiech.

– Nie. Krzysztof bywał tu rzadko. Prawie w ogóle. Uważał, że ojciec powinien zostać oddany do hospicjum. Pewnie miał rację, tylko że kiedy jeszcze był z nim kontakt, ojciec powiedział kilka razy wyraźnie, że chciałby umrzeć w domu. W każdym razie, jeśli do tego pan zmierza, nie zabiłem brata dlatego, że nie zajmował się ojcem. Tak naprawdę nie miałem mu tego wcale za złe. Siedzę tu, bo taki jest mój wybór.

Zza niedomkniętych drzwi dobiegł zduszony jęk.

– Przepraszam – powiedział Witold Oleńczuk. Wstał, w nieco dziwny sposób uklonił się Zakrzeńskiemu i zniknął za drzwiami,

ale niemal od razu wrócił. – Panie komisarzu, nie chciałbym pana popędzać, ale muszę przyznać, że cały czas zastanawiam się, jaki właściwie jest cel pańskiej wizyty.

– Okłamał nas pan – powiedział Zakrzeński prosto z mostu. – Powiedział nam pan, że w czasie przerwy w posiedzeniu był w holu, a potem wszedł do gabinetu prezesa. Wiemy, że wszedł pan na chwilę z sekretarką do magazynku.

Wąsy Oleńczuka znowu lekko zadrżały. Mężczyzna przyglądał się Zakrzeńskiemu bez słowa i powoli skinął głową.

– Oczekuję wobec tego wyjaśnień.

– Oczywiście, ma pan do nich prawo. Rozumiem, że moje postępowanie nie stawia mnie w najlepszym świetle. To, co zataiłem, nie ma żadnego związku ze sprawą. Zresztą skoro ona zdecydowała się o wszystkim opowiedzieć, chyba wie pan, że tak jest?

Zakrzeński milczał, nie wyprowadzając Oleńczuka z błędu co do źródła swoich informacji.

– No dobrze, rozumiem, że chce pan usłyszeć moją wersję. Wobec tego zacznę od samego początku. Pewnego dnia, zresztą była to sobota i spędzałem noc sam tutaj, przy ojcu, wszedłem na jakiś głupi czat w internecie. Nie wiem, co mnie podkusiło, nie zrobiłem tego nigdy wcześniej ani później. W każdym razie, zanim się zorientowałem, co robię, zacząłem rozmawiać, to jest „rozmawiać” w cudzysłowie oczywiście, chodzi o pisane wiadomości, z dziewczyną o ksywce Pajączek. Nie, jest na to jakieś inne słowo w internecie. Nick, o właśnie. Więc miała nick Pajączek. Chciałem to przerwać, wiedziałem, że powinienem, ale nie mogłem. Było to jednocześnie straszliwie głupie i jakoś przyjemne. Można powiedzieć, że poczułem się młody... Więc ona zaproponowała spotkanie. W tym momencie pomyślałem, że to idzie za daleko i że jak jej powiem, jaki jestem stary, to mi da spokój. A ona na to, że lubi dojrzałych mężczyzn i takie tam... Pewnie w jakiś sposób chciałem w te bzdury uwierzyć, no i uwierzyłem... Powinienem się domyślić, o co jej naprawdę chodzi. Nawet po tym, że jak zeszło na mój wiek, od razu zaczęła mnie wypytywać, czym się zajmuję...

Zresztą cały czas miałem wrażenie, że to się nie zdarzy. Że albo

ja tam nie pojedę, albo pojedę, a jej tam nie będzie. Albo się okaże, że to jakiś głupi numer, i jak zadzwonię do tego mieszkania, które mi wskazała, otworzy mi napakowany dresiarz albo stara megiera, cokolwiek. Tak, chyba tam jechałem z poczuciem, że to się nie może zdarzyć.

– To było w tę sobotę, kiedy pan z nią zaczął czatować?

– Nie, oczywiście, że nie, nie zostawiłbym przecież ojca samego. Następnego dnia rano powiedziałem żonie, że mam coś do załatwienia. Pojechałem. Ona rzeczywiście tam na mnie czekała i wszystko potoczyło się bardzo szybko. Za szybko. Nie powiedziałbym, że to był najlepszy seks w moim życiu, chociaż ciało dziewczyna ma naprawdę niezłe.

Do tej pory Oleńczuk mówił ze wzrokiem wbitym w podłogę, ale przy ostatnich słowach podniósł wzrok i zaczął się intensywnie przyglądać Zakrzeńskiemu. Czyżby to była zaczepka albo ukryte pytanie?

– Przepraszam za tę ekshibicjonistyczną szczerłość, panie komisarzu, ale skoro muszę o tym mówić... W każdym razie potem na chwilę przysnąłem. Kiedy się obudziłem, ona zrobiła jakieś kanapki, niezbyt dobre. Jedliśmy i próbowaliśmy rozmawiać. Szybko się zorientowałem, o co jej właściwie chodziło. To znaczy trudno było się nie zorientować, ona waliła prosto z mostu. No przesadzam, trochę owijała w bawełnę, nie mówiła „załatw mi pracę”, tylko „chciałabym, żeby ktoś się na mnie w końcu poznał”. A potem jednym tchem: „Powiedz mi, czy u was nie szukają jakichś asystentek?”. No i wtedy wiedziałem, że muszę jak najszybciej stamtąd uciekać. Ona mnie puściła, tylko udawała rozczarowaną, a ja w swojej naiwności myślałem, że to koniec.

Oleńczuk pogładził wąsy.

– No i następnego dnia dostaję od niej maila, a w mailu załącznik. Moje zdjęcie, jak leżę w jej łóżku, zrobione wtedy, kiedy przysnąłem. Bardzo wyraźne, nie ma najmniejszej wątpliwości, że to ja, że jestem bez ubrania i że to nie moje łóżko. A do tego bezczelny tekst, że dziękuje za propozycję, jakie jej przedstawiłem, ale chciałaby się dowiedzieć trochę więcej o tym, jaka to praca, ile będzie pensji... Wiedziałem, że jeśli się nie ugnę, to zdjęcie trafi

do mojej żony. Z początku miałem zamiar być twardy. Potem... – na chwilę zamilkł. – Widzi pan, komisarzu, nie chodzi o to, że się bałem rozpadu małżeństwa. W pewnym sensie moje małżeństwo nie istnieje. Nigdy nie było nam dane mieć dzieci i teraz coraz bardziej zdajemy sobie z żoną sprawę, że praktycznie nic nas nie łączy. Poza jednym, co określiłbym jako, proszę wybaczyć pewien patos, nic przyjaźni. I wzajemnego szacunku. Myślę, że każde z nas wybaczyłoby drugiemu, gdyby nagle oświadczyło, że chce jeszcze raz spróbować zbudować szczęście z kimś innym. Ale to... Pomyślałem wtedy, że spaliłbym się ze wstydu, gdyby moja żona się dowiedziała, że wpłatałem się w coś tak głupiego z takim zere-m jak ta dziewczyna. Tak, obawiałem się przede wszystkim wstydu... No więc powiedziałem, że załatwię jej jakąś posadę dla świętego spokoju.

– Tylko tego chciała? – zapytał Zakrzeński. – Nie żądała pieniędzy?

– O dziwo, nie. Ja to chyba rozumiem, tak mi się przynajmniej wydaje. Pieniądze to poważniejsza sprawa, łatwiej wywołać opór ofiary. A coś takiego? W sumie nic mnie to nie kosztuje. Mniej więcej tak właśnie sobie pomyślałem. Oczywiście powinienem wiedzieć, jak to działa, to znaczy, że na jednym się nie skończy. Po miesiącu okazało się, że praca w recepcji głównej to jednak nie jest to. Że w swoim mniemaniu ta dziewczyna zasługuje na więcej. Zaczęła truć mi głowę, że chce czegoś lepszego. Czyli zaczęła się eskalacja żądań. Ugiąłem się drugi raz i kiedy się dowiedziałem, że sekretarka Zawirskiego wyjeżdża na dłużej do sanatorium, wcisnąłem ją na to miejsce. Prawdę mówiąc, miałem też nadzieję, że to doprowadzi do jakiegoś rozwiązania. Że albo on ją szybko wypieprzy z tej roboty, albo, hm, jak by to powiedzieć, wypieprzy ją w innym sensie i ja będę miał spokój.

Łudziłem się. Ona dopiero nabierała rozpędu. W środę chyba dostałem od niej maila – że dzięki, bardzo fajnie jej się pracuje z panem prezesem, ale niestety wie doskonale, że to coś tymczasowego... I że muszę się postarać bardziej. Nie, dosłownie było, że powinienem się postarać bardziej ze względu na to wszystko, co nas łączy. Wtedy zrozumiałem, że na tym się nie skończy. Że

w końcu zażąda ode mnie pieniędzy i nigdy się od niej nie uwolnię... Postanowiłem się z nią ostatecznie rozmówić. Okazja nadarzyła się podczas przerwy w posiedzeniu. Wyszedłem do holu, stanąłem blisko niej i powiedziałem, że to koniec. Że jeśli jeszcze raz się do mnie odezwie, to natychmiast wyleci z tej posady, którą jej załatwiłem. Trochę straciła rezon, widziałem też, że jest wściekła. Zanim zaczęła odpowiadać, z łazienki wyszedł Kulak. Poczekaliśmy, aż wyjdzie z piętra, i wtedy ona skinęła na mnie, żebym za nią poszedł do magazynku. Poszedłem, bo chciałem tę rozmowę raz na zawsze skończyć. Wyciągnęła z torebki płytkę DVD. Powiedziała, że powinienem to sobie obejrzeć, bo mnie to zacieka wi. I że to może zainteresować nie tylko moją żonę.

– Wziął pan tę płytkę?

– Nie. Domyślam się, co na niej było. Zdjęcia, którymi do tej pory mnie szantażowała, nie były zapewne jedyną pamiątką tamtego spotkania. Nie miałem najmniejszego zamiaru oglądać filmu pornograficznego ze swoim udziałem. Powiedziałem jej, żeby płytkę sobie wsadziła w dupę. Miałem jej ochotę powiedzieć, że ją zniszczę, że mam tyle pieniędzy, ile ona nigdy w życiu nie zobaczy, i że mogę za to nająć najlepszych prawników, prywatnych detektywów. Albo takich gości, którzy sprawią, że nikt nigdy nie będzie miał ochoty z nią spać. Opanowałem się. Pomyślałem, że nie jest zbyt rozsądne mówić szantażystce o swoim bogactwie i że ona to na pewno nagrywa. Więc w końcu powiedziałem tylko, że ma mnie zostawić w spokoju, bo nic ze mną nie ugra, bo wszystko powiedziałem żonie. To był całkowity blef, nie wiem, czy uwierzyła, pewnie nie. I że jeśli jeszcze raz w ogóle do mnie z tym wyjdzie, to natychmiast zwrócę się o pomoc do policji. Odwróciłem się i od razu poszedłem do gabinetu Zawirskiego.

– A ona?

– Wyszła zaraz za mną. Nic nie mówiła. Myślę, że moja reakcja ją trochę zaskoczyła, pewnie się zastanawiała, co dalej.

– Jak to się stało, że wasze zeznania były spójne?

Oleńczuk wzruszył ramionami.

– Po prostu w ogólnym zamieszaniu mieliśmy czas to uzgodnić. To znaczy, jak już było wiadomo, że Krzysztof nie żyje i czekamy

na policję, ona sama do mnie podeszła i powiedziała coś w stylu: „Ja nie powiem, jak ty nie powiesz”. Zgodziłem się. Przepraszam pana teraz za to, w sumie nie potrafię do końca wytłumaczyć, dlaczego tak postąpiłem. Na pewno to jej bardziej na tym zależało, nie sądzę, żeby miała ochotę rozmawiać z policją o tym, jak próbowała mnie szantażować. Rozumiem, że zmieniła zdanie.

– Dobrze – zawahał się Zakrzeński. – No cóż, jeśli...

Przerwał mu długi, dosyć przeraźliwy jęk, po którym niemal od razu rozległ się następny. Oleńczuk szybko wstał i wyprostował się, a właściwie stanął na baczność.

– Muszę do niego iść. I teraz to prawdopodobnie potrwa dłuższą chwilę. Proszę się nie obawiać, tu nie chodzi o ból, dostaje najlepsze środki przeciwbólowe. W każdym razie, jeśli nie miałyby pan nic przeciwko temu, żeby samemu wyjść...

Zakrzeński zaparkował przed swoim blokiem. Przez dłuższą chwilę pozostał w samochodzie, zastanawiając się, jak najlepiej podejść do czekającej go rozmowy z Agnieszką Pająk. Nie wymyślił nic mądrego, więc w końcu poddał się i ruszył na górę.

Dziewczyna siedziała w kuchni przy stole w białym podkoszulku Zakrzeńskiego i w majtkach. Było widać prawie każdą część jej naprawdę niezwykle zgrabnych nóg. Tylko na udach siedziała Laura, mrużąc oczy, i zapamiętała mruczała.

– Słodka kicia – westchnęła Agnieszka Pająk. – Żona ci ją zostawiła?

Dosyć przenikliwa uwaga, pomyślał Zakrzeński.

– Nigdy nie miałem żony – wyjaśnił.

– Coś cię ugryzło – stwierdziła Agnieszka Pająk i wyraźnie się spięła. Wyprostowała się, przestała głaskać Laurę, która zareagowała na to wyraźną irytacją.

– Złożyłaś fałszywe zeznania – rzucił. – W czasie przerwy w posiedzeniu nie siedziałeś cały czas na swoim miejscu, tylko weszłaś z Witoldem Oleńczukiem do kanciapu.

– Skurwiel – syknęła Agnieszka Pająk i zmieniła ton na lekceważący. – No tak, weszłam. Nie myślałam, że to takie ważne, gdzie

byłam. Nie widziałam sensu, żeby wyciągać na światło dzienne te drobne sprawy, które miałam z nim do załatwienia.

– Nakłamałaś mnie, to pół biedy. Taki mam zawód, że muszę się czasem zadawać z kurwami. Ale zeznania przed prokuratorem, podpisane... Nieźle się wkopałaś.

Uważnie obserwował dziewczynę. Była dobrą aktorką, mimo to zauważył emocje, które z prędkością błyskawicy przelatywały przez jej twarz: wściekłość, kiedy wypowiedział słowo „kurwa”, przestrasz, intensywne zamyślenie, ulga. Wydaje jej się, że znalazła rozwiązanie, pomyślał. Zaraz potem uświadomił sobie, jakie to rozwiązanie.

– Myślisz, że jak się prześpisz także z nim, to sobie wszystko załatwisz? Raczej się przeliczysz. Prokurator jest bardzo pryncypialny.

– Nie sędzę. Raczej bardzo niedojebany.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

– Po chuja ci było pchać mi się do łóżka? – zapytał Zakrzeński i od razu pożałował, że nie może tego pytania cofnąć.

– No po chuja to na pewno nie, pod tym względem nie masz nic ciekawego do zaoferowania – odpowiedziała ze złością, która Zakrzeńskiego zaskoczyła. – Czy to nie wszystko jedno?

Szybko i gwałtownie wstała, nie przejmując się zupełnie Laurą, która wykonała w powietrzu coś w rodzaju beczi, z największym trudem wylądowała na czterech łapach, po czym zaprotestowała miauknięciem i natychmiast uciekła z kuchni.

– Rozumiem, że chcesz, żebym sobie poszła. Nie ma sprawy, tylko się ubiorę.

Sięgnęła po telefon leżący na brzegu stołu. Zakrzeński ją uprzedził. Szybko odnalazł folder ze zdjęciami. Ostatnie przedstawiało Agnieszkę Pająk w towarzystwie dwóch innych dziewczyn w nocnym klubie. Oddał jej telefon, który wzięła z drwiącym uśmiechem.

– Wiesz, nawet gdybyś mnie prosił, nie poszłabym pracować na komendzie. Trzeba mieć naprawdę nierówno pod sufitem, żeby sobie tym gnoić ręce – wygłosiła z wyższością.

– Spierdalaj – rzucił.

Pięć minut później już jej nie było. Wyjście zaakcentowała głośnym trzaśnięciem drzwiami. Zakrzeński na wszelki wypadek przekręcił zamek w drzwiach. Wrócił do pokoju, rzucił się na łóżko i niemal od razu zasnął.

Obudził się w fatalnym stanie, tak jak zawsze, kiedy spał w dzień. Odsunął śpiącą Laurę, powłókł się do kuchni. Wypił całą szklankę kranówki. Udało mu się zaspokoić pragnienie i usunąć nieciekawny posmak z ust. Poczuł też, że jego galopujące serce zaczyna się uspokajać.

Kretyn, pomyślał po raz nie wiadomo który. Kretyn, który nie potrafi się domyślić, że jeśli tak atrakcyjna dziewczyna wpycha mu się do łóżka, to nie robi tego bez powodu. I że powodem tym nie jest jego nieodparta atrakcyjność. Kretyn, który ryzykuje spanie ze świadkiem, zanim dokładnie zrozumiał, o co chodzi w całej sprawie. Kretyn, który zostawia ledwo co poznaną dziewczynę samą w domu, nawet jeśli nie trzyma tam żadnych ważnych dokumentów ani kosztowności.

Zawsze byłeś łasy na spódniczki, pomyślał, ale teraz naprawdę przeginasz.

Zachowywał się, jakby zupełnie stracił rozum. Zresztą być może go stracił, w sumie wskazywało na to całe jego dotychczasowe skrajnie nieudolne postępowanie w tej sprawie.

Wiedział oczywiście, z czego to wynika – z tego, że nie biegał. Tego, niestety, nie mógł zmienić, musiał zostawić nogę w spokoju aż do pełnego wyleczenia. Coś musiał zrobić. Musiał wreszcie zacząć działać w jakiś sensowny, skoordynowany sposób. Tylko jak to osiągnąć?

To proste, powiedział sobie, przede wszystkim musisz się skoncentrować i stworzyć sobie jakiś sensowny plan działania. Znalazł kartkę i długopis, po czym usiadł przy stole w kuchni. Niemał od razu odłożył te rekwizyty. Jeśli sobie poradzi, to poradzi sobie bez nich. Zresztą długopis i tak był prawdopodobnie całkowicie wyschnięty.

Po kolei podsumuj, pomyślał, czego się dzisiaj dowiedziałeś. Po pierwsze, że w czasie przerwy w posiedzeniu zarządu Agnieszka Pająk z Witoldem Oleńczukiem na chwilę zniknęli z holu i za-

mknęli się w kanciapie. Po drugie, że Jan Kulak nie zszedł na dół, bo chciał podsłuchać, o czym rozmawia tamta dwójka. I po trzecie, że ktoś sprzedaje informacje szmatławcom.

Pierwszy z tych faktów nie miał żadnego wpływu na sprawę, bo bez znaczenia było to, czy Oleńczuk i Pająk rozmawiali w holu, czy w kanciapie. Ani o czym rozmawiali. Fakt drugi był o wiele istotniejszy, bo jeśli Kulak pozostał na piętrze, mógł skorzystać z okazji, wbiec do sali posiedzeń i wrzucić truciznę do kieliszka Krzysztofa Oleńczuka. Na jego korzyść przemawiało to, że opis rozmowy Oleńczuka i dziewczyny w kanciapie, który przedstawił, był spójny z tym, co zeznał sam Oleńczuk. I bardzo możliwe, że na parapecie rzeczywiście znajdzie się jego odcisk palca. Nie było to niepodważalne alibi; teoretycznie mógł najpierw wejść do sali posiedzeń bezpośrednio po tym, jak Oleńczuk i Pająk zniknęli w kanciapie, a potem szybko pobiec na taras z drugiej strony budynku przez dużą salę konferencyjną. Na wrzucenie trucizny do kieliszka nie potrzebował dużo czasu. Wszystko to brzmiało bardzo nieprawdopodobnie, ale fakt był faktem – Kulak nie miał stu-procentowego alibi.

Fakt trzeci, czyli przeciek, był przede wszystkim irytujący. Czy miał większe znaczenie, trudno powiedzieć. Jeśli paplała któraś z pracujących przy śledztwie osób, można to było zignorować, dopóki nie wynikną z tego problemy dla śledztwa. Nie należało jednak wykluczać, że ktoś z podejrzanych, najprawdopodobniej sam morderca, prowadzi w ten sposób jakąś grę.

Zakrzeński sięgnął po telefon i ponownie wybrał numer Wilka. Wszystko wskazywało na to, że i ta próba zakończy się niepowodzeniem. W końcu prokurator odebrał.

Zakrzeński przyzwyczaił się do różnorodnych pomruków, jakie Wilk zwykł wydawać przez telefon. Tym razem usłyszał coś wyjątkowo dziwnego. Najbardziej przypominało to jęk ducha z jakiegoś starego filmu; zabrakło tylko dzwonięcia kajdan w tle.

Potem, kiedy Zakrzeński relacjonował zdarzenia dnia, a raczej tę ich część, którą miał zamiar się z Wilkiem podzielić, prokurator wrócił do swoich tradycyjnych mlasków. Zakrzeński skończył. Zapadła cisza. W końcu prokurator się odezwał. Brzmiał tak, jak-

by go bolały wszystkie zęby.

– Rozumiem. Proszę działać dalej, panie komisarzu.

Ty też spadaj, pomyślał Zakrzeński i rozłączył się.

Wybrał numer podkomisarz Zychowicz.

– Cześć – usłyszał. – Widziałam ten artykuł. Od razu powiem, że to nie ja i nie sądzę, żeby to był ktoś od nas.

– Tym się zajmiemy na spokojnie – powiedział Zakrzeński i zrelacjonował jej główne wydarzenia dnia.

– Rzeczywiście, jego odciski znaleziono na tarasie z tamtej strony, pamiętam to z raportu. Nie przywiązywałam wtedy do tego wagi. Chociaż na sto procent to go nie oczyszcza.

– Nie.

– Co teraz?

– Wiemy, co ukrywała ta trójka – stwierdził po chwili namysłu Zakrzeński. – Pytanie brzmi, co ukrywają pani Szulc i pan prezes.

– Chcesz ich dopaść dzisiaj?

– Przynajmniej ją. Może u siebie okaże się mniej twarda.

– Może – w głosie Zychowicz zabrzmiał sceptycyzm. – Jeśli chcesz, żebym z tobą pojechała, spotkamy się na komisariacie w Ożarowie.

– Będę za czterdzieści pięć minut.

Anna Szulc mieszkała kilka kilometrów na północ od Ożarowa, na niemal całkowitym odludziu. Po otoczonych lasami polach rozrzucone były nieliczne domy, każdy otoczony wysokim ogrodzeniem upodabniającym go do małej twierdzy. Jeśli ktoś lubił samotność, na pewno czuł się tutaj dobrze.

Pomyśleli, że Szulc jest u siebie, bo na podwórku stało granatowe volvo, takie samo jak to, którym jeździł Krzysztof Oleńczuk. Zakrzeński przycisnął dzwonek przy furtce. Cisza. Zadzwoił więc ponownie. Niemal dokładnie w tej samej chwili z tarasu, z którego wchodziło się do budynku, zeskoczył zwałisty mężczyzna i zaczął uciekać w głąb posesji.

– Stać, policja! – krzyknął Zakrzeński i szarpnął za klamkę furtki. Zrobił to bardzo mocno, bo spodziewał się, że furtka będzie

zamknięta, ale ta ustąpiła bez problemu. Wpadł na podwórko i rzucił się w pościg.

Na początku wydawało się, że uciekający jest w pułapce, bo ogrodzenie ma niemal dwa metry wysokości. Tymczasem on dobrze wiedział, co robi – biegł w kierunku narożnika, w którym stała szopka na drewno. Z kocią zwinnością wspiał się na dach i z łatwością przeskoczył ogrodzenie.

Zakrzeńskiemu, który był od niego o wiele niższy, sprawiło to więcej problemów. Po chwili on także znalazł się na otwartym polu, które rozciągało się za posesją. Ruszył ostro do przodu. Dystans do uciekającego mężczyzny zaczął się zmniejszać. Niestety, zmniejszał się o wiele za wolno. Po kilku sekundach Zakrzeński zdał sobie sprawę, że jeśli dobrze pójdzie, dogoni uciekającego dopiero na skraju oddalonego o kilkaset metrów lasu. Potem poczuł, że zaczyna słabnąć.

Nie usłyszał kroków Zychowicz, tylko w pewnym momencie zobaczył, że mija go płomień rudych włosów. Wyglądało na to, że dziewczyna biegnie zupełnie bez wysiłku, niemal unosi się nad ziemią. Po stu, może stu pięćdziesięciu metrach zbliżyła się do uciekającego tak, że mogła rzucić się do przodu i chwycić go za nogi. Przewróciła cięższego od siebie chyba ze dwa razy męczyzną ruchem tak płynnym, jakby od lat trenowała rugby.

Zakrzeński dotarł do nich po kilku sekundach. Mężczyzna leżał nieruchomo na brzuchu, Zychowicz siedziała okrakiem na jego pośladkach i trzymała go za rękę, gotowa ją wykręcić. Wydawało się, że nie będzie to potrzebne.

– Nie stawiam oporu – wydyszał mężczyzna, kiedy kątem oka zauważył Zakrzeńskiego.

– Imię i nazwisko – powiedział Zakrzeński.

– Mikołaj Kulak.

Wielki kudłacz, pomyślał Zakrzeński, tak go opisała ciotka Zychowicz. Wielki rzeczywiście był. Z kudłacza pozostało niewiele: mężczyzna miał krótko ostrzyżone siwe włosy. Mimo to nie wyglądał na sześćdziesiąt kilka lat, które musiał mieć jako rówieśnik Zawirskiego. I nie biegał jak sześćdziesięciolatek.

– Dlaczego pan uciekał? – zapytał Zakrzeński.

– Bo ją zabił – powiedziała Zychowicz. – Leży na tarasie z roztrzaskaną głową.

Więc nie tylko zdołała dogonić Kulaka, pomyślał Zakrzeński, ale jeszcze zdążyła zajrzeć na taras. Jest niezła, mimo że popała. Nie od razu dotarło do niego, że w tych okolicznościach ma dziwne myśli.

Przyprowadzili Kulaka pod dom. Zakrzeński skuł mu ręce kajdankami, które zawsze woził w samochodzie. Mężczyzna posłusznie przysiadł na dole schodów. Zakrzeński i Zychowicz zajęli na obszerny taras, a właściwie coś pośredniego między ganikiem a tarasem.

Anna Szulc leżała na brzuchu na samym brzegu, zaraz za schodami. Interpretacja tego, co zaszło, narzucała się sama. Morderca przybył na miejsce, kiedy ofiary nie było w domu. Mógł czekać na nią na tarasie, na przykład siedząc na jednym z dwóch niskich wiklinowych foteli. Kiedy zobaczył, że Szulc wjeżdża na posesję, ustawił się za filarem i czekał. Ona weszła na taras. Pierwszy cios w tył głowy mógł być śmiertelny, a na pewno ogłuszył kobietę, co pozwoliło na zadanie kolejnych ciosów.

Zakrzeński dotknął ręki ofiary: nie była całkowicie zimna, nie była też tak ciepła, jak się spodziewał. Od chwili śmierci minęło co najmniej pół godziny, raczej nawet czterdzieści pięć minut. Dlaczego Kulak pozostał na miejscu tak długo? Może szukał czegoś w domu? Co prawda drzwi były zamknięte na klucz, ale pęk kluczy leżał koło ciała. A może wrócił po coś, bo zorientował się, że zostawił jakiś ślad, który chciał zatrzeć?

Tylko jak on się dostał na to odludzie, skoro nigdzie nie było widać żadnego samochodu ani nawet roweru i skoro uciekał w stronę lasu? Więc może wszystko odbyło się inaczej? Może przyjechał z nią, wszedł za nią po schodach i właśnie wtedy uderzył?

Z oddali dobiegł dźwięk syreny. Zobaczyli dwa samochody skręcające z głównej drogi. Za moment Zakrzeński i Zychowicz przekażą scenę zbrodni ekipie i zajmą się przesłuchaniem Kula-

ka. Zakrzeński nie spodziewał się, że to będzie łatwe.

– Ja tego nie zrobiłem – powtórzył po raz nie wiadomo który Mikołaj Kulak. – Kiedy tu dotarłem, już nie żyła. Dosłownie chwilę potem przyjechaliście wy. Gdybyście tu byli minutę wcześniej, byłibyście pierwsi.

Zakrzeński z trudem powstrzymał ziewnięcie i jeszcze raz zmienił odrobinę pozycję, ale krzesła w kuchni Anny Szulc były po prostu bezdyskusyjnie niewygodne.

– W jaki sposób pan się tu dostał?

– Na to pytanie odpowiadałem już kilka razy.

– Proszę odpowiedzieć jeszcze raz.

Ostatni, dodał w myślach Zakrzeński, bo czuł, że nie ma siły wałkować tego dalej.

– Przyjechałem pociągiem do Ożarowa, stamtąd przyszedłem pieszo.

– Siedem kilometrów?

– Godzina piętnaście – wzruszył ramionami Kulak. – Zwykle spaceruję trzy, cztery godziny dziennie, więc to dla mnie nic niezwykłego ani żaden wysiłek. Samochodu nie mam, pekaesy jeżdżą od wielkiego dzwonu, na taksówkę mnie nie stać.

– Był pan właścicielem firmy, która jest teraz warta sto milionów złotych.

– W jednym z poprzednich wcieleń byłem być może Rockefellerem, i co z tego? Teraz żyję z oszczędności, niezbyt dużych, to znaczy, nie takich dużych, jeśli się weźmie pod uwagę, że chciałbym, żeby mi wystarczyły do śmierci, a także z korepetycji i z pisania prac magisterskich.

Mówił szybko i niewyraźnie, od czasu do czasu się jękał. Ale nie sprawiał wrażenia straszliwie zdenerwowanego; wyglądał raczej na pewnego swoich racji i swojej wersji wydarzeń. Zakrzeński wiedział, że następne pytanie, powtórzone któryś raz, to zmieni.

– Po co w ogóle pan tu przyjechał?

Kulak potrząsnął głową, spuścił wzrok.

– Nie chcę o tym mówić. Mam do tego prawo, nie udowodnicie mi, że ją zabiłem.

Zakrzeński poczuł przemożną chęć ziewnięcia. Odwrócił się, żeby to ziewnięcie ukryć, i spotkał się wzrokiem z Zychowicz, która siedziała nieco z tyłu. Było aż nadto jasne, co chciała mu powiedzieć: kiedy przestaniesz się z nim cackać i go przycisniesz? Rzeczywiście najwyższy czas, pomyślał Zakrzeński.

– Dobrze, to ja panu powiem, po co pan tu przyjechał. Dowiedział się pan, że pański syn zamordował Krzysztofa Oleńczuka i że Anna Szulc o tym wie, bo widziała, jak wrzucał truciznę do kieliszka. Nie wiem, w jaki sposób pan się dowiedział, czy od syna, czy od Anny Szulc, która postanowiła swoją wiedzę wykorzystać do szantażu. A może po prostu przeczytał pan gazety i domyślił się, co się stało? Tak czy inaczej, postanowił pan ją usunąć, żeby chronić syna.

Kulak przyglądał mu się uważnie. Jego twarz wykrzywiło coś pośredniego między uśmiechem a wyrazem bólu, po czym powoli potrząsnął głową.

– To nie tak – powiedział. – Zupełnie nie tak. W obronie syna nie zabiłbym nawet pantofelka... To może nie stawia mnie w zbyt dobrym świetle, ale ja nigdy go... No, chyba muszę użyć tego słowa: nigdy go nie pokochałem. Kiedy był niemowlęciem, specjalnie się nim nie zajmowałem, bo się bałem, że go upuszczę. Niezbyt zręczny jestem, rozumie pan. Jak się zrobił trochę większy, zdałem sobie sprawę, że jest straszliwie głupi i egoistyczny. Myślałem, że z tego wyrośnie, w końcu wszystkie dzieci takie są. Lata mijały, poprawy nie było. Wręcz przeciwnie, miałem wrażenie, że jest coraz gorzej. Stał się nastolatkiem i wtedy nie mogłem na niego nawet patrzeć. Przestałem z nim rozmawiać. Nie widziałem go od ładnych paru lat i wcale mi go nie brakuje.

– Panie Kulak – dobitnie wyartykułował Zakrzeński. – Pana syn jest jednym z podejrzanych w sprawie o morderstwo. Pan ni stąd, ni zowąd zjawia się u głównego świadka, który zupełnie przypadkiem właśnie został zakatrupiony, i próbuje mi pan wmówić, że między tymi faktami nie ma żadnego związku? Przecież to się kompletnie kupy nie trzyma, nawet jeżeli założymy, że pan rze-

czywiście jej nie zabił.

– Nie zabiłem – powiedział szybko Kulak. – Ale oczywiście nie twierdę, że nie ma tu związku. Mówię jedynie, że nie ma to związku z żadnymi moimi uczuciami wobec mojego syna.

Zakrzeński westchnął.

– Dobrze, może najprościej będzie, jak pan nam po prostu powie, o co właściwie panu chodzi.

– Wie pan, ja dużo czytam. Zawsze sporo czytałem, ale teraz to moje główne zajęcie. Jak poczytam, idę na spacer w pola na trzy, cztery godziny i myślę o tym, co przeczytałem. Ostatnio czytam głównie o dziedziczeniu. Rozumie pan, do czego zmierzam.

– O ile rozumiem, większość majątku przepisał pan na żonę – zawahał się Zakrzeński. – Nie mam pojęcia, jaką rolę może w tym odgrywać dziedziczenie.

Kulak zmarszczył brwi, jakby Zakrzeńskiego zupełnie nie rozumiał. Kąciki jego ust uniósł lekki uśmiech, który próbował chyba stłumić.

– Przepraszam, niejasno się wypowiedziałem. Nie chodzi mi o dziedziczenie w sensie spadku. Chodzi mi o to, dlaczego jesteśmy tacy, jacy jesteśmy. Wielu ludzi łamie sobie głowę, czy nasze cechy, inteligencja, skłonność do przemocy, cokolwiek, biorą się z genów czy z wychowania. Po angielsku to się nazywa *nature or nurture*. Fascynujące zagadnienie. I dla wielu drażliwe. Teraz jest właściwie jasne, że *nature*, natura, odgrywa w tym wszystkim szalenie ważną rolę. Jest na to wiele dowodów. Czyli w ogromnej mierze jesteśmy tym, kim jesteśmy, bo dostaliśmy od rodziców pewne geny.

– Czy mógłby pan przejść do rzeczy? – zapytał Zakrzeński.

Jeżeli w tym wszystkim jest jakaś rzecz, dodał w myślach.

– Cały czas tam zmierzam. Więc jeśli tak jest, a jestem przekonany, że właśnie tak, to mój syn też jest tym, kim jest, dlatego że dostał ode mnie pewne geny. Oczywiście od matki też dostał geny. Skoro ona dała mu głupotę oraz skrajny egoizm i miała większy wpływ na to, jak on wygląda, to chyba reszta musi być po mnie. Oczywiście najprościej by było, gdyby się okazało, że nie jest w ogóle moim synem. Niestety, tę możliwość wyeliminowa-

łem... Dzięki genom zresztą.

Zakrzeński był coraz mocniej przekonany, że przesłuchiwany ma nie po kolei w głowie.

– Tak czy inaczej, nienawidzę przemocy. Odkąd pamiętam. Każdego rodzaju. Niedługo minie dwadzieścia lat, odkąd przestałem jeść mięso. Podniesienie ręki na człowieka to dla mnie coś absolutnie niewyobrażalnego. I teraz proszę sobie wyobrazić, że dzisiaj przychodzę rano do sklepu w mojej wsi. Widzę tę okropną gazetę i artykuł o śmierci młodego Oleńczuka. Z tego artykułu jasno wynika, że jednym z podejrzanych jest mój syn. I właśnie Anna Szulc może coś na ten temat wiedzieć. Od razu zrozumiałem, że muszę tu przyjechać i z nią porozmawiać, spróbować dowiedzieć się prawdy, bo inaczej nie odzyskam spokoju. Jeśli mój syn zabił Krzysia Oleńczuka, to może ja oszukuję samego siebie? Może we mnie tkwi dokładnie to samo co w nim? Może wszystko, co sobie myślę o sobie samym, to kłamstwo? Wiedziałem, że muszę się tego dowiedzieć. Prawie od razu wyruszyłem w drogę. Trochę mi to zajęło czasu, bo najpierw musiałem się dostać do Białegostoku, stopem, za bardzo nie da się tam inaczej, potem do Warszawy i z Warszawy tutaj. Niestety, nie wiem, co by mi Anna Szulc powiedziała, bo kiedy wszedłem na taras, znalazłem ją martwą.

– W jaki sposób wszedł pan na posesję?

– Furtka była otwarta.

– Nie próbował pan dzwonka?

– Najpierw dzwoniłem, ale nie otwierała.

– Dlaczego mimo to zdecydował się pan wejść?

– Bo wydało mi się podejrzane, że nie otwiera, mimo że samochód stoi przy domu. Pomyślałem, że mogło jej się coś stać.

– No i proszę, stało się. Panie Kulak, opowiada pan ciekawe historie, ale przecież zdaje pan sobie chyba sprawę, że ani prokurator, ani sędzia nie potraktują tego poważnie. Było inaczej, o wiele prościej. Zabił ją pan, żeby chronić syna.

– Nie zabiłem. – Zakrzeński miał wrażenie, że im dłużej trwa przesłuchanie, tym Kulak staje się spokojniejszy. – Ja nawet nie wiedziałbym, jak to zrobić. Ani czym.

Nagle zmarszczył brwi.

– No właśnie, czym ja ją miałem zabić?

Niestety, to jest bardzo dobre pytanie, pomyślał Zakrzeński.

Kulaka odprowadzono do radiowozu. Na tarasie tymczasem urzędował doktor Kalicki.

– Dzień dobry. Chyba za wiele nie mam panu do opowiadania, co? Nie żyje od mniej więcej godziny. Kilka ciosów: pięć, sześć, czymś twardym i gładkim, z wyraźną krawędzią. Duży młotek na przykład.

– Co pan powie o mordercy?

– PESEL panu wystarczy? No, nie żartujmy, to pańska sprawa.

Zakrzeński westchnął. Zapomniał, że na tak zadane pytanie nie mógł od Kalickiego uzyskać innej odpowiedzi.

– Wysoki, niski...

– Ależ pan uparty. Wystarczająco wysoki, żeby nie musieć podskakiwać do pierwszego ciosu. I nie dość wysoki, żeby pierwszy cios trafił centralnie w czubek głowy. To pana zadowala?

– Praworęczny, leworęczny? – nie ustępował Zakrzeński.

Kalicki pozwolił sobie na małe parsknięcie.

– Pewnie trzymał oburącz. Albo wisiał na suficie i narzędzie zbrodni trzymał w lewej stopie. No naprawdę, nie żartujmy. Jeśli w sekcji wyjdzie coś ciekawego, dam panu znać. Nie spodziewałbym się rewelacji. W ciąży babka przecież nie była. Do widzenia.

Zakrzeński i Zychowicz wyszli za Kalickim przed dom. Czekala tam grupka wywiadowców.

– Słuchajcie – zaczął – zadanie numer jeden to narzędzie zbrodni. Ono tu gdzieś musi być, pewnie niedaleko. Wszystko wskazuje na to, że facet oddalił się stąd pieszo na jakieś pół godziny do czterdziestu minut po zabójstwie. W tym czasie gdzieś je ukrył. Chodzi o coś w rodzaju większego młotka, musicie mieć jednak oczy otwarte także na inne rzeczy. Mogą, choć nie muszą, być na tym ślady krwi. Wy dwaj robicie dom, jak technicy skończą, reszta okolicę.

– Będziemy potrzebowali więcej ludzi – zwrócił się do Zychow-

wicz.

– Ściągają ich.

Dokładnie w tej chwili pod bramę podjechał następny radiowóz. Nie wysiedli z niego kolejni policjanci; przez dłuższą chwilę nie wysiadał w ogóle nikt. Wreszcie otworzyły się tylne drzwi. I znowu długo nic się nie działo. Zakrzeński zaczynał mieć absurdalne poczucie rosnącego napięcia, tak jakby miało się okazać, że przyjechał komendant stołeczny albo jakaś inna szycha.

Wyjaśnienie zagadki okazało się banalne. Z radiowozu wyłonił się prokurator Kacper Wilk. Zakrzeński z trudem go poznał, bo Wilk miał na sobie czarne sztruksy i niezbyt dokładnie wyprasowaną koszulę w kratę. Rozejrzał się niewidzącym wzrokiem i powoli ruszył w kierunku furtki.

– Dzień dobry, panie prokuratorze – przywitał go Zakrzeński.

Wilk skinął głową. Tym razem nie czerwienił się; wręcz przeciwnie, był bardzo blady. Ciekawe, co mu jest, zastanawiał się Zakrzeński. Może spodziewa się zobaczyć niezłą jatkę i skręcają mu się kiszki? Albo dostał opierdziel za to, co do tej pory zostało zrobione w śledztwie, i jest cały zestrachany, bo wie doskonale, że kolejny trup nie poprawi jego sytuacji. Jedno i drugie całkiem by do niego pasowało.

Kiedy doszli do schodów na taras, puścili prokuratora przodem, chociaż ten wcale nie wydawał się z tego powodu zachwycony. Na drugim stopniu Wilk się potknął i runął do przodu jak długi. Zakrzeński chciał mu pomóc wstać, ale prokurator podskoczył jak oparzony.

– Strasznie przepraszam – powiedział, otrzepując kolana. – Zamyśliłem się.

Może jest jeszcze trzecia możliwość, pomyślał Zakrzeński, może on jest po prostu pijany? Nie czuł jednak od niego alkoholu.

Prokurator ostrożnie pokonał kolejne schodki. Zatrzymał się na ostatnim, nie wszedł na taras. Zakrzeński stanął obok niego. Zaczął mu relacjonować, co wiedzą. Opowiadając o prawdopodobnym czasie morderstwa, zauważył, że Wilk ma zamknięte oczy i lekko się chwieje. Zastanawiał się, czy powinien próbować go złapać, czy pozwolić mu runąć na niczego się niespodziewają-

cą Zychowicz, która stała za nimi stopień niżej. Z jakichś przyczyn to drugie rozwiązanie wydawało się kuszące. Prokurator nie przewrócił się jednak, tylko nagle otworzył oczy.

– Tak – powiedział. – Rozumiem. Oczywiście, panie komisarzu. Proszę działać według tego, co pan zaproponował.

Zakrzeński niczego nie zdążył zaproponować, ale nie miał zamiaru spierać się z prokuratorem. W milczeniu odprowadził go do samochodu. Właśnie wtedy się zorientował, że Wilk musi być na gigantycznym kacu. To było coś nowego. Od razu w wyobraźni zobaczył prokuratora szalejącego w nocnym klubie i z trudem powstrzymał się od śmiechu.

– W razie czego będę dzwonić – rzucił.

– Tak, oczywiście – odparł Wilk. – Czekam.

W jego oczach Zakrzeński zauważył wyraźne błaganie, żeby go zostawić w spokoju.

– Ten egzemplarz za każdym razem coraz ciekawszy – zauważyła Zychowicz, kiedy zbliżali się z powrotem do domu Szulc.

Zakrzeński nic nie odpowiedział.

Minęli zwłoki, przykryte i oczekujące na transport. W drzwiach minęli się z opuszczającymi dom technikami. Nie znaleźli niczego ciekawego, ale mieli być w gotowości, gdyby trafiło się coś do analizy.

Zakrzeński rozdzielił pokoje do przeszukania między dwójkę wywiadowców. Sam wraz z Zychowicz obszedł po raz pierwszy cały dom. Wszędzie rzucał się w oczy porządek. O to, żeby nigdzie nie było kurzu, dbała zapewne sprzątaczką, bo trudno sobie było wyobrazić, żeby osoba o pozycji Anny Szulc sprzątała aż z taką dokładnością. O to, że nigdzie na widoku nie leżał nawet jeden paperek, choćby rachunek lub ulotka, nie wspominając o starych gazetach, z pewnością zadbała właścicielka domu.

Samo urządzenie domu, dużego i przestronnego, na wstępie niczym nie zaskakiwało. Na dole salon, jadalnia połączona z kuchnią, garderoba i bardzo duża łazienka. Na piętrze kolejna łazienka i trzy przestronne pokoje. Jeden zajmowała sypialnia pani

domu, z którą sąsiadował drugi – jej gabinet. Ostatni pokój krył niespodziankę.

Od razu było widać, że należał do młodej dziewczyny, zresztą na niewysokiej komodzie stało kilka jej zdjęć. Przynajmniej można się było domyślić, że to ona. Ta sama szczupła, długowłosa szatynka z uroczymi dołkami w policzkach pojawiała się na wszystkich zdjęciach w towarzystwie różnych osób: matki, czyli Anny Szulc, która była trudna do rozpoznania, bo się uśmiechała, jakichś babć czy cioć i mniejszych oraz większych grupek znajomych w wieku studenckim.

Panował tu lekki bałagan. Niemal cały parapet zajmowała ster-ta książek, głównie z biologii i chemii, na łóżku leżał zielony ręcznik, na oparcie krzesła rzucono dwie bluzki, przy których wisiał kowbojski kapelusz. Zakrzeński miał wrażenie, że w tym wszystkim jest coś dziwnego.

– Czy tak wygląda pokój kogoś, kto wyjechał na doktorat do Stanów? – powiedziała Zychowicz, której myśli najwyraźniej szły tym samym torem.

Aby znaleźć odpowiedź, wrócili do gabinetu pani domu. W szufladach nie znaleźli zbyt wiele. Pod jedną ze ścian stał regał, jedną z jego półek zapełniały szare segregatory. Każdy z nich dokładnie opisano na grzbiecie i w większości przypadków opisy nie wymagały wyjaśnień: „dom, podatki od nieruchomości”, „bank”, „media”, „podatki”, „lekarz, ZUS”. Na jednym segregatorze opis wyglądał tajemniczo: „Jaworowo”, więc przykuł ich uwagę.

Znaleźli w nim kilkadziesiąt rachunków datowanych w odstępie miesiąca. Suma, na którą opiewały, w ciągu tych lat zdecydowanie wzrosła i obecnie wynosiła ponad cztery tysiące złotych. Wystawcą był „Prywatny dom opieki Jaworowo”, a świadczona usługa została opisana jako „Opieka wariant luks. plus dla K. Szulc”.

– Jaworowo – powiedział Zakrzeński. – Mówi ci coś ta nazwa?

– To chyba wieś koło Brwinowa – powiedziała Zychowicz. – Tak, na sto procent, kod pocztowy się zgadza.

– Chyba się tam przejadę. A ty trzymaj tutaj rękę na pulsie.

Po drodze do Jaworowa mijają Ołtarzew. Przypomniało mu się, że prezes Zawirski podawał adres zamieszkania właśnie w tej miejscowości. Zakrzeński szybko odnalazł właściwą ulicę i zaparkował pod ogromną bramą wielkiej, ukrytej wśród drzew rezydencji.

Kiedy zbliżał się do bramy, usłyszał jazgot dwóch gigantycznych psów tak głośny i agresywny, że aż się instynktownie cofnął. Brama i ogrodzenie wyglądały na solidne, więc w końcu podszedł i zadzwonił. Przez dłuższy czas nie działo się nic, potem usłyszał między szczeknięciami psów znajomy głos:

– Już idę, komisarzu.

Na głośny gwizd psy z wyraźnym wahaniem zrezygnowały z ujadania i pobiegły w głąb podwórka. Wreszcie uchyliła się furtka. Pokazał się w niej osobnik, w którym Zakrzeński z największym trudem rozpoznał prezesa Zawirskiego. Sandały, cienkie jasne spodnie z przetarciami na kolanach, hawajska koszula oraz idiotyczna czapeczka bejsbolowa.

– Proszę do środka – powiedział gospodarz i nieco się odsunął. – Bez obawy, psy zamknąłem.

Zakrzeński wszedł na teren posesji. Tutaj się zatrzymali.

– Przepraszam, że nie zapraszam pana do środka – powiedział prezes. – Od poniedziałku jestem słomianym wdowcem, bo żona pojechała odwiedzić matkę aż w Zielonej Górze, na dodatek gosposia nam się rozchorowała. Wolałbym, żeby pan nie oglądał bałaganu, który mam w środku.

Mówił łagodnie, tonem, który brzmiał niemal przepraszająco. W niczym nie przypominał agresywnego prezesa panoszącego się w siedzibie firmy.

– Co pana do mnie sprowadza? – zapytał nieco ostrzejszym, chociaż w dalszym ciągu przyjaźnie brzmiącym tonem.

– Anna Szulc nie żyje – odparł Zakrzeński.

Zawirski drgnął i skrzywił się, jakby go ktoś ukłuł.

– Zamordowana? – zapytał, a raczej wyszeptał do siebie.

– Skąd pan wie? – chciał wiedzieć Zakrzeński.

Zawirski spojrział ze zdziwieniem, które na moment prze-

kształciło się w złość.

– Bez przesady, komisarzu – powiedział spokojnym głosem. – Przecież nie umarła z żalu za Oleńczukiem.

– Czy w tym kontekście chciałby pan coś dodać do swoich wcześniejszych zeznań?

Zawirski po namyśle wzruszył ramionami.

– Nie sądzę. Uprzedzę pańskie następne pytanie: nie, ja jej nie zabiłem.

– Może pan to udowodnić?

– Raczej nie. Nie powiedział mi pan jeszcze, kiedy zginęła, ale od wczorajszego powrotu z pracy siedzę w domu sam. Wczoraj miałem zaproszenie na brydża. Po tym wszystkim, co się stało, nie miałem ochoty iść i odwołałem.

Przez chwilę przyglądał się Zakrzeńskiemu w milczeniu.

– Ja jej nie zabiłem – powtórzył. – Nie wiem, kto mi teraz taką sprzedaż zrobi.

Dotarłszy do Jaworowa, Zakrzeński myślał, że się pomylił. Pod wskazanym adresem znalazł niczym się niewyróżniający dom, pozbawiony jakiegokolwiek szyldu. Zadzwoił do furtki i po chwili usłyszał dźwięk zwalnianego zamka.

Zapukał i kiedy nikt nie otwierał, nacisnął klamkę. Znalazł się w sporej poczekalni, która przypominała raczej wnętrze z amerykańskiego serialu o dzielnych lekarzach niż cokolwiek, co Zakrzeński miał okazję zobaczyć podczas swoich kontaktów z polską służbą zdrowia.

Po chwili pojawiła się pielęgniarzka, śliczna filigranowa szatynka, którą można było wziąć za Azjatkę.

– Najmocniej przepraszam – powitała go z promiennym uśmiechem. – Czym mogę służyć?

Zakrzeński z pewnym trudem powstrzymał się od udzielenia odpowiedzi, której najbardziej chciałby udzielić, i poprosił o spotkanie z dyrektorem.

– Niestety, pan doktor jest bardzo zajęty.

– To bardzo ważne. Jestem z policji.

Przez twarz dziewczyny przemknęło coś, co wyglądało jak rozczarowanie. Szybko zamaskowała je promiennym uśmiechem.

– Zobaczę, co się da zrobić. Proszę usiąść.

Ledwie zdążył otworzyć egzemplarz czasopisma „Zdrowe Żywnie”, kiedy dziewczyna wróciła.

– Proszę za mną.

Doktor nauk medycznych Marek Sudzielski, dyrektor prywatnego domu opieki w Jaworowie, urzędował w sporym gabinecie na parterze. Był to wysoki, szczupły mężczyzna koło pięćdziesiątki z krótko ostrzyżonymi włosami i brodą przyprószoną siwizną. Trzymał ręce w kieszeniach i wyglądało na to, że nie ma ich zamiaru wyjmować.

– Słucham pana – rzucił w sposób podkreślający dystans.

– Jest u państwa pacjentka Karolina Szulc.

– Może tak, może nie. Jest pan chyba zaznajomiony z koncepcją tajemnicy lekarskiej.

– Oczywiście – powiedział Zakrzeński. – Tylko widzi pan, jej matka właśnie została zamordowana.

Sudzielski się wyprostował. Przez fartuch widać było, że dłonie zacisnęły mu się w pięści.

– Dlaczego miałbym panu wierzyć?

Zakrzeński podał mu legitymację.

– Może pan spisać, zadzwonić... Jak pan chce.

Lekarz w milczeniu skinął głową.

– W porządku – powiedział. – Mimo wszystko trudno w to uwierzyć. Była tu dzisiaj jak w każdą sobotę, chyba trzy godziny temu.

– To bardzo świeża sprawa. Prawdopodobnie zginęła natychmiast po powrocie do domu.

– Proszę za mną.

Lekarz zaprowadził go na piętro i wprowadził do niewielkiej salki. Na jedynym łóżku leżała tam dziewczyna ze zdjęć, które Zakrzeński oglądał w domu Anny Szulc. Jej nadgarstek był podpięty do jakiejś aparatury. Sprawiała wrażenie śpiącej.

– Śpiączka polekowa – wyjaśnił Sudzielski. – Próbowwała popełnić samobójstwo. Ponad trzy lata temu. Chodziło chyba o to, że

się nieszczęśliwie zakochała.

– Jakie ma szanse na wybudzenie?

– Żadne, praktycznie żadne. Ostatnio było głośno o tym mężczyźnie, który się obudził po dwudziestu latach, ale tam chodziło o zdecydowanie mniejsze uszkodzenie mózgu. W przypadkach takich jak ten nie ma udokumentowanych przypadków wybudzeń.

– Za co jej matka płaciła panu cztery tysiące miesięcznie?

– Nie mnie, tylko właścicielowi tego miejsca. Płaciła za to, że przez dwadzieścia cztery godziny na dobę są tutaj wykwalifikowane pielęgniarki i prawie cały czas także lekarz. Na wypadek, gdyby cud się jednak zdarzył. Powiem szczerze: płaciła za swoje złudzenia.

Podniósł oczy i wbił przenikliwe spojrzenie w Zakrzeńskiego.

– Czemu pan tak na mnie patrzy? Podtrzymywanie złudzeń to największa gałąź medycyny. Przecież zdaje pan sobie z tego sprawę?

W drodze powrotnej do domu Anny Szulc Zakrzeński zrobił sobie małe podsumowanie. Spośród osób obecnych w czwartek na ostatnim piętrze OKZ Development alibi na pewno nie miał prezes Zawirski. Tylko że prezes Zawirski nie był podejrzany w sprawie śmierci Oleńczuka – nie wrzucił przecież trucizny na początku zebrania, bo obecni w pokoju z pewnością by to zauważyli. Potem poszedł z Oleńczukiem do swojego gabinetu i razem z nim wrócił.

Pozostali wymagali sprawdzenia. Najpierw zadzwonił do Witolda Oleńczuka.

– Byłem cały czas przy ojcu – poinformował go dyrektor operacyjny. – Nie mam na to żadnych świadków, bo ojciec oczywiście nie może tego potwierdzić. W jego stanie na pewno bym go nie zostawił. Rozumiem, że pyta pan mnie o to z jakiejś przyczyny. Co się stało?

Kiedy Zakrzeński mu powiedział, Oleńczuk przez dłuższą chwilę milczał. Komisarz wyobraził sobie drgania jego wąsów.

– Szokujące – wykrztusił w końcu Oleńczuk. – Trudno się nie zastanawiać, kto jest następnym na liście.

Później Zakrzeński zadzwonił do Kulaka. Nikt nie odbierał. Komisarz postanowił dzwonić do oporu. Liczył na to, że uda mu się wyrwać młodego człowieka z poimprezowego snu.

W końcu usłyszał wściekłe „halo”. I tu zaskoczenie – telefon odebrała matka.

– Syn nigdzie nie wychodził. Śpi. Nie mam zamiaru mu przeszkadzać. Co takiego się znowu stało?

Wysłuchała wiadomości i parsknęła śmiechem.

– No pięknie. Czego się spodziewaliście, jak puszczacie takie przecieki?

Przerwała połączenie bez pożegnania. Zakrzeński uświadomił sobie, że zupełnie zapomniał o tym nieszczęsnym artykule w „Super Prawdzie”. Nie wyglądało to najlepiej. Tabloid ogłasza, że Anna Szulc może wiedzieć, kto zabił Krzysztofa Oleńczuka, i zaledwie kilka godzin później Szulc ginie. Oczywiście morderca Oleńczuka i tak musiał zdawać sobie sprawę, że Anna Szulc mogła go widzieć. Treść artykułu na pewno nie była dla niego niczym nowym. Kto wie, jaka mogła być reakcja mordercy na publiczne ogłoszenie tego faktu? Mógł spanikować. Mógł pomyśleć, że sama Szulc jest źródłem przecieku. W ten sposób robi wstęp do szantażu, bo go ostrzega, że nie jest bezpieczny. Mógł uznać, że wobec upublicznienia sprawy Anna Szulc, która z jakiegoś powodu wcześniej była skłonna do zachowania tajemnicy, załamie się i go wsypie. Żadna z tych wersji nie brzmiała naprawdę przekonująco. Mimo to dopuszczenie do powstania przecieku i opublikowania artykułu okazało się ogromnym błędem.

Pozostała jeszcze Agnieszka Pająk. Zakrzeński nie miał najmniejszej ochoty z nią rozmawiać. Ale perspektywa, że ktoś inny pójdzie i będzie ją wypytywał o to, jak spędziła dzisiejszy dzień, była jeszcze gorsza. Wybrał jej numer.

– Nie sądziłam, że aż tak szybko się za mną stęsknisz – usłyszał na przywitanie.

– Posłuchaj uważnie – powiedział, starając się zachowywać jak najbardziej neutralny ton głosu. – Mam do ciebie jedno pytanie

i radzę ci mówić prawdę. Co robiłaś po wyjściu ode mnie?

– Ty zazdrosny jesteś? Musisz się trochę hamować, bo...

– Jeśli wolisz odpowiadać na komendzie, twoja sprawa – niemal warknął. – Jeszcze raz: co robiłaś...

– O co chodzi? Chyba nie chcesz powiedzieć, że znowu kogoś rąbnęła?

– Masz ostatnią szansę, żeby odpowiedzieć. Inaczej wysyłam po ciebie radiowóz.

– Tak, już to widzę – zakpiła. – Niech ci będzie. Pojechałam do siebie, metrem i tramwajem. W mieszkaniu była moja współlokatorka, więc mogłam jej dokładnie opowiedzieć, z jakim kutasem miałam nieprzyjemność się zadawać w poprzednią noc. Właściwie z dwoma kutasami, oboma małymi. Czy ta odpowiedź cię satysfakcjonuje?

– Jeśli to potwierdzi twoja współlokatorka, to tak.

– No to mi teraz powiedz, co się właściwie stało, że się tak dopytujesz.

– prostytutka okradła klienta. Rysopis zgadza się z twoim.

Rozłączył się i skupił na prowadzeniu. Usłyszał sygnał przychodzącej wiadomości, potem kolejny. Kiedy zatrzymał się na światłach, spojrzał na telefon.

Obie wiadomości wysłała Agnieszka Pająk. Pierwszą był MMS, zdjęcie, na którym Zakrzeński leżał nagi w swoim łóżku okryty prześcieradłem tylko do pasa, a właściwie trochę poniżej pasa. Druga wiadomość brzmiała: „Bardzo proste. Jeśli się zastanawiasz, Borewicz, zrobiłam twoim i wysłałam do siebie, dlatego nie znalazłeś w mojej galerii. Pa”.

Stojący za nim samochód zaczął trąbić, bo światło zmieniło się na zielone. Zakrzeński wrzucił jedynekę i szybko odjechał.

Zjawił się ponownie w domu Anny Szulc i zobaczył, że Zychowicz udało się ściągnąć dodatkowych ludzi do szukania narzędzia zbrodni. Na razie nie przyniosło to rezultatów. Wprawdzie Zychowicz się nie zniechęcała i ciągle sprawiała wrażenie pełnej energii, Zakrzeński podejrzewał jednak, że mimo wysiłków sytuacja

nie ulegnie zmianie.

Jak się okazało, miał rację. Około dwudziestej zrobiło się tak ciemno, że dalsze poszukiwania w terenie straciły sens. Razem z Zychowicz odesłał policjantów do domu. Miało przyjechać dwóch nowych, żeby na wszelki wypadek pilnować posesji przez noc. Czekaając na nich, zrobili sobie w kuchni po kubku herbaty.

– Wygląda na to, że ona rzeczywiście z nikim nie utrzymywała kontaktów – zauważyła Zychowicz.

Zakrzeński skinął głową. Zychowicz odezwała się chyba tylko po to, żeby przerwać ciszę, bo wspominali o tym wcześniej kilka razy. Kontakty w telefonie Szulc dzieliły się na dwa rodzaje: numery związane z pracą i numery lekarzy. Zamordowana nie miała w zwyczaju chomikować żadnych papierów. Gdzieś zaplątała się kartka świąteczna z końca lat dziewięćdziesiątych, wysłana przez Konstancję Kott z Siedlec. Na szczęście tak rzadka kombinacja imienia i nazwiska pozwoliła szybko odnaleźć właściwą osobę. Konstancję Kott zdumiała przekazana wiadomość, ale w jej głosie nie było słycać głębokiego żalu. Owszem, jako siostra cioteczna była najbliższą krewną Anny, ale kontakt utrzymywały sporadyczny, od dziesięciu lat praktycznie żaden. Ostatni raz rozmawiały cztery lata temu. Konstancja Kott zatelefonowała, żeby poinformować kuzynkę o śmierci swojej matki. Anna Szulc powiedziała, że nie może przyjechać na pogrzeb ze względu na chorobę. Nie brzmiało to zbyt przekonująco. Dodała także, że jej córka również nie będzie mogła przyjechać, bo przebywa w Stanach. Konstancji Kott wydało się to nieco dziwne, bo nie oczekiwała obecności Karoliny, która swoją cioteczną babkę ledwie znała. Zgodnie z tym, czego Zakrzeński dowiedział się w Jaworowie, Karolina Szulc była wtedy od ponad roku pacjentką tamtejszego ośrodka.

– Miała tylko pracę i córkę – ciągnęła Zychowicz. – Chociaż chyba powinnam powiedzieć: córkę i pracę, w tej kolejności.

Zakrzeński znowu kiwnął głową. Czuł się zmęczony, nie miał ochoty wdawać się w tego rodzaju bezproduktywne dywagacje.

– Jaki mamy plan na jutro? – Zychowicz przestała w końcu wciągać go w rozmowę na temat Anny Szulc.

– Rano szukamy dalej narzędzia zbrodni. Jeśli się nie znajdzie, może coś innego wpadnie nam w ręce. Coś w końcu musi.

Za oknem zobaczyli światła samochodu, który zatrzymał się przed bramą.

– Dobrze, możemy się zbierać. – Zakrzeński sięgnął po kurtkę.

– Chce ci się jechać do Warszawy? – zapytała nagle Zychowicz. Zakrzeński spojrział na nią szybko, a ona natychmiast się zaczerwieniła. Rumieniec w połączeniu z piegami w dalszym ciągu nie wyglądał atrakcyjnie, jednak nie aż tak nieatrakcyjnie jak wcześniej.

Kwestia przyzwyczajenia, pomyślał Zakrzeński.

– Możesz zanocować u mnie, jeśli chcesz – zaproponowała. – Napijemy się wina. Może to nam rozjaśni umysł?

– Niestety, nie piję.

– Ja w zasadzie też nie. Nie wiem, co mi przyszło do głowy. Nawet nie mam wina w domu. *Sorry, forget it*, to zmęczenie.

Nie patrzyła na niego. W jej głosie usłyszał całą mieszankę uczuć, których się zupełnie nie spodziewał: zawstydzenie, złość na siebie i na niego, urażoną dumę. Nagle zrozumiał, o co tak naprawdę chodzi.

– Będziesz mnie miała gdzie przenocować? – zapytał.

– Coś na pewno się znajdzie.

Po raz pierwszy pomyślał, że przy pewnej dozie dobrej woli można ją uznać za atrakcyjną kobietę.

Rozdział 5

Niedziela

Prokurator Kacper Wilk obudził się w niedzielę punktualnie o szóstej i po raz pierwszy w życiu poczuł, że rozumie, co znaczy „czuć się jak nowo narodzony”. Postanowił jednak zachować ostrożność i powoli uniósł głowę, która jeszcze wczoraj wieczorem była jednym wielkim pobjowiskiem. Tym razem wszystko było w porządku.

Wstał i ku swojemu zaskoczeniu poczuł się tak, jakby miał zemdleć. Przestraszył się, że jego optymizm był jednak przedwczesny, ale zaraz potem zorientował się, o co chodzi. To był głód. Całą sobotę nawet nie spojrzął na jedzenie.

Przeszedł do kuchni w piżamie, co nie zdarzało mu się prawie nigdy, i najpierw szybko zjadł kawałek czerstwego chleba. Potem na spokojnie usmażył sobie jajecznicę. Zaczął, tak jak zwykle, od dwóch jaj, potem dodał kolejne i jeszcze jedno. W końcu jadł za dwa dni.

Skończył i doszedł do wniosku, że trochę się jednak zagalopował – nigdy przecież nie robił sobie jajecznicy na śniadanie dwa dni z rzędu. Co prawda normy dotyczące liczby dozwolonych żółtek stale się zmieniały, ale w jakimś stopniu trzeba było kontrolować dawki cholesterolu. Trudno, pomyślał, teraz żadnych jajek przez tydzień.

I żadnego alkoholu przez... Najchętniej powiedziałyby: przez resztę życia. To, co się z nim stało po wypiciu zaledwie dwóch kieliszków wina, które przyniósł ze sobą redaktor Wojciech Walny, powinno być poważnym ostrzeżeniem. Spadek tolerancji na alkohol był z pewnością silnym symptomem uzależnienia.

Wilk nie miał stuprocentowej pewności, że wypił dokładnie dwa kieliszki, bo cały piątkowy wieczór pamiętał jak przez mgłę. Ale też trudno mu było sobie wyobrazić, że Walny zrezygnował ze swojego udziału w butelce.

Chyba że on przyszedł specjalnie po to, żeby mnie upić, pomyślał nagle. A jeśli tak było, to miał w tym jakiś cel. Odpowiedź narzucała się sama: wydobyć informacji, informacji, których Wilk nie powinien mu udzielać. Chciał się szybko ubrać i pójść do kiosku, ale potem przypomniał sobie, że „Super Prawda” ma od niedawna dosyć pełne wydanie internetowe. Uruchomił komputer.

Główną wiadomością na stronie „Super Prawdy” był reportaż z parku Szczęśliwickiego, według autora w tamtejszym jeziorku pojawiły się aligatory. Zaledwie kilka pozycji niżej Wilk znalazł to, czego szukał.

Skończył czytać i przez dłuższą chwilę tkwił nieruchomo przed ekranem. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że tekst, podpisany oczywiście nazwiskiem Wiktora Wojnarowicza, czyli stałym pseudonimem Walnego, w sporej mierze opierał się na informacjach wyciągniętych od Wilka.

Sięgnął po telefon. Wybrał numer Walnego, ale niemal od razu skasował połączenie. Była przecież szósta rano w niedzielę. A potem przypomniał sobie, o co chodzi, i wybrał numer po raz kolejny, przysięgając sobie, że będzie dzwonił aż do skutku.

W głowie Zakrzeńskiego tuż po przebudzeniu pojawiły się dwie myśli. Pierwsza, że jak najszybciej, ale po siódmej, musi zadzwonić do sąsiadki z parteru i poprosić ją o nakarmienie Laury. Nie lubił prosić jej o tę przysługę – w ogóle nie lubił nikogo o nic prosić – ale czasem nie miał wyjścia.

Myśl druga brzmiała, że temperament i umiejętności, jakie podkomisarz Marta Zychowicz objawiła w łóżku, w pełni rekompensowały niedostatki jej urody, włącznie z mocno wystającymi kośćmi biodrowymi i zdecydowanie za mało wystającymi pierściami. Do pewnego stopnia można było pomyśleć, że Zychowicz stanowi przeciwieństwo Agnieszki Pająk. Piękna Agnieszka Pająk nie była w łóżku beznadziejna, ale w porównaniu z Martą Zychowicz... W porównaniu była beznadziejna, teraz doskonale to widział.

Sięgnął ręką w lewo, mając nadzieję, że odnajdzie tam Martę

i będzie im dane powrócić do tego, co wczoraj przerwał sen, ale łóżko było puste. Wstał. Włożył podkoszulek i slipy i przeszedł do kuchni. Tam też jej nie było.

Rozejrzył się po domu i zrozumiał, o co chodzi. Przy drzwiach nie było pary czerwonych brooksów, które zwróciły jego uwagę poprzedniego wieczora. Marta Zychowicz poszła biegać.

Ciekawe, czy bardzo się poci, jak biega, pomyślał i poczuł rosnące pożądanie. Miał nadzieję, że jego nowa kochanka nie będzie nadmiernie zmęczona, kiedy wróci.

Redaktor Wojciech Walny odebrał telefon od prokuratora Kacpra Wilka po mniej więcej piętnastu minutach. Nie powiedział „halo”, tylko rzucił długą wiązaną przekleństw.

– Cieszę się, że cię wcale nie obudziłem – powiedział Wilk.

Z premedytacją nie użył formy „pan”, za pomocą której zwracali się do siebie od niepamiętnych czasów.

– Myślę, że jesteś mi winien jakieś wyjaśnienie za piątek.

– Piątek weekendu początek. Jakie wyjaśnienie, człowieku? Co, to ma być może moja wina, że ktoś ma słabą głowę? Może jakiś paragraf na to macie?

– Chcę wiedzieć, czy przyjechałeś specjalnie, żeby mnie upić.

– Bez jaj. Przyniosłem jedną butelkę. Sądziłem, że tak jak zwykle umoczysz usta. A w ciebie nie wiem, co tym razem wstąpiło. Normalnie ledwo zdążyłem sam tego winka skosztować.

– Nie chodziło ci przypadkiem o wyciągnięcie ze mnie informacji na temat tej sprawy w Ożarowie?

Walny wydał coś pomiędzy westchnięciem a jękiem bólu.

– Nie popadaj w gwiazdorstwo. Artykuł był już prawie gotowy wcześniej, przecież bym nie zdążył na zamknięcie numeru. Ale nie przeczę, że dzięki tobie stał się może ciutkę ciekawszy.

– Dlaczego to dla was temat na jedynekę?

– No weź pan, szczyt sezonu ogórkowego, wszystko prawie jest tematem na jedynekę. – Walny poczuł się tak pewnie, że przeszedł do formy „pan”. – Chociaż, powiem panu w tajemnicy, że jest coś jeszcze. OKZ Development to straszny chłam. Zastępca rednacza

mieszkał kiedyś na ich osiedlu i po dziś dzień drgawek dostaje, jak słyszy tę nazwę. No i bardzo się ucieszył, kiedy się okazało, że jest coś, co ich stawia w złym świetle. Oczywiście lepsza byłaby katastrofa budowlana z dużą liczbą ofiar, ale zawsze. Czegoś jeszcze pan ode mnie potrzebuje? Bo muszę wracać do pracy. Wie pan, całą noc ślęczę nad tekstem.

– Nie, to by było wszystko. – Wilk zakończył połączenie. Na tę chwilę.

Nie wróciła zmęczona, wręcz przeciwnie, mimo że właśnie zrobiła piętnaście kilometrów w godzinę dziesięć. A może nie mimo że, tylko dlatego że, pomyślał.

– Będzie ci przeszkadzać, jak zapalę? – zapytała, kiedy odpoczywali nago na łóżku.

– Nie – skłamał. – Nie przeszkadza ci to w bieganiu?

Na odpowiedź musiał zaczekać, aż się zaciągnie.

– Bez przesady. Staram się po prostu mieć to pod kontrolą. Maksimum pięć dziennie.

Znowu się zaciągnęła, bardzo głęboko.

– A ty biegasz? – zaskoczyła go pytaniem.

Chciał powiedzieć prawdę, ale ugryzł się w język, bo przypomniał sobie, z jaką łatwością wyprzedziła go, kiedy gonili Mikołaja Kulaka.

– Czasami – powiedział. – Jakoś nie udaje mi się tego robić regularnie.

– Spróbuj. To naprawdę poprawia nastrój, myślenie, komfort życia.

Jak bym tego, kurwa, nie wiedział, pomyślał, ale na głos nie powiedział nic.

– To jaki mamy plan na dzisiaj? – niespodziewanie zmieniła temat.

Zakrzeński zawahał się, bo tak naprawdę nie wiedział, co powiedzieć. Na szczęście zadzwoniła jego komórka.

– Prokurator – wyjaśnił Zychowicz przed odebraniem połączenia.

- Wrócił do świata żywych, co? – skomentowała.

Rzeczywiście, prokurator prezentował się zupełnie inaczej: znowu w garniturze, z nienagannie zawiązanym krawatem i błyszczącymi butami. Kiedy rozglądał się po domu Anny Szulc, sprawiał wrażenie skupionego i czujnego. Jedyną rzeczą, która w większym stopniu wzbudziła jego zainteresowanie, był kowbojski kapelusz w pokoju Karoliny. Oglądał go dokładnie z każdej strony. Zakrzeński zastanawiał się, czy go nie przymierzy. Odłożył go jednak i wtedy po raz pierwszy się odezwał.

- A więc dziewczyna nieszczęśliwie się zakochała i próbowała popełnić samobójstwo, ale skończyło się to śpiączką?

Zakrzeński skinął głową.

- I Annie Szulc rzeczywiście udało się wszystkim wmówić, że wyjechała do Stanów robić doktorat?

- Nie wiem, czy było wiele wmawiania. Wygląda na to, że praktycznie z nikim nie utrzymywała kontaktów prywatnych.

- Tak. Mimo wszystko to chyba trochę dziwne, prawda? Że nikt z jej kolegów z zarządu o tym nie wiedział.

- Ona ich po prostu nic nie obchodziła – powiedziała Zycho-wicz. – Była doskonałym pracownikiem i nic poza tym.

- Ktoś z nich się nią w końcu bliżej zainteresował, jeśli można to tak ująć, prawda? – odparł Wilk.

- Niekoniecznie – powiedział bez przekonania Zakrzeński. – Jest jeszcze Mikołaj Kulak.

- Tak, rzeczywiście – skinął głową Wilk. – Zupełnie o nim zapomniałem. Jutro rano muszę go przesłuchać. Żeby ta wersja miała sens, musiałoby się okazać, że to jego syn otruł Oleńczuka... Szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy to mi się wydaje tak bardzo prawdopodobne.

Zakrzeński wzruszył ramionami.

- Na razie cała sprawa jest dosyć nieprawdopodobna. Bardziej mnie interesuje, czy znajdziemy narzędzie zbrodni w pobliżu domu.

- Tak, oczywiście. – Wilk sprawiał wrażenie, że chciał jeszcze

coś powiedzieć, ale powstrzymał się od tego. – Myślę, że na mnie czas.

Odprowadzili go do radiowozu. Pozostawało teraz poczekać na policjantów, którzy mieli wznowić poszukiwania narzędzia zbrodni. Chwilę im to zajmie, pomyślał Zakrzeński. Chyba zdążę z Martą wypróbować, czy łóżko w sypialni Anny Szulc jest równie niewygodne jak krzesła w jej kuchni.

– Ja tym razem za koniak dziękuję – powiedział Kacper, odsuwając kieliszek, który postawił przed nim ojciec. – Naprawdę.

– I bardzo dobrze. – Stanisława Wilk wyciągnęła rękę w kierunku męża, żeby zabrać mu butelkę. – Dla ciebie też tak będzie lepiej. Nie masz siedemdziesięciu lat.

– Nie możesz mi tego zrobić, synu – poprosił Leon Wilk. – Wolno mi się napić tylko z tobą, raz w tygodniu.

– Ale ja...

– Czy musisz go namawiać?

– Ja go nie namawiam, ja mu każę – głos Leona Wilka brzmiał poważnie, ale w jego oczach syn dostrzegł jakąś zawiadłą nutę. I nagle zrozumiał, o co ojcu chodzi.

– Dobrze, odrobinę się napiję.

– Ty zawsze musisz postawić na swoim – powiedziała Stanisława Wilk.

– A ty się nie powinnaś wtrącać do męskich rozmów – powiedział Leon Wilk, ostrożnie nalewając koniak do kieliszków. – Idź lepiej zobacz, czy się ziemniaki nie rozgotowują.

– Co racja, to racja. – Stanisława Wilk poszła do kuchni.

– Naprawdę nie chcesz? – zapytał Leon Wilk szeptem.

– Naprawdę.

Leon Wilk z szelmowskim uśmiechem chwycił oba kieliszki i zawołał na głos:

– No to lepiej wypijmy, zanim się rozmyśli i nam zabierze.

Następnie z rozmachem stuknął jednym kieliszkiem o drugi, a potem szybko wlał w siebie zawartość obu. Wypuścił powietrze i głośno czknął.

– Przepraszam – powiedział. – I dziękuję – dodał szeptem.

Kiedy Stanisława Wilk wróciła do pokoju, jej wzrok od razu

padł na puste kieliszki.

– To nieprawdopodobne, żeby w taki sposób pić koniak.

– A co ty możesz wiedzieć o picciu koniaku? – odparł jej mąż i znowu głośno czknął.

– Wiem tyle, że ci wcale nie służy. Nawet po kropelce na dnie nie zostawiliście.

– A po co mielibyśmy zostawiać kropelki na dnie?

– I po co się tak głośno stukać, że aż w kuchni usłyszałam. Znowu zbijesz. To był taki ładny komplet, a zostały cztery.

– I tak o dwa za dużo. Z kim mam pić, jak wszyscy nie żyją.

– Najlepiej nie pij, jeżeli nie chcesz do nich szybko dołączyć.

– Do grobu to ty mnie wpędzisz tym ciągłym zrządzeniem. – Leon Wilk machnął ręką, znowu głośno czknął, a potem spojrzał na syna z pewnym zdziwieniem, jakby dopiero sobie przypomniął o jego obecności. – No to może powiesz wreszcie, co tam u ciebie słychać?

Około czternastej byli całkowicie pewni, że przedmiot, którym została zamordowana Anna Szulc, nie znajduje się nigdzie w pobliżu jej domu. Pozostawili nadzór nad dogasającą akcją sierżantowi Leńczykowi i pojechali do domu Zychowicz na obiad. Z wielką sprawnością szybko przygotowała spaghetti z sosem pomidorowym. Potem jeszcze raz się kochali i przed szesnastą Zakrzeński wyruszył do Warszawy.

Mijał właśnie Wołę, kiedy zadzwonił telefon. Podinspektor Bracki, szef wywiadu kryminalnego i jedna z najbardziej tajemniczych postaci Komendy Stołecznej.

– Podobno poszukujesz faceta, który jeździ lanią o numerze WA 27275 – powiedział Bracki.

– Jaką znowu lanią – zdziwił się Zakrzeński, a potem sobie przypomniał. – Stop, zgadza się, masz go?

Facet, który w środę pobił na parkingu podziemnym Krzysztofa Oleńczuka. Po raz kolejny przy tej sprawie coś ważnego zupełnie wyleciało Zakrzeńskiemu z głowy. Tylko dlaczego zajmował się tym sam Bracki?

– Czekam u siebie – podinspektor zakończył rozmowę.

To też nie było zwyczajne. Bracki, który osobiście angażował się w pracę operacyjną, na komendzie bywał niezmiernie rzadko. Nawet możliwość porozmawiania z nim przez telefon graniczyła z cudem.

Idąc do gabinetu Brackiego, który był ukryty za najróżniejszymi archiwami gdzieś na szarym końcu ostatniego piętra Pałacu Mostowskich, Zakrzeński miał nadzieję, że podinspektor nie zmienił zdania i nie zniknął.

Nie zmienił, był w swoim gabinecie w towarzystwie niezbyt wysokiego łysawego mężczyzny, który kogoś Zakrzeńskiemu przypominał. Co gorsza, łysawy nie wyglądał na policjanta, a przynajmniej na zwykłego policjanta. Jeśli nie UOP, to przynajmniej służba wewnętrzna. Co się tutaj działo?

– No więc? – zapytał Zakrzeński. – Co z tym facetem od lancii?

Bracki przez chwilę przyglądał mu się bez słowa, a potem skinął głową w kierunku swojego towarzysza, który uklonił się lekko, z ironicznym uśmiechem. W tym momencie Zakrzeński przypomniał sobie, z kim facet mu się kojarzył. Wypisz wymaluj Putin, zgodnie z opisem ochroniarza z bloku, w którym mieszkał Krzysztof Oleńczuk.

– Wytłumaczysz mi, o co chodzi? – dopytywał się Zakrzeński.

Bracki znowu skinął głową w kierunku Putina.

– Facet dostał ostrzeżenie, że ma się zebrać do kupy i spłacić kasę, którą wisi szefowi – powiedział Putin. – Ładna sumka, prawie trzysta kawałków z odsetkami.

– Jakiemu szefowi? – powiedział Zakrzeński, który z każdą chwilą rozumiał coraz mniej.

Putin spojrzał pytająco na Brackiego.

– „Szef” musi ci wystarczyć – stwierdził podinspektor. – Jedyne, co ci mogę powiedzieć, to to, że osoba, którą tu tak określamy, prowadzi bardzo wytworny dom rozrywki.

– Burdel?

Putin wykrzywił twarz w pogardliwym grymasie.

– Żaden burdel – powiedział. – Elegancki dom, w którym osoby z pewnych sfer, takich, do których ty, gościu, nie należysz i nigdy

nie będziesz należał, przyjeżdżają napić się trunków, których ty nigdy nie spróbujesz, i zapalić cygara, których ty nigdy nawet z daleka nie powąchasz.

Zakrzeński przez chwilę się zastanawiał, jak wyglądałaby jego walka z Putinem. Na pewno nie byłoby łatwo, ale miał wielką ochotę mu przypierdolić.

– Oleńczuk tam przyjeżdżał i nie płacił za cygara i wódkę? – zapytał. – Nabił trzysta tysięcy?

– To ma być ten as? – zwrócił się Putin do Brackiego. – Przecież on zwyczajnie tępy jest.

Potem spojrzął na Zakrzeńskiego.

– A jak chcą się rozerwać, to grają. I nie mam na myśli fortepianu, chociaż oczywiście fortepian tam mamy, ani warcabów. Teraz poniał?

– Oleńczuk był hazardzistą – dotarło do Zakrzeńskiego.

– Bingo, Sherlocku.

– I przegrał dużo pieniędzy.

– Przegrał sumę, której ty nigdy nie zobaczysz na oczy. I coraz bardziej kręcił, więc małe przypomnienie mu się należało. Zwłaszcza że to nie był biedaczyna przecież. Musiał tylko starego poprosić.

– I ty się właśnie takimi rzeczami zajmujesz?

– Między innymi. Do usług. Ale nie dla ciebie, dla mojego szefa.

Zakrzeński spojrzął na Brackiego z pewnym podziwem.

– Udało ci się umieścić jednego z naszych w takim miejscu? – zapytał. – Nieźle, tylko czy on musi się nawet tutaj zachowywać po chamsku?

– Że niby co, że ja miałbym być psem? – oburzył się Putin. – Weź ty, facet, spadaj na drzewo.

Rozparł się wygodniej na krześle i ostentacyjnie ziewnął.

– Czy mógłbym z tobą pogadać na osobności? – Zakrzeński zwrócił się do Brackiego, który westchnął i niechętnie wstał. Wyszli na korytarz.

– Mam rozumieć, że to zwykły informator?

– Na pewno nie zwykły. Bardzo cenny w bardzo cennym miejscu. I cholernie przy tym drogi.

- Ale to po prostu gangster, tak?
- Aniołem to on nie jest, to fakt.
- I mam brać to, co mówi, za dobrą monetę?

- A co myślisz? Że w środę wieczorem poszedł spoliczkować twojego pacjenta, a w nocy zmienił zdanie, w cudowny sposób dostał się do siedziby tej całej firemki i wrzucił delikwentowi cyjanek do szampana? Gdyby miał go usunąć, zrobiliby to w o wiele prostszy sposób.

Zakrzeński uważnie przyglądał się Brackiemu. Podinspektor sprawiał wrażenie, jakby nie uważał tego, co mówi, za szokujące.

- Czyli przyjmujesz, że facet może mieć na koncie mokrą robotę?

- Nie sądzę, a przynajmniej nie od chwili, kiedy robi w tym kasynie. Przecież zabijanie dłużników nie ma sensu z ich punktu widzenia, bo kasyno ma wtedy w plecy.

Bracki ostentacyjnie spojrzał na zegarek.

- Nurtują cię jeszcze jakieś pytania?
- Jedno, za to bardzo. Jaki jest w ogóle cel tej akcji?
- Jakiej akcji?
- Z tym nielegalnym kasynem. Kiedy to zwijacie?

- Nie ma mowy o żadnym zwijaniu. Niech działa jak najdłużej. Tam naprawdę przychodzą bardzo ciekawe postacie. Z różnych sfer. A Wołodyjowski jest w samym centrum.

- Wołodyjowski? - powiedział Zakrzeński, który miał wrażenie, że zaczyna śnić. - On się nazywa Wołodyjowski?

- Nie, oczywiście, że nie. Dawniej na niego wołali Wołodia, bo podobny do Putina, stąd teraz Wołodyjowski. W każdym razie jest w samym centrum i ma zaufanie. Nie masz pojęcia, jakie ciekawostki potrafi przynieść.

- I co z nimi robisz? Szantażujesz te szychy?

- Rozumiem, że nie masz więcej pytań. Protokoły ci podrzucę jutro.

- Jakie, kurwa, protokoły?

Bracki skrzywił się, jakby przekleństwo go uraziło.

- Przesłuchania Wołodyjowskiego i przesłuchania jego kolegi, który potwierdza jego alibi na środę wieczór, kiedy Oleńczuk do-

stał w twarz. Najwyraźniej ochroniarz pomylił numery rejestracyjne.

– A jeśli ja w to nie wejdę?

– Chyba ci się rzędy wielkości pomyliły. Nikt cię o zdanie nie pyta. I jeszcze jedno: odpowiadasz za to, żeby twój prokurator nie narobił jakichś głupot. Uważaj na to, co mu mówisz.

Bracki otworzył drzwi do swojego gabinetu, ale zanim tam wszedł, dodał:

– Przy okazji. Nikt na mieście nic nie wie o tym, kto mógł załatwić twojego pacjenta. Żadnych transakcji na cyjanku też ostatnio nie było. Na razie.

Rozdział 6

Poniedziałek

W nocy z niedzieli na poniedziałek Zakrzeńskiemu cały czas śnił się Putin, sam nie wiedział, czy ten prawdziwy, czy ten, którego spotkał na komendzie. Obudził się z wrażeniem, że ma straszego kaca. Alkoholu nie pił wprawdzie od ponad ośmiu lat, ale tego, jak się czuł, nie dało się określić w żaden inny sposób.

A był to dopiero początek dnia, który zapowiadał się okropnie. Najpierw rozmowa z szefem wydziału, który dotąd nie interesował się zupełnie śledztwem w Ożarowie. Teraz na pewno sobie o nim przypomni i zacznie zadawać pytania, oczywiście jak najbardziej uzasadnione. Następnie z jakimiś durnymi pytaniami albo, co gorsza, pomysłami zadzwoni Wilk. A potem będzie cała reszta dnia spędzona na czekaniu na jakieś wiadomości, które nie nadejdą, i na coraz bardziej desperackich próbach wyszukania jakiegoś punktu zaczepienia w dotychczasowym materiale.

Najgorsze wydaje się to, że przez cały ten czas będzie musiał walczyć z poczuciem senności i zmęczenia, które nie opuszcza go od dłuższego czasu. Wyjątkiem są krótkie chwile w objęciach Marty. Z Martą zobaczy się dopiero wieczorem, jeśli ona rzeczywiście przyjedzie do niego na noc, tak jak się umawiali. Pewności jednak nie miał.

Jeśli miał myśleć o jakiegokolwiek skuteczności, dramatycznie potrzebował źródła energii, czegoś, co dałoby mu kopa na kilkanaście godzin. Czyli potrzebował dobrego, solidnego biegu, co najmniej dziesięciu kilometrów, najlepiej dwunastu. Tylko że nie mógł biegać, bo miał kontuzjowaną lewą nogę.

Przecież wczoraj, pomyślał nagle, kiedy przez ładnych kilkaset metrów goniłeś Mikołaja Kulaka, noga cię nie zaboląła nawet przez chwilę. Ani trochę.

Szybko wstał z łóżka, czym wprowadził w wielkie niezadowolenie

rozespaną Laure, i sięgnął po leżący na parapecie telefon. Docho-
dziła szósta. Zdąży, tylko musi się pospieszyć.

Niecałe pięć minut później był na swojej stałej trasie dokoła
osiedla. Od razu zdumiało go to, jak lekko mu się biegnie. Miał też
wrażenie, że biegnie szybko. Przy pierwszym punkcie pomiaro-
wym okazało się, że miał rację. To było naprawdę dobre tempo,
gdyby potrafił tak wczoraj biec za Kulakiem, Marta i tak by go
w końcu dogoniła i prześcignęła, ale nie z taką łatwością.

Wystarczyło się przełamać, pomyślał i poczuł, jak te wszystkie
substancje o skomplikowanych nazwach zaczynają zalewać jego
mózg i wprawiać go we wspaniały nastrój, którego od tak dawna
nie odczuwał. I co najważniejsze, miał teraz pewność, że lewa
noga go nie zdradzi, bo znowu jest po jego stronie.

Rzeczywiście, lewa noga sprawowała się świetnie, podobnie
zresztą jak prawa. Uderzenie poszło w inne miejsce – w brzuch,
tuż pod lewymi żebrami. Nie była to zwykła kolka, lecz potężny
cios nożem. Ból rozszedł się po całym ciele. Zakrzeński musiał się
zatrzymać i głęboko zgiąć w pasie. O mało przy tym nie upadł.

– Wszystko w porządku? – zapytał ktoś obok.

Z trudem uniósł głowę i zobaczył, że zatrzymał się przy nim ja-
kiś młody dupek, w stroju i butach, które musiały kosztować for-
tunę, z wielkim stoperem z tysiącem niepotrzebnych funkcji i ja-
kimś idiotycznym przyrządem do mierzenia tętna i nie wiadomo
jeszcze czego przyczepionym do ramienia.

– Dobrze się pan czuje? – powtórzył dupek.

Zakrzeński wyprostował się jeszcze trochę i popatrzył dokoła.
Z jednej i drugiej strony szli jacyś ludzie z psami. To dobrze, bo
miał naprawdę wielką ochotę dupkowi wpierdolić.

– Dobrze, dziękuję – mruknął i odszedł najszybciej, jak potrafił.
Zaraz potem zwolnił. Do domu miał półtora kilometra. Nie zapo-
wiadał się najłatwiejszy ani najprzyjemniejszy spacer.

Na początku przesłuchania Mikołaja Kulaka Wilk odniósł wra-
żenie, że jest to człowiek bardzo nerwowy i bardzo nieprzyjemny.

– Jestem niewinny. Nie macie żadnych dowodów, aby łączyć

moją osobę z tym zabójstwem – oświadczył, wyraźnie się jąkając. – To, że zostałem zatrzymany w areszcie, to skandal. A kolejnym skandalem są warunki, jakie tam panują. Na przykład to, że człowiek, który nie żywi się padliną, musi cierpieć głód.

Kiedy skończył, spojrzął na Wilka wyzywająco, jakby oczekiwał od niego agresywnej odpowiedzi.

– Najmocniej pana przepraszam, ale jest to coś, na co nie mam bezpośredniego wpływu – powiedział Wilk. – Proszę chwileczkę poczekać.

Sięgnął do dolnej szuflady biurka i wyciągnął nienapoczętą paczkę ciasteczek owsianych. Podsunął je Kulakowi. Ten przyglądał się prokuratorowi z ogromnym zdziwieniem. Potem zaczął przyglądać się ciastkom, jakby się zastanawiał, czy nie są zatrute albo naszpikowane eliksirem prawdy. Wilk sięgnął więc po jedno i zaczął jeść. Kulak natychmiast złapał dwa ciasteczka, jakby się obawiał, że dla niego zabraknie, i ugryzł oba jednocześnie.

– Niestety, znajdował się pan na miejscu zbrodni i zaczął pan uciekać – stwierdził Wilk. – Te okoliczności są bardzo obciążające. Dlatego muszę pana poprosić, żeby mi pan te dwie kwestie wytłumaczył najdokładniej, jak się da. To znaczy: po co pan się tam wczoraj znalazł i dlaczego zaczął pan uciekać.

Kulak szybko kiwnął głową.

– Jeśli chodzi o to, po co przyjechałem, opowiadałem już o tym pańskiemu kol... Przepraszam, temu policjantowi.

– Jeśli to możliwe, chciałbym to usłyszeć z pańskich ust.

Kiedy Kulak skończył opowiadać, dlaczego znalazł się w domu Anny Szulc, Wilk przyjrzał mu się bez słowa.

– I jak pan myśli – zapytał w końcu. – Czy pana syn byłby zdolny do zabicia człowieka?

– Nie mam pojęcia. Wiem jeszcze mniej, niż wiedziałem. Bo jeśli podał Oleńczukowi truciznę, to chyba logiczne jest też, że zabił Szulc, prawda? Musiałoby w nim być naprawdę dużo zła, jeśli pan pozwoli na użycie takiego staromodnego słowa.

Wydawało się, że rzeczywiście oczekuje od Wilka takiego pozwolenia, więc ten skinął głową.

– Chciałbym powiedzieć, że to niemożliwe, ale nie potrafię –

kontynuował Kulak. – Na pewno bardzo chciałbym się tego dowiedzieć, przede wszystkim ze względu na siebie. Pozostaje mi tylko trzymać za pana kciuki, panie prokuratorze.

Wziął ostatnie ciasteczko i zjadł je powoli, do ostatniego okruszka. Wilk nie odzywał się, bo miał wrażenie, że Kulak ma coś do dodania.

– Myślałem o tym sporo, siedząc w areszcie – zaczął w końcu Kulak. – I doszedłem do wniosku, że nie mogę wykluczyć udziału mojego syna w żadnym z tych zdarzeń. Widzi pan, wśród wielu jego nieciekawych cech jest na pewno także i ta, że jest tchórzem. A to by pasowało do obu tych przypadków, prawda? Podrzucenie trucizny, cios w tył głowy... Więc jeśliby się miało okazać, że mój syn ma w sobie to coś, co pozwala na zabicie drugiego człowieka, to metoda na pewno nie jest problemem. Jeśli jest coś, co w całej tej sytuacji wyraźnie mi nie gra, to sama Szulc. Jeśli ona zauważyłaby, że mój syn podrzuca truciznę Oleńczukowi, trudno mi sobie wyobrazić, żeby trzymała język za zębami. Gdyby to był Zawirski, jak najbardziej. Drugi Oleńczuk, prawdopodobnie. Ale nie mój syn.

– Dziękuję, to bardzo ciekawe – powiedział Wilk. – To teraz drugie pytanie. Dlaczego pan uciekał?

Kulak wzruszył ramionami.

– Tu akurat nie ma żadnej tajemnicy. Paradoksalnie uciekałem dlatego, żeby się nie znaleźć w sytuacji, w której się znajduję. Od razu zdałem sobie sprawę, że będę podejrzany i że moje wyjaśnienia, jakkolwiek prawdziwe, będą się mogły wydawać mało prawdopodobne. Pomyślałem, że mam szansę, bo mam kilkadziesiąt metrów przewagi, a poza tym jestem w formie. Nie biegam, ale dużo chodzę. Nie miałem pojęcia, że z tej policjantki będzie taka Szewińska.

Wychylił się nieco do przodu, skupiając wzrok na oczach Wilka.

– Teraz tego żałuję, bo to mi nie pomogło. Nie dość, że to podejrzane, to jeszcze takie zachowania muszą być dla was mocno, powiedzmy, irytujące. Ale proszę mi wierzyć, że nawet gdybym uciekł skutecznie, w żaden sposób nie utrudniłoby to wam śledztwa. Zdążyłem tam wejść i stwierdzić, że ona nie żyje. Nic tam nie

przestawiałem, nie naruszałem żadnych śladów. Jakby mnie nie było.

– Fachowcy od zbierania śladów pewnie by się z panem nie zgodzili – odparł Wilk. – Swoją drogą, jest jeszcze jedno pytanie, które chciałbym panu zadać. Czy kiedy wszedł pan na ten taras, coś pana zaskoczyło? Zobaczyl pan coś niespodziewanego?

– Jak by to powiedzieć, panie prokuratorze... Oczywiście, że tak. Zaskoczyły mnie zwłoki.

Wilk poczuł, że jego policzki oblewa gorący rumieniec.

– Oczywiście... Mnie chodziło o to, czy...

– Rozumiem, panie prokuratorze – Kulak wszedł mu w słowo. – Przepraszam, nie mogłem się powstrzymać.

Nagle zamknął oczy i przez dłuższą chwilę siedział zupełnie nieruchomo, nie odzywając się ani słowem. Wilk zaczynał się zastanawiać, czy Kulak nie zasnął, kiedy ten w końcu zaczął mówić.

– Nie jest to łatwe zadanie, panie prokuratorze, bo ja nigdy tam przedtem nie byłem. Na ile sobie mogę teraz przypomnieć, wydaje mi się, że na tarasie wszystko było na swoim miejscu. Tam, gdzie by się tego można spodziewać. Mały stolik z serwetką i dwa fotele, na stoliku popielniczka. Otwarta szafka na buty. Zamknięta szafka, a na niej serwetka z tego samego kompletu. Wysoka szafka w rogu, mogę się założyć, że w środku jakaś szczotka i pewnie łopata do odśnieżania. Koło drzwi wieszak, na nim płaszcz przeciwdeszczowy i parasolka. Na filarze drugi wieszak z kluczem na tasie. Wszystko w idealnym porządku, nawet popielniczka opróżniona. No tak, tylko ta karta do tego wszystkiego nie pasuje.

– Karta?

– Karta do gry. Królowa kier, ale nie jestem tego na sto procent pewny. Leżała koło stolika. Szulc musiała jej nie zauważyć, jak spadła. I to jest dziwne, bo ona miała obsesję na punkcie porządku, pamiętam jeszcze z moich czasów w OKZ. Do tego trudno mi sobie ją wyobrazić grającą w karty. Brydż ze znajomymi na tarasie? Może, ale nie do końca to widzę.

Otworzył oczy tak niespodziewanie, że Wilk prawie podskoczył na krześle.

– To wszystko, panie prokuratorze – zakończył Kulak. – Więcej

sobie nie przypomnę.

– Bardzo panu dziękuję. I gratuluję spostrzegawczości.

– Dziękuję. Zna pan takie pojęcie „uwaga”?

Wilk po chwili zastanowienia pokręcił głową.

– To taka praktyka medytacyjna – wyjaśnił Kulak. – Nieważne. Co teraz ze mną będzie?

Wilk zawahał się. Wiedział, co chce zrobić, i był przekonany o słuszności tego wyboru, ale podejrzewał, że Zakrzeńskiemu taka decyzja się nie spodoba.

– Nie będę występował o areszt tymczasowy, więc może pan wracać do domu. Ale muszę zastosować dozór policyjny. Nie wszystkie okoliczności są w stu procentach jasne.

– Mam się meldować na policji?

– Tak, na pańskim najbliższym komisariacie.

– Nie ma sprawy. Pięć kilometrów przez las w jedną stronę, doskonały dystans na spacer.

Po wyjściu Kulaka Wilk zadzwonił do Zakrzeńskiego. Wyglądało na to, że komisarz jest w bardzo złym humorze.

– No cóż, to pana decyzja, żeby go wypuścić. Moim zdaniem nic się nie zmieniło i to w dalszym ciągu główny podejrzany, a ten młotek czy coś innego w końcu znajdziemy. Na razie żadnych wiadomości nie mam. Zaraz...

Zakrzeński na chwilę zamilkł, a kiedy się znowu odezwał, Wilk miał wrażenie, że przełamuje jakiś głęboki wewnętrzny opór.

– Dostałem informacje operacyjne, że denat był hazardzistą. Potrafił przegrać spore sumy, miał długi. Ten temat jest ciągle rozpracowywany, ale nie wygląda na to, żeby miał związek z jego śmiercią. Facet miał odziedziczyć sporą kasę, więc pozbywanie się go nie byłoby w interesie jego wierzycieli.

– Bardzo ciekawe – zainteresował się Wilk. – I nie sądzi pan, że może tu występować jakiś związek ze śmiercią Szulc?

– Ze śmiercią Szulc? – w głosie Zakrzeńskiego zabrzmiało autentyczne zdziwienie. – Czy pan wie o niej coś, czego ja nie wiem?

– Nie, oczywiście, że nie... Tak się po prostu zastanawiałem... To

znaczy przyszło mi do głowy, że w kontekście...

– Panie prokuratorze, czy możemy tę burzę mózgów przesunąć na później? Jestem w tej chwili bardzo zajęty, więc jeśli nie ma pan żadnych poleceń...

– Nie, oczywiście, nie przeszkadzam panu. Do widzenia.

Wilk odłożył telefon i zamyślił się. Kiedy Zakrzeński powiedział o hazardowych skłonnościach Oleńczuka, Wilk natychmiast pomyślał o karcie do gry, którą Kulak zauważył na tarasie Szulc. Ale Zakrzeński związku nie dostrzegł. A przecież wiedział o tej karcie z pierwszej ręki, bo był jako pierwszy na miejscu zbrodni.

Zapewne ma rację, pomyślał Wilk, i żadnego związku tu nie ma. No bo na czym miałyby on polegać? Na tym, że Szulc i Oleńczuk któregoś wieczora rozegrali na tym tarasie jakąś dramatyczną partię pokera o wielką stawkę, którą ona przegrała i dlatego przy najbliższej możliwej okazji usunęła go za pomocą trucizny dodanej do szampana? Idiotyczny pomysł. Nie mówiąc już o tym, że zupełnie nie wyjaśnia, kto usunął ją.

Nawet jeśli hazardowe skłonności Krzysztofa Oleńczuka w żaden sposób nie wiązały się ze śmiercią Anny Szulc ani nawet z jego własną śmiercią, nie znaczyło to przecież, że były zupełnie bez znaczenia. W końcu to jakaś informacja o ofierze, jakiś przyczynek do portretu psychologicznego człowieka, o którym tak naprawdę niewiele udało się dowiedzieć z innych źródeł.

Tylko co to właściwie znaczyło, że Oleńczuk był hazardzistą? Przecież nie to, że grał na automatach albo że co kilka dni stawiał się w kolekturze lotto z plikiem kuponów. Nie, w przypadku tak bogatego człowieka musiało chodzić o grę w kasynie. Czyli w jakimś luksusowym hotelu.

Wilk spróbował sobie takie miejsce wyobrazić, ale nie szło mu to najlepiej. Wtedy przypomniał sobie Kulaka, który zamknął oczy, żeby przywołać wspomnienie tarasu Anny Szulc. Może to by mogła być skuteczna metoda, pomyślał, przymknął oczy i niemal natychmiast zobaczył zaskakująco wyrazisty obraz. Ludzie tłoczący się wokół stołu do ruletki. Błady krupier puszcza koło w ruch; tuż obok niego stoi Oleńczuk ze wzrokiem nieruchomo wbitym w rozkręcające się koło. Stop. Coś w tym obrazku jest nie

tak. Stroje. Oleńczuka, krupiera, innych... Wszystkie wyglądają, jakby były z dziewiętnastego wieku.

To chyba dlatego, że ruletka jest taka dziewiętnastowieczna. Przecież nie musi chodzić o ruletkę. Może Oleńczuk przepuszczał pieniądze na grę w pokera? A to oznacza zupełnie inne wnętrze. Zadymiony pokój, stół, cztery fotele i czterech mężczyzn. Żaden z nich nie jest Oleńczukiem. W ogóle nie są do niego podobni, są podobni do siebie nawzajem: grubi, a właściwie tłuści, z gigantycznymi cygarami w zębach. Twarze jakby De Niro z jego grubego okresu. Nie trzeba się długo zastanawiać, żeby się zorientować, że to Amerykanie.

Ciekawe, czemu właśnie Amerykanie, pomyślał Wilk, i niemal natychmiast przyszła mu do głowy odpowiedź. Jasne, przecież to Las Vegas. A ta wcześniejsza scena, z ruletką, to było oczywiście Baden Baden. Młody człowiek, który stał przy stole i intensywnie się w niego wpatrywał, to nie był wcale Oleńczuk, tylko Aleksy Iwanowicz z *Gracza* Dostojewskiego.

Wilk gwałtownie otworzył oczy. Chyba na moment przysnął, stąd te bzdury. Zamykanie oczu nie było dobrą metodą śledczą. Nie można marnować więcej czasu. Skoro w sprawie Oleńczuka i Szulc nie dzieje się nic nowego, będzie musiała poczekać, a on zajmie się czymś innym.

Wyciągnął na chybił trafił tom akt ze sporej sterty, jaką miał ułożoną na skraju biurka, i zaczął czytać, ale nie mógł się skupić. Jego myśli uparcie wracały do Las Vegas. Po krótkiej walce poddał się, otworzył w przeglądarce Wikipedię i wpisał tam tę nazwę.

Pierwsze olśnienie przyszło po pierwszym zdaniu. „Miasto w stanie Nevada”. Tablica rejestracyjna z Nevady, którą Oleńczuk miał przytwierdzoną do drzwi łazienki! Najprawdopodobniej Oleńczuk był w Las Vegas!

Entuzjazm Wilka zgasł jeszcze szybciej, niż się pojawił. Bo to przecież nie było żadne odkrycie. Oleńczuk był bogaty, mógł sobie pozwolić na jeżdżenie po świecie. Lubił hazard, więc wybrał się do tego całego Las Vegas.

Wilk zamknął przeglądarkę i znowu otworzył tom akt, ale nie

mógł się skoncentrować nawet na pierwszym zdaniu. Przeklęte Las Vegas cały czas nie chciało dać mu spokoju.

– Nie, panie prokuratorze – powiedział ostrożnie Zakrzeński. – Niestety, nic szczególnego mi się z Las Vegas nie kojarzy.

Naprawdę nie wiedział, jakiej reakcji się spodziewać. Podejrzeń, że Wilk ostatecznie oszalał, zaczął nabierać w chwili, kiedy ten niespodziewanie wparował do jego pokoju na komendzie. Po kilku minutach chaotycznej opowieści był tego prawie pewien.

– No widzi pan, mnie też nic nie przychodziło do głowy – Wilk z wyrozumiałością pokiwał głową. – Ale cały czas dręczyło mnie poczucie, że jest jeszcze coś, o czym powinienem pomyśleć. Pan takiego poczucia nie ma?

Zakrzeński potrząsnął głową. Wilk chyba nie spodziewał się takiej odpowiedzi, bo przez chwilę milczał skonfundowany. Ale potem znowu zaczął mówić bardzo szybko.

– Nieważne. W każdym razie ja takie poczucie miałem, więc znowu zajrzałem do tego artykułu o Las Vegas w Wikipedii. Ja wiem oczywiście, że Wikipedia to nie jest stuprocentowo pewne źródło informacji, ale ponieważ chodziło mi o zupełnie podstawowe rzeczy... No i ten artykuł był całkiem dobrze napisany, takie miałem wrażenie. Zresztą w ogóle polska Wikipedia podobno należy do najlepszych na świecie... W każdym razie artykuł był długi. Nie wiedziałem, czego właściwie szukam, więc musiałem go czytać w całości. Pod koniec zwątpiłem, że cokolwiek znajdę...

Wilk zawiesił głos, jakby doszedł do najbardziej dramatycznego momentu swojej opowieści.

– Wtedy przeczytałem, że Las Vegas to także amerykańska stolica rodeo. I wszystko stało się jasne.

Na twarzy prokuratora malował się triumf; uśmiechał się od ucha do ucha, jego oczy błyszczały. Milczał, najwyraźniej czekał na słowa uznania ze strony Zakrzeńskiego.

– Niestety, panie prokuratorze, ja za panem nie nadążam.

Wilk nie krył niedowierzania.

– No tak, ja miałem łatwiej – powiedział w końcu. – Od razu

mogłem kliknąć w link do hasła „rodeo” i tam było zdjęcie. Niech pan pomyśli, jaki obraz przychodzi panu do głowy, kiedy słyszy pan to słowo?

– Szczerze mówiąc, żaden.

– Niech pan zamknie oczy, tak może być łatwiej.

Pamiętaj, że z wariatem się nie dyskutuje, pomyślał Zakrzeński, a brać go trzeba z zaskoczenia. To jeszcze nie ten moment. Posłusznie przymknął oczy.

– I co pan widzi?

Ciebie w kaftanie, pomyślał Zakrzeński.

– Jakiegoś faceta na koniu – powiedział na głos. – Koń robi wszystko, żeby go zrzucić.

– Co ma na głowie?

– Grzywę – oświadczył Zakrzeński i otworzył oczy.

W tym samym momencie prokurator wybuchnął śmiechem, jakby usłyszał fantastyczny dowcip.

– Mam na myśli jeźdźca. Co jeździec ma na głowie?

– Kapelusz – powiedział Zakrzeński i dokładnie w tym momencie zrozumiał, o co Wilkowi chodziło. Może on jednak nie oszalał, może po prostu jeszcze bardziej zdziecinniał.

– Rozumiem, panie prokuratorze. Kowbojski kapelusz. W pokoju córki Szulc widzieliśmy kowbojski kapelusz, przypominam to sobie. Rozumiem więc, że wysnuwa pan wniosek, że Oleńczuka i Karolinę Szulc coś łączyło?

Wilk skinął głową, nie przestając się triumfalnie uśmiechać.

– Bo on być może był w Las Vegas, a ona miała skądś kowbojski kapelusz?

Wilk ponownie skinął głową, tylko jego uśmiech jakby przysgał. Musiał usłyszeć ostrzejszy ton Zakrzeńskiego.

– Panie prokuratorze, to ciekawe skojarzenie, jednak, szczerze mówiąc... Trochę mi się przypomina jakiś polski film, w którym facet ogląda kryminał i na tej podstawie dochodzi do wniosku, że przestępcy zawsze noszą czerwone...

– *Brunet wieczorową porą* – uzupełnił usłużnie Wilk. – Panie komisarzu, zupełnie serio, z czym się panu jeszcze kojarzy Las Vegas?

– Panie prokuratorze, zupełnie serio to ja naprawdę nie mam czasu na takie zabawy – oświadczył Zakrzeński. – Nie będziemy przecież budować śledztwa na jakichś luźnych skojarzeniach z kapelusznami i nie wiadomo czym jeszcze.

– Rzeczywiście, miałem pewne ułatwienie, bo przeczytałem cały artykuł w Wikipedii. Więc od razu sobie przypomniałem, z czym jeszcze powinno się kojarzyć Las Vegas. Ze ślubami.

Zakrzeński miał dość. Wstał z nadzieją, że to będzie czytelny sygnał zakończenia rozmowy.

– Proszę wybaczyć, panie prokuratorze, naprawdę nie mam czasu na takie... Doskonale pan wie, że sprawdziliśmy dane z urzędów stanu cywilnego. Oleńczuk nigdy nie był żonaty.

– Panie komisarzu – Wilk najwyraźniej nie miał zamiaru ruszać się z miejsca. – W USC można się dowiedzieć o małżeństwach zawartych w Polsce i o tych zagranicznych, które zostały w Polsce zarejestrowane. Jeśli ktoś zawiera związek małżeński za granicą, ale go potem w Polsce nie rejestruje, nasz urząd nie ma żadnego sposobu, żeby się o tym dowiedzieć. Co zresztą nie zmienia faktu, że takie małżeństwo pozostaje w pełni ważne.

– Dobrze. Skoro tak panu na tym zależy, skontaktuję się z Komendą Główną i poproszę, żeby to sprawdzili przez wydział współpracy z zagranicą.

– Nie ma takiej potrzeby. – Wilk wyciągnął z teczek kartkę. – To są publiczne informacje, wystarczy parę kliknięć. Proszę spojrzeć na wydruk. Krzysztof Oleńczuk, a właściwie Olenczuk, bo oczywiście nie mieli polskiej czcionki, Karolina Szulc, 20 sierpnia 2005. Dobrze będzie zdobyć pełny akt ślubu, żeby się dowiedzieć, kim byli świadkowie. Trochę się obawiam, że to byli tacy zawodowi świadkowie. Wie pan, jak to wygląda w Las Vegas, to jest cały przemysł...

Nagle przerwał.

– Panie komisarzu, czy coś się panu stało? – zapytał z troską. – Jakoś tak dziwnie pan na mnie patrzy.

Zadzwonili do Witolda Oleńczuka. Okazało się, że jest w War-

szawie. W ciągu dwudziestu minut zjawił się na komendzie.

– Nie, proszę mi wierzyć, wszystko, o czym mi panowie teraz mówicie, jest dla mnie zupełnym zaskoczeniem – mówił wyraźnie poruszony, na co wskazywały niekontrolowane drgania jego wąsów. – Nic nie wiedziałem o tym, że mój brat miał problemy z hazardem. A to, że ożenił się w Las Vegas z córką Anny Szulc, brzmi dla mnie zupełnie fantastycznie. Gdybym cokolwiek o tym wiedział, poinformowałbym panów. Zresztą jaki miałbym interes w tym, żeby to ukrywać?

– Pomińmy fakt zawarcia małżeństwa. Czy miał pan jakąkolwiek wiedzę o tym, że pana brat i córka Szulc byli parą?

Oleńczuk energicznie potrząsnął głową.

– Nie. Mówiłem panom wcześniej, że tak naprawdę nie utrzymywałem z bratem kontaktów i niewiele wiedziałem o jego życiu prywatnym. Ale...

Zamilkł. Wyglądał, jakby naprawdę intensywnie się nad czymś zastanawiał.

– Tak?

– Widzą panowie, coś jakby mi się przypomina, tylko nie potrafię ocenić, czy to prawdziwe wspomnienie, czy siła sugestii. Chodzi o to, że kiedy Zawirski powołał zarząd w obecnym kształcie, a raczej w kształcie, który miał przed śmiercią Krzysztofa i Szulc, urządził z tej okazji przyjęcie albo kolację u siebie w domu. Na to przyjęcie Szulc przyszła z córką, dobrze to pamiętam, było to zaskakujące dla wszystkich, bo Szulc wydawała się kimś, kto w ogóle nie ma życia prywatnego. Wiedzieliśmy, że ma córkę, ale to się wydawało jakieś takie abstrakcyjne. A tu proszę, pojawiła się dorosła kobieta z krwi i kości, całkiem atrakcyjna. Pamiętam, była wtedy mowa, że dziewczyna jest na ostatnim, a może na czwartym roku bodaj biologii i ma w planach robienie doktoratu.

Na chwilę przerwał i podrapał się po głowie.

– Mój brat na pewno był na tym przyjęciu, pamiętam zwłaszcza to, że od razu zabrał się do tego biednego Kulaka, zapytał go przy wszystkich, jakie są jego plany odnośnie do kompozycji marketingowej dla OKZ Development. Kulak nie wiedział zupełnie, co powiedzieć. W końcu zaczął coś bełkotać o tym, że owszem, chce

w działaniach marketingowych wykorzystywać muzykę. W każdym razie: wydaje mi się, że pamiętam też, jak brat rozmawiał z Karoliną Szulc. To znaczy mam przed oczami taki obrazek, że stoją przy kominku i są zatopieni w rozmowie. Ale może to tylko fałszywe wspomnienie, siła sugestii.

– Przyjmijmy, że to prawdziwe wspomnienie. Jeśli potem zaczęli się spotykać, jak to możliwe, że nic pan o tym nie wiedział?

– Brat takimi informacjami się ze mną nie dzielił.

– A Anna Szulc?

– Tym bardziej. Panie komisarzu, ona w firmie zajmowała się tylko pracą. Z nikim nie była na stopie towarzyskiej. I na pewno nie była to osoba, która zaczęłaby rozgłaszać, że jej córka chodzi z synem współwłaściciela.

– Kiedy to przyjęcie miało miejsce?

– Kiedy? Tak jak mówiłem, zaraz po powołaniu nowego zarządu, czyli jakoś wczesną wiosną 2005 roku.

– Więc to by się zgadzało, prawda? – odezwał się po raz pierwszy od dłuższego czasu Wilk. – Latem tego samego roku zabrał ją na wakacje do Stanów. Między innymi Las Vegas, być może Oleńczuk, przepraszam, pański brat, chciał się tam zabawić w kasynie. I przy okazji wzięli ślub. Może pod wpływem alkoholu, a może pod wpływem chwili, dajmy na to, jeśli Oleńczukowi, przepraszam, pańskiemu bratu, akurat udało się coś wygrać. Mógł ją wtedy zapytać na przykład, co chce w prezencie, ona mogła odpowiedzieć, że pierścionek, i z tego się to mogło wszystko naturalnie rozwinąć. Przepraszam, to są domysły, trochę wybiegam poza dostępny materiał. W każdym razie możemy założyć, że o ile dla niego to był jakiś ekstrawagancki wybryk, żeby nie powiedzieć żart, o tyle ona potraktowała to poważnie. I kiedy wrócili do Polski, ta różnica wyszła na jaw. Być może dziewczyna chciała, żeby to małżeństwo potraktowali stuprocentowo poważnie, zarejestrowali je, zamieszkali ze sobą. A pański brat się przestraszył odpowiedzialności i z nią zerwał. W październiku dziewczyna łyknęła proszki. Może tylko po to, żeby go postraszyć, ale wyszło, jak wyszło.

– Tak – pokiwał głową Oleńczuk. – To się chyba układa w ca-

łość.

– Dobrze – wtrącił Zakrzeński. – Ale jak to możliwe, że Anna Szulc po tym wszystkim w milczeniu pracowała z człowiekiem, który był w pewnym sensie sprawcą tragedii jej córki?

– Może w ogóle nie wiedziała o ich związku? – z powątpiewaniem w głosie zapytał Oleńczuk.

– Myślę, że wiedziała – stwierdził Wilk. – Matka wychowująca samotnie córkę... Można założyć, że były ze sobą blisko związane. Zwłaszcza że razem mieszkały. Kiedy córka Szulc targnęła się na swoje życie i znalazła się w śpiączce, jej matka musiała sobie zdawać sprawę, że będzie potrzebowała pieniędzy, dużo pieniędzy, żeby zapewnić jej opiekę. Otwarty konflikt z, było nie było, pracodawcą nie był w jej interesie.

Oleńczuk chrząknął, wyraźnie zmieszany.

– No cóż, mój ojciec nie pracował wtedy w firmie, przynajmniej oficjalnie, stan jego zdrowia na to nie pozwalał, ale nie był nieprzytomny i był jak najbardziej w pełni władz umysłowych. Muszę powiedzieć, że wcale nie jestem pewien, czyją wzięłby stronę, gdyby się dowiedział o tej historii. Anna Szulc mogła to oczywiście widzieć inaczej.

Przez chwilę wszyscy milczeli.

– Jeśli to wszystko, powinienem wrócić do pracy – Oleńczuk podniósł się z krzesła. – Chciałbym tylko, jeśli to możliwe, dowiedzieć się, gdzie w tej chwili znajduje się ta dziewczyna.

– Co panu po takiej informacji? – zapytał ostro Zakrzeński.

Oleńczuk przez dłuższą chwilę stał nieruchomo z bardzo skupioną miną; najwyraźniej z największym trudem starał się opanować drżenie wąsów.

– Jeśli dobrze rozumiem, ona nikogo teraz nie ma – powiedział w końcu. – A bądź co bądź jest moją szwagierką.

– I co pan o nim sądzi, panie prokuratorze? – zapytał Zakrzeński, kiedy za Oleńczukiem zamknęły się drzwi.

Wilk wstał, podszedł do okna i przez chwilę wyglądał przez nie w milczeniu.

– Wzbudza moją sympatię – powiedział w końcu. – Taka jest moja pierwsza myśl. Rozumiem, do czego pan zmierza. Teraz, kiedy wiemy o związku, jaki istniał między Krzysztofem Oleńczukiem i Anną Szulc, trudno nie uznać, że musi istnieć jakiś związek pomiędzy ich zabójstwami. A jeśli tak, to trudno nie pomyśleć o Witoldzie.

– Jak widziałby pan jego rolę?

Wilk potrząsnął głową.

– Nie wiem. To znaczy... Nasuwa mi się jedno rozwiązanie... Po pierwsze musielibyśmy założyć, że Oleńczuk wiedział o ślubie brata z córką Szulc. Co nie jest aż tak fantastycznym założeniem, byli przecież rodzonymi braćmi. O tym, że prawie ze sobą nie rozmawiali, wiemy tak naprawdę tylko od Witolda. Więc jeśli Witold o tym wiedział, mógł przyjąć, że to Szulc nie wytrzymała i zemściła się na jego bracie. Została sama w sali posiedzeń... Oleńczuk nie mógł mieć pewności, więc pojechał do niej w sobotę. Żeby się dowiedzieć. Zapytał ją otwarcie i ona mu się przyznała. Wtedy ją zabił, myślę, że pod wpływem silnego wzburzenia. W moim rozumowaniu tkwi poważny problem...

– Myślę, że wiem, o jaki problem panu chodzi.

– Musielibyśmy założyć, że chłopak na wózkę się mylił i Szulc weszła jednak do sali posiedzeń w czasie przerwy, żeby wrzucić truciznę. Mnie się wydaje, że jego zeznania są wiarygodne.

Jak to możliwe, pomyślał Zakrzeński, że człowiek, którego stać na ocierające się o geniusz skojarzenia, w innych chwilach sprawia wrażenie, jakby nie umiał dodać dwóch do dwóch?

– Panie prokuratorze, chłopak mógł się mylić. Problem tkwi gdzie indziej. Moim zdaniem nic nie wskazuje na to, że Witold jest aniołem zemsty, wszystko jedno, czy zakładamy premedytację, czy silne wzburzenie. To zupełnie nie ten typ osobowości, no i nie możemy zapominać, że jego związek z bratem był zupełnie letni.

– Tak – Wilk sprawiał wrażenie zasepionego. – Ma pan rację. Widzi pan jakiś inny scenariusz?

– Tak, jeśli mam w tym wszystkim znaleźć jakiś sens... Być może to właśnie Witold wrzucił Krzysztofowi truciznę do kielisz-

ka. Z motywem nie będzie najmniejszego problemu, w końcu miliony piechotą nie chodzą. Załóżmy: z jakiegoś powodu uznał, że Szulc go nie widzi, ale się mylił. Szulc bez problemu domyśliła się, co widzi, ale nie kiwnęła palcem, żeby temu morderstwu zapobiec, bo sama od dawna marzyła, żeby diabli wzięli człowieka, który skrzywdził jej córkę. Kiedy to się stało, uznała, że ma Witolda w garści. I zażądała pieniędzy. Na pewno ich potrzebowała. Co miesiąc płaciła przecież spore pieniądze za opiekę nad córką. Musiała sobie zdawać sprawę, że nie będzie żyć wiecznie, a córka sama się nie utrzyma.

– Tak – pokiwał głową Wilk. – To się układa w całość. Chociaż chwileczkę, mam wrażenie, że coś mi się w tym wszystkim nie do końca zgadza. Mam poczucie, że coś nam umyka.

– Żeby to jedno – westchnął Zakrzeński i podszedł do okna. Było uchylone tyle, ile się dało, ale przewiewu nie było żadnego. Poczuł się nagle bardzo zmęczony.

– Sama się nie utrzyma – usłyszał, jak Wilk powtarza jego słowa, a chwilę potem do jego uszu dotarł entuzjastyczny okrzyk. – Wiem, panie komisarzu!

– Tak? – zapytał Zakrzeński, starając się, by w jego głosie nie brzmiało zbyt duże zniechęcenie. Nie przypuszczał, żeby prokurator miał powtórzyć swój poranny wyczyn myślowy.

– Zapomnieliśmy o prawie spadkowym.

– Prawie spadkowym?

– Panie komisarzu, jeśli małżeństwo Oleńczuka z córką Szulc zostało zawarte prawidłowo, to jest ważne. I nie ma znaczenia, że nie zostało zarejestrowane w polskim USC. A jeśli tak, to Szulc nie powinna była pozwolić Witoldowi na zabicie brata ani tym bardziej sama go zabijać, dopóki żyje ojciec obu Oleńczuków. Gdyby Krzysztof przeżył ojca, odziedzyczyłby połowę jego majątku. Po jego śmierci majątek dziedziczyłaby żona, czyli córka Szulc. Nawet zakładając, że Anna Szulc żyła pragnieniem zemsty, świadomie nie pozbawiłaby siebie i córki takich pieniędzy.

– Chyba że o tym nie wiedziała.

– O kodeksie? Wydaje mi się, panie komisarzu, że ta kobieta mocno stąpała po ziemi.

– Nie – potrząsnął głową Zakrzeński. – Mogła nie wiedzieć o ślubie. Przecież jeśli jej córka chajtnęła się z Oleńczukiem w Las Vegas po pijaku albo w ramach wygłupu, to chyba nie miała szczególnej ochoty opowiadać o tym matce. Zwłaszcza jeśli Oleńczuk zaraz potem ją rzucił.

– Rzeczywiście. – Wilk się zadumał. – To możliwe. Ale...

Urwał i zamarł ze zmarszczonymi brwiami, z zaciśniętymi wargami i z miną, którą Zakrzeński uznałby za całkiem zabawną, gdyby nie jego własne narastające zmęczenie.

– Więc jaka jest pańska konkluzja, panie komisarzu? – zapytał w końcu Wilk, a w jego głosie brzmiało wyraźne zniechęcenie.

Zakrzeński odszedł od okna i podszedł do drzwi. Dopiero kiedy kładł rękę na klamce, zorientował się, że to aż nazbyt jednoznaczna demonstracja chęci zakończenia rozmowy. Było mu jednak wszystko jedno.

– Moja konkluzja jest taka, że za pomocą samego gdybania nie rozwiążemy tej sprawy. Ale zgadzamy się obaj, że Witold może być w to zaplątany, wszystko jedno, czy machnął ich oboje, czy tylko jedno z nich. Myślę, że trzeba mu się będzie przyjrzeć dużo bliżej niż do tej pory.

Zakrzeński dotarł do Błonia około dwudziestej. Kiedy Marta otworzyła mu drzwi, miała na sobie biały podkoszulek, rybaczki i była boso, tak jakby niedawno skończyła brodzić w wodzie. Chociaż jej bardzo umięśnione łydki i zbyt kościste stopy trudno było uznać za atrakcyjne, od razu poczuł rosnące podniecenie.

– Cześć – powiedziała i musnęła go w policzek. – Fajnie, że udało ci się przyjechać do mnie. Dopiero skończyliśmy, jestem padnięta. Nie miałam czasu nic przygotować do jedzenia. Może zamówimy pizzę?

Przeszła do kuchni, bo na lodówce miała ulotki pizzerii. Kiedy wybierała numer, przywarł do niej od tyłu, mając nadzieję, że jej zmęczenie nie okaże się nie do pokonania i że starczy im czasu, zanim przyjedzie pizza.

Zmęczenie nie było problemem, natomiast niewiele brakowało,

by zabrakło im czasu. Potem Marta z dużą zwinnością narzuciła ubranie i poszła odebrać pizzę, którą zjedli na łóżku, niemal tak łapczywie, jak się wcześniej kochali.

– No i co macie? – zapytała, zapalając papierosa, kiedy po raz kolejny skłamał, że nie przeszkadza mu palenie w pomieszczeniu, w którym przebywają.

– Nic – pokręcił głową. – Nic ciekawego. W wojsku ceniony, nie był wplątany w żadne afery, zrezygnował sam. Nie ma gwarancji, że wojsko nam powie prawdę, ale w tym wypadku wydaje mi się, że tak jest. Podatki płaci wystarczająco wysokie, żeby się skarbowka nie czepiała, za granicę jeździ od wielkiego dzwonu i w mało podejrzane miejsca. Czyli gównu, za przeproszeniem.

– To samo u nas – powiedziała, zaciągając się głęboko. – Według sąsiadów cichy, uprzejmy, nie utrzymuje z nikim specjalnych kontaktów. W ogóle większość sąsiadów chyba się nie domyśla, ile on ma kasy. Tylko jeden powiedział coś takiego, że jak na nadszanych to zupełnie nie zadzierają nosa. Oni, to znaczy Witold i jego żona.

Przez chwilę milczeli.

– No więc co robimy? – powiedziała w końcu.

Zakrzeński wzruszył ramionami.

– Zostaje czekanie. Jak zwykle w takich wypadkach.

– A przeszukanie?

– Przeszukanie? – spojrzał na nią ze zdziwieniem.

Skinęła głową.

– Mamy dla gościa silne potencjalne motywy. Alibi brak. Narzędzia zbrodni też ciągle nie znaleźliśmy. Więc...

– Wilk nie da sankcji. Wątpię, czy jakikolwiek prokurator by dał. Nie te czasy. I nie mówimy o jakimś Ziutku spod budki z piwem.

Skrzywiła się, sięgnęła po kolejnego papierosa. Potem zawahała się, ale w końcu zapaliła go i znowu głęboko się zaciągnęła. Zakrzeński odsunął się lekko, na tyle, na ile mógł to zrobić niepostrzeżenie.

– Nie za bardzo się tym przejmujesz? – zapytał.

Spojrzała na niego uważnie.

– Nie mów mi, że ty się nie przejmujesz. Mamy kilku podejrzanych podanych na tacy i gównu z tym możemy zrobić. Tak naprawdę to mnie szlag trafia, jak sobie o tym pomyślę.

– Wymyśl coś – powiedział i od razu pomyślał, że zabrzmiało to zbyt obcesowo. – Jesteś bystra.

Otworzyła usta, jakby rzeczywiście chciała coś powiedzieć, ale zamiast tego znowu zaciągnęła się papierosem. Odezwała się dopiero po chwili.

– W sumie mam pewien pomysł. Tylko jest on nie do końca...

– Co, mamy Witka zgarnąć i wymusić przyznanie się biciem?

Nie miał wątpliwości, że to zabrzmiało obcesowo. Wiedział dlaczego. Jej nieustanne gadanie zaczynało go drażnić. Wolałby wyjąć jej z ręki papierosa, znowu ją rozebrać i wrócić do tego, czym się zajmowali wcześniej. Chociaż pewnie dobrze by było, żeby przedtem umyła albo chociaż przepłukała zęby, nawet jeśli paliła słabe mentole.

– Wczoraj, z godzinę przed tym, jak znaleźliśmy ciało Szulc, przejeżdżał tamtędy patrol. Nie koło domu Szulc, ale główną drogą z Ożarowa. Nie widzieli nic podejrzanego, ale spotkali rowerzystę. Stary znajomy, można w ciemno założyć, że będzie pod lekkim wpływem, tuż nad progiem. Sprawdzili i tak było, więc pojechał na komisariat. Oni nie zadawali mu żadnych pytań w rodzaju czy coś widział, ale dzisiaj sobie z nim porozmawiałam. Wyobraź sobie, że wśród samochodów, które go mijają, była duża czarna limuzyna.

– Duża czarna limuzyna? Co to znaczy?

– Na przykład volvo S80. Wszyscy członkowie zarządu takie mają, czyli Oleńczuk też.

– Sorry. – Zakrzeński pokręcił głową. – Sama musisz sobie здаwać sprawę, że to za mało. A te samochody są granatowe.

– Ciemnogramatowe. Wiesz, jak mężczyźni mają z kolorami. Jak go zapytałam, czy mogło być granatowe, powiedział, że mogło. W ogóle facet jest raczej, hm, podatny na sugestię. Albo, inaczej mówiąc, otwarty na współpracę z policją. Mam nadzieję, że rozumiesz, o co mi chodzi.

– Domyślam się.

– Facet powiedział tylko, że samochód chyba prowadził jakiś gość w średnim wieku. Nic bliższego nie był w stanie o nim powiedzieć. Sądzę, że gdyby zobaczył zdjęcie...

– Jasne. I tobie się wydaje, że takie coś sprzedamy w sądzie?

– Do sądu droga daleka. Na razie rozmawiamy o pretekście do przeszukania. Przecież jest szansa, że ten cały Wilk to kupi?

Patrzyła na niego z napięciem, oczy jej błyszczały. Bardzo mu się to spodobało, chociaż wiedział doskonale, że przyczyną jest entuzjizm dla pomysłu, który w sytuacji zupełnego braku innych tropów może nie był tak całkiem bez sensu.

– Może to mogłoby się udać – powiedział i objął ją. – Prześpijmy się z tym.

Rozdział 7

Wtorek

Zakrzeński przyjechał z Warszawy z podpisanym nakazem przeszukania tuż po jedenastej. Marta czekała na niego pod domem Oleńczuka w towarzystwie sierżanta Leńczyka i dwóch wywiadowców wyglądających jeszcze młodziej od niego.

– Podpisał bez problemu?

– Tak zupełnie łatwo nie było. Żona Oleńczuka ciągle jest w domu?

– Jest.

Elżbieta Oleńczuk okazała się drobną, krótko ostrzyżoną szarynką o flegmatycznym usposobieniu.

– Witolda nie ma w domu – poinformowała ich, kiedy skończyła studiować nakaz.

– Jego obecność nie jest konieczna.

– Mogę chyba do niego zadzwonić?

– Oczywiście.

Oleńczuk zjawił się po mniej więcej dwudziestu minutach. Sprawiał wrażenie nie przestraszonego, lecz zdziwionego.

– Nie mam nic do ukrycia – powiedział od razu do Zakrzeńskiego – ale chciałbym wiedzieć, jakie mają państwo podstawy do tych działań.

– O to powinien pan dopytać prokuratora – wyjaśnił Zakrzeński, nie przestając przeglądać zawartości barku w salonie.

– Rozumiem – powiedział Oleńczuk i usiadł na kanapie obok żony. Przez chwilę przyglądał się Zakrzeńskiemu, który zostawił w spokoju niezbyt obficie zaopatrzone barek i zajął się biblioteczką. Potem Oleńczuk zdecydował się pójść w ślady żony i zaczął przeglądać jakieś stare pismo.

Zakrzeński odkładał właśnie na półkę ostatnią książkę, kiedy do pokoju weszła Marta i potrząsnęła głową. Chociaż zrobiła to

dyskretnie, Oleńczuk zauważył ten ruch.

– Rozumiem, że to koniec?

– Nie – odparł Zakrzeński. – Pojedziemy teraz do domu pańskiego ojca.

– Słucham?

– Proszę się wczytać w nakaz, obejmuje i to.

Oleńczuk podniósł papier z prokuratury, ale niemal od razu go odłożył.

– Dobrze. Jedźmy.

W domu ojca, większym i o wiele bardziej zagrożonym, Witold Oleńczuk zachowywał się zdecydowanie mniej spokojnie. Przechodził nerwowo z miejsca na miejsce, tak jakby chciał stać za plecami każdego z policjantów. Kiedy w końcu Zakrzeński i Zychowicz zatrzymali się przed drzwiami pokoju, w którym leżał chory, przez chwilę wydawało się, że Oleńczuk położy się w progu Rejtanem.

– Jeśli to naprawdę konieczne, proszę – powiedział zamiast tego i otworzył drzwi. – Proszę o całkowitą ciszę. Coś zaskakującego, jakiś hałas, mogłoby źle wpłynąć na jego stan. I proszę działać tak szybko, jak to możliwe.

Weszli do pomieszczenia przepelnionego dusznym zapachem umierania. Łóżko, wyposażone w najróżniejsze podnośniki i mechanizmy regulacji nachylenia, było tak wielkie, że drobne, blade ciało chorego prawie na nim ginęło. Doskonale widoczne było za to obfite ciało siedzącej przy łóżku pielęgniarki, która nie patrzyła przyjaźnie na obce osoby.

Przez dłuższą chwilę przeszukującym udało się zachowywać cicho. Niespodziewanie Zychowicz wyślizgnął się z rąk jeden z kilku wypełnionych lekami i innymi akcesoriami koszyczków ustawionych na parapecie. Na podłogę spadły tubki, fiolki i ampułki, dwa termometry, kilka łyżeczek, nożyczki. Nic się nie potłukło, ale w panującej ciszy hałas był niemal apokaliptyczny. Umierający od razu niespokojnie się poruszył.

– Strasznie przepraszam. – Zychowicz zaczerwieniła się jak

pensjonarka.

- Prosiłem o ciszę – zganił ją wyraźnie poirytowany Oleńczuk.
- Od czego jest ten klucz? – zapytał Zakrzeński.

- Nie – powtórzył Witold Oleńczuk. – Naprawdę nie mam pojęcia, co to za klucz, nigdy go wcześniej nie widziałem i nie wiem, w jaki sposób znalazł się w pokoju mojego ojca.

Mówił spokojnie i oprócz sporadycznych drgnięć wąsów nie widać było na jego twarzy żadnych oznak zdenerwowania. Ale siedział zgarbiony, niemal skulony, jakby przyjął pozycję obronną.

- Jeśli panu powiem, że jest to klucz od furtki na posesji Anny Szulc – powiedział Wilk – czy to w jakiś sposób pomoże pańskiej pamięci?

- Powtarzam: nie mam pojęcia, skąd się tam wziął.

- Nie sprawia pan wrażenia szczególnie zaskoczonego informacją, od jakiego zamka jest ten klucz.

- Pan wybaczy, panie prokuratorze, ale miałem wystarczająco dużo czasu, żeby się tego domyślić. Skoro tak się nim państwo interesują, ma on jakiś związek z morderstwami. To gruby klucz starego typu, nie yale. Od jakiegoś starego zamka w starym budynku albo, co bardziej prawdopodobne, od furtki, bo w furkach się jeszcze takie mogły uchować. W żaden sposób nie pasuje do mojego brata, który wynajmował mieszkanie w bloku w nowym budownictwie. Drogą eliminacji domyślam się Anny Szulc, która miała dom.

- Często pan tam bywał?

- Ja? – ze zdziwienia Oleńczuk niemal się wyprostował. – W życiu nie widziałem jej domu na oczy. Nie utrzymywałem z nią kontaktów na stopie prywatnej. Tak jak wszyscy albo prawie wszyscy w firmie.

- To skąd pan wie, że mieszkała w domu, a nie w mieszkaniu?

Wąsy Oleńczuka znowu zadygotały, ale tym razem ich właściciel sprawiał wrażenie zirytowanego.

- Panie prokuratorze, nie spodziewałem się po panu takich ta-

nich chwytów. Przecież w poniedziałek trąbiły o tym gazety, nawet zdjęcia zamieszczono.

Wilk poczuł, że jego policzki zalewa fala gorąca. Spróbował ukryć rumieniec, pochylając głowę i udając, że zagląda w akta. Spojrzenie Oleńczuka mówiło, że niezupełnie mu się to udaje.

– Jeśli nigdy wcześniej pan tego klucza nie widział, musi to znaczyć, że ktoś go podrzucił. Domyśla się pan może kto?

Oleńczuk pokręcił głową.

– A czy w dalszym ciągu utrzymuje pan, że w sobotę spędził pan całe popołudnie przy ojcu?

– Oczywiście, bo to prawda.

– A gdybym panu powiedział, że znalazł się świadek, który rozpoznał pańskie volvo i pana za kierownicą i że było to w pobliżu domu Anny Szulc, mniej więcej w czasie jej śmierci?

Oleńczuk przez chwilę milczał, uważnie przyglądając się Wilkowi.

– Więc sprawa wygląda poważniej, niż myślałem – podsumował. – Mogę powiedzieć tylko jedno: to nie byłam ja.

– Pielęgniarka, która zmieniła Oleńczuka przy jego ojcu w niedzielę rano, twierdzi, że się stamtąd nie ruszała. I że nikt obcy tam nie przychodził. Nie mamy powodu, żeby jej nie wierzyć. To znaczy, że nikt nie mógł tego klucza podrzucić. Dopóki Oleńczuk nam tego nie wyjaśni, jest głównym podejrzanym, panie prokuratorze. Wystąpienie o areszt było słuszne.

Wilk pokiwał głową, choć nie wyglądał na przekonanego.

– Ja to wszystko wiem. Tylko że, panie komisarzy, ciągle nie rozumiem, o co tak naprawdę chodzi z tym kluczem.

Zakrzeński z trudem powstrzymał westchnienie.

– Panie prokuratorze, już to omawialiśmy. Bez tego klucza Oleńczuk nie dostałby się na teren posesji Szulc i nie mógłby urządzić na nią zasadzki. Ogrodzenie jest wysokie, prawie dwa metry, raczej nie do pokonania w inny sposób, chyba że dla kogoś nadzwyczaj wysportowanego. Oleńczuk musiał jej zwinąć ten klucz w piątek albo nawet w czwartek w firmie. Nie wiem do-

kładnie jak, ale jakiś scenariusz można tu sobie wyobrazić. Na przykład poczekał, kiedy Szulc pójdzie do toalety, i wślizgnął się do jej pokoju. Albo przyszedł do niej pod jakimś pretekstem i odwrócił jej uwagę. Szulc niczego nie zauważyła, bo prawdopodobnie tego klucza nie używała. Miała bramę na pilota i zazwyczaj jeździła samochodem.

– To rozumiem. Nie rozumiem natomiast, po co Oleńczuk ten klucz ukrył. Właściwie nie rozumiem, po co go w ogóle zabrał z miejsca zbrodni, zamiast go z powrotem przypiąć do jej kluczy.

Zakrzeński wzruszył ramionami.

– Mogą być różne powody, panie prokuratorze. Pomijam fakt, że przestępcy często nie działają racjonalnie. Może Oleńczuk chciał zachować ten klucz na wszelki wypadek, gdyby musiał wrócić do domu Szulc? A może się bał, że zostawił na nim jakieś ślady, i chciał je w spokoju usunąć? A może machinalnie wsadził go do kieszeni i przypomniał sobie o nim dopiero po jakimś czasie, jak wrócił do ojca? Mógł wtedy pomyśleć, że to w miarę bezpieczne miejsce na ukrycie klucza, nawet w wypadku ewentualnego przeszukania, bo może powstrzymamy się przed zakłóceniem spokoju umierającemu człowiekowi.

Wilk pokiwał głową z jeszcze mniejszym przekonaniem.

– Mam wrażenie, że bardzo dużo w tym wszystkim mało prawdopodobnych założeń.

– Ma pan coś lepszego? – rzucił z przekąsem Zakrzeński i wstał.

Miał dość tej niemiłosiernie się przedłużającej rozmowy.

– Jeśli pan pozwoli, chciałbym wrócić do swoich zadań.

– Tak, oczywiście. Dziękuję, panie komisarzu, i do widzenia.

Ręka Zakrzeńskiego była na kłamce, kiedy znowu dobiegł go głos prokuratora.

– Gdybyśmy chociaż mieli narzędzie zbrodni...

– Szukamy, panie prokuratorze – zapewnił Zakrzeński. – Proszę mi wierzyć, szukamy.

Kiedy skończyli się kochać po raz drugi tego wieczora, Marta

poszła do łazienki, a Zakrzeński do kuchni. Laura leżała na jednym z krzeseł i wyglądała naprawdę żałośnie. Miał wrażenie, że za chwilę w jej oczach pojawią się łzy.

Wziął ją na ręce. Nie zaprotestowała, ale też nie okazała żadnego entuzjazmu. Jej ciało robiło wrażenie zupełnie bezwładnego. Położył ją sobie na kolanach.

– Spokojnie, staruszek – wyszeptał.

Marta przysłała z łazienki ubrana w jego niebieski szlafrok, w którym praktycznie tonęła. Stała przez chwilę na progu kuchni, przyglądając się Zakrzeńskiemu i Laurze, a potem się do nich uśmiechnęła. Wreszcie podeszła bliżej i wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać Laurę po głowie. Widział, że zastosowała się do rady, jakiej udzielił jej po dwóch wcześniejszych nieudanych próbach. W każdym razie starała się wykonać ten ruch miękko, spokojnie. Tym razem Laura zareagowała jeszcze gorzej niż poprzednio: podniosła się, wyprężyła grzbiet i zasyczała, co zabrzmiało tak groźnie, że Marta cofnęła się o krok. Potem Laura zeskoczyła Zakrzeńskiemu z kolan i uciekła do pokoju.

– Zawsze tak reaguje na twoich gości?

– Prawie nigdy. Może to dlatego, że obie jesteście rude?

– Może. Nigdy nie przepadałam za innymi rudymi, choćby za moją siostrą.

Pogładziła go po twarzy i usiadła na drugim krześle.

– Opowiesz mi, skąd ją masz? Naprawdę chciałabym wiedzieć, skąd się u ciebie wzięła ruda długowłosa kocica.

– To naprawdę mało ciekawa historia.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu. Zakrzeński nie kwapił się, żeby je przerwać. Domyślał się, że z Martą jest podobnie. Tak naprawdę nie wiedzieli, o czym rozmawiać, jeśli mieli dotrzymać słowa, które sobie dali, przekraczając próg mieszkania Zakrzeńskiego – że ani słowem nie wspomną o sprawie, żeby się nie frustrować całkowitym brakiem postępu w poszukiwaniach narzędzia zbrodni albo jakiegoś innego niepodważalnego dowodu winy Oleńczuka.

Przecież nie będziemy milczeć w nieskończoność, pomyślał Zakrzeński.

– Widziałam w przedpokoju twoje buty do biegania – powiedziała. – Może jutro zaczniemy dzień od wspólnej przebieżki? Nie musi być nic ciężkiego, potruchtamy sobie...

Ostatnie zdanie dodała najpewniej dlatego, że przypomniła sobie, jak fatalnie Zakrzeński zaprezentował się w pościgu za Kulakiem. Tak czy inaczej, to nie był dobry temat, tak samo jak wspólne bieganie nie było dobrym pomysłem.

– Zobaczymy – odpowiedział wymijająco. – Może lepiej by było się wyspać?

Znowu zapadło milczenie. Teraz wypadałoby, żeby to on je przerwał, ale nie miał żadnego pomysłu. A przecież było wcześnie, ledwo minęła dziesiąta. Byli na siebie skazani przez co najmniej dwie godziny.

No cóż, zawsze pozostawał jeszcze seks.

Rozdział 8

Środa

W środę rano w prokuraturze na Kacpra Wilka czekało dwóch gości. Poprosił do siebie najpierw mecenasa Krzyczkowskiego. Był to wysoki, przystojny czterdziestolatek, którego nienagannie skrojony jasny garnitur mocno kontrastował ze świeżą opalenizną.

– Obawiam się, szanowny kolego, że będzie pan musiał wypuścić mojego klienta – powiedział. – Niestety, dopiero wczoraj wróciłem z wakacji, w przeciwnym razie uniknęlibyśmy tych wszystkich przykrości.

– Jest pan w stanie przedstawić jakiś dowód jego niewinności?

– Świadka.

– Kto to taki?

– Ja sam – powiedział mecenas i uśmiechnął się promiennie, pokazując dwa rzędy idealnie białych i idealnie równych zębów.

– Chwileczkę. – Wilk próbował zyskać na czasie, ale i tak nie miał pomysłu, o co chodzi mecenasowi. – Na jakiej podstawie pan twierdzi, że Witold Oleńczuk jest niewinny?

– Ponieważ krytycznego dnia, czyli w sobotę, nie zbliżył się ani na moment do domu Anny Szulc. A przynajmniej nie w okresie, w którym można umiejscowić śmierć pani Szulc.

– I pan może to potwierdzić?

– Myślałem, że dosyć jasno się wyraziłem.

Krzyczkowski nie przestawał się uśmiechać. Wilka zaczynało to drażnić, ale nie wiedział, jak zetrzeć ten uśmiech z jego twarzy.

– Panie mecenasie, czy pan nie powiedział przed chwilą, że wrócił z wakacji?

– Powiedziałem.

– Można wiedzieć, gdzie pan był?

– Wyspy Zielonego Przylądka. Polecam koledze serdecznie.

Trochę daleko, ale warto. Nieskazitelnie czysta woda, piękna pogoda, brak tłumu turystów, z którym ma się do czynienia w bardziej pospolitych miejscach.

– Czy w sobotę też pan tam był?

– Oczywiście. Tam się przecież nie leci na kilka dni.

– Pan wybaczy, panie mecenasie, ale jak w takim razie może pan potwierdzać to, że Witold Oleńczuk przebywał wtedy w swoim domu pod Warszawą?

– Nie w swoim domu. W domu swojego ojca. A mogę to potwierdzić, ponieważ z nim rozmawiałem.

– Przez telefon, jak rozumiem.

– Oczywiście. Zadzwoił do mnie o 16.12, ja do niego zadzwoniłem o 16.41. Jeśli dobrze rozumiem, czas śmierci Anny Szulc oceniany jest na godzinę mniej więcej 16.30. Nawet zakładając pewien margines błędu, ale niezbyt przecież duży, bo ciało zostało znalezione szybko, nie ma takiej możliwości, żeby mój klient przemieścił się w tym czasie z Podkowy aż za Ożarów, popełnił zabójstwo i wrócił.

– Rozumiem, panie mecenasie, że rozmawiali panowie przez telefon stacjonarny?

– Nie, bynajmniej. Mój klient zadzwonił do mnie z telefonu komórkowego.

– Panie mecenasie, wydaje mi się, że telefony komórkowe charakteryzują się tym, że można się z nimi przemieszczać. Więc nawet jeśli Witold Oleńczuk powiedział panu, że właśnie znajduje się w domu swojego ojca, co, szczerze mówiąc, wydaje mi się nieco niecodziennym tematem rozmowy międzynarodowej, nie znaczy wcale, że tak było.

Wilk miał wrażenie, że wyszła mu całkiem zgrabna mowa. Mecenas Krzyczkowski wcale się nie zmieszał.

– Szanowny kolego, telefony komórkowe mają też inną cechę charakterystyczną. Mianowicie ich przemieszczanie się pozostawia bardzo dokładny ślad w postaci logowań do stacji bazowych. Przypomina pan sobie zapewne niedawny kazus byłego ministra sprawiedliwości i jego wizyty w pewnym warszawskim hotelu.

Krzyczkowski jeszcze bardziej wyszczerzył zęby i wygodniej

rozsiadł się w fotelu, Wilk poczuł uderzenie gorąca na twarzy. Prawdopodobnie mój rumieniec już dogania jego opaleniznę, pomyślał.

– Proszę się nie przejmować, panie kolego, że pan o tym nie pomyślał – powiedział Krzyczkowski. – Mój klient też nie powołał się na tę rozmowę, bo się nie zorientował, że może ona stanowić dla niego alibi.

Wilk miał wielką ochotę utrzyć nosa mecenasowi, ale docierało do niego, że jest na straconej pozycji.

– Weryfikował pan te dane?

– Oczywiście, że nie. Mnie wystarczy słowo mojego klienta. Pan może to oczywiście sprawdzać, jeśli widzi pan taką potrzebę, zresztą będzie panu łatwiej te dane uzyskać.

– Mogę zapytać, o czym panowie rozmawiali?

– Zapytać pan oczywiście może, panie kolego, ale odpowiedzi pan nie dostanie. Tajemnica adwokacka. Klient zadzwonił do mnie z prośbą o poradę.

– W czasie kiedy był pan na wakacjach na Wyspach Zielonego Przylądka?

– Czyżby to było zakazane? Wyjaśnię: Witold Oleńczuk to więcej niż mój klient, to w pewnym sensie przyjaciel. Znamy się jeszcze z czasów liceum. Wiedział, że wyjeżdżam na wakacje, ale nie pamiętał dokładnie daty mojego powrotu. Sądził, że wróciłem. Akurat odpoczywałem w hotelu sam, bo miałem chwilowo dość plaży i między nami mówiąc, także swojej rodziny, więc odebrałem telefon i z przyjemnością poświęciłem trochę czasu na rozmowę. Mój klient zadał mi pytanie, udzieliłem mu wstępnej odpowiedzi i powiedziałem, że potrzebuję chwili na to, żeby się zastanowić i coś sprawdzić w internecie. Tak zrobiłem, po czym do niego oddzwoniłem. To wszystko. Chociaż...

Krzyczkowski nieco teatralnym gestem chwycił się za brodę i przekrzywił głowę. Wreszcie powiedział:

– Sprawia pan wrażenie naprawdę sympatycznego człowieka. Poza tym wywodzić się z takiej rodziny... Ja oczywiście nie miałem szansy skrzyżować szpady, jeśli można się tak wyrazić, z pańskim legendarnym ojcem, zaczynałem aplikację, kiedy on prze-

chodził na emeryturę, ale mój świętej pamięci tata... Zdradzę panu, kolego, nieco więcej: mój klient prosił mnie o poradę z zakresu prawa spadkowego. Co jest chyba czymś zupełnie naturalnym w świetle ostatnich wydarzeń.

Krzyczkowski wstał i odsunął krzesło.

– Pan pozwoli, panie kolego, że się pożegnám. Oczekuję oczywiście, że doprowadzi pan do zwolnienia mojego klienta z aresztu w pierwszym możliwym terminie.

Wilk również wstał.

– Dziękuję, panie mecenasie. Przeanalizuję sprawę w świetle pańskich...

– Żadne „przeanalizuję” – z szybkością błyskawicy promienny uśmiech zniknął z twarzy mecenasa Krzyczkowskiego. – Witold Oleńczuk to nie jest jakiś recydywista ani pijaczek, którego możecie trzymać w areszcie bez względu na oczywiste dowody jego niewinności. A jeśli się panu wydaje, że jest inaczej, to będzie pan miał ze mną do czynienia.

Znowu się uśmiechnął, wykonał ręką dziwny gest przypominający salutowanie i wyszedł energicznym krokiem.

Jako drugi w gabinecie Wilka pojawił się Mirosław Owdziak. Był to mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna, który wydawał się całkiem szary: przyprószone siwizną włosy, nieco za duży szary garnitur, pokryte kurzem buty. Wydawał się kimś, kogo łatwo nie zauważyć. Mimo to Wilk miał wrażenie, że gdzieś go wcześniej widział.

– Byłem zastępcą Krzysztofa Oleńczuka w OKZ Development – pierwsze słowa Owdziaka potwierdziły przypuszczenia Wilka. – Przyszedłem, żeby powiedzieć, że Witold Oleńczuk jest niewinny. Nie potrafię tego udowodnić, ale jestem o tym święcie przekonany. Po prostu wiem, co to za człowiek. Natomiast jeśli potrzebujecie podejrzanego, to osobą, którą powinniście się zająć, jest prezes Jerzy Zawirski.

Kiedy Owdziak skończył mówić, na jego twarzy pojawił się wyraz wielkiej ulgi, jakby spadł mu z serca ogromny kamień.

- Proszę mówić dalej – zachęcił go Wilk.

- Nie mam żadnych dowodów. W czwartek większość czasu spędziłem w swoim pokoju, nie byłem na czwartym piętrze. Zda się, jest taka zasada, że najbardziej podejrzany jest ten, który odnosi największą korzyść. Wiem, że pan Witold odniósł korzyść ze śmierci brata, ale to przecież człowiek, który prowadzi skromny tryb życia i te dodatkowe miliony nie są mu do niczego potrzebne. Z prezesem jest inaczej. On bardzo lubi pieniądze i bardzo lubi władzę. A Krzysztof stanowił dla niego przeszkodę pod oboma tymi względami.

Zamilkł, jakby miał zamiar skończyć. Na jego twarzy ponownie pojawił się wyraz napięcia, który Wilk zauważył na początku rozmowy.

- Obawiam się, że będę pana musiał poprosić o nieco więcej szczegółów.

- Tak. Rozumiem. Proszę wybaczyć, nie jest to dla mnie łatwe, bo może ocierać się o złamanie tajemnicy służbowej. Sytuacja chyba tego wymaga. A więc... Czy wie pan, co to są opcje walutowe?

- Mniej więcej wiem, co to jest opcja – powiedział ostrożnie Wilk. – Proszę mi to wytłumaczyć w prosty sposób.

- Opcja to w gruncie rzeczy taki zakład. W przypadku walut zakładamy się, jaki będzie kurs, dajmy na to, złotych w stosunku do euro za jakiś czas. Jeśli trafimy, zyskujemy, jeśli nie, tracimy. W pewnych sytuacjach korzystanie z opcji ma sens dla przedsiębiorstw, zwłaszcza eksporterów, którzy tracą, kiedy złoty się umacnia. Jak pan wie, taka sytuacja panuje w ostatnim czasie na rynku: złoty jest rekordowo silny, mało brakuje, żebyśmy płacili mniej niż dwa złote za dolara. To umocnienie złotego jest tak silne, że firmy, które wchodziły w opcje, żeby się zabezpieczyć, zaobserwowały, że zaczynają z tego mieć dodatkowe zyski. Więc zaczęły wchodzić w opcje jeszcze bardziej, często w o wiele większym stopniu, niż to uzasadnia procent przychodów, jaki mają z eksportu.

Problem w tym, że te instrumenty są specyficznym konstruowane. Wystarczy, żeby trend się odwrócił, to znaczy żeby złoty za-

czął tracić na wartości, a firmy zaangażowane w opcje zaczną ponosić wielkie straty. Ze strony banków, które teraz namawiają je do skorzystania z opcji, nie będzie zmiłuj.

OKZ Development głównie zajmuje się deweloperką mieszkaniową, jak pan wie. Mamy jedną małą galerię handlową w Ożarowie i w tym przypadku czerpiemy przychody z wynajmu powierzchni. W Polsce ceny za wynajem powierzchni handlowych ustalane są w euro, więc jest to w pewnym sensie sytuacja porównywalna do bycia eksporterem. Kiedy złoty się umacnia, tracimy, bo za każde euro dostajemy mniej złotych.

To uzasadniałoby zastosowanie opcji, tylko że przychody z najmu są dosłownie ułamkiem wszystkich przychodów OKZ Development. Zdaje się, że poniżej pięciu procent, nie pamiętam dokładnie liczb za ostatni kwartał. Tak naprawdę byłaby to gra nie warta świeczki.

Widzi pan, prezes Zawirski rozmawia ze swoimi kolegami, prezesami innych firm, którzy na razie rejestrują spore zyski na takich operacjach. No i wydzwanają do niego banki, które potrafią być naprawdę agresywne w sprzedaży. Od pewnego czasu prezes ma wielką ochotę zagrać na opcjach, i to na dużą skalę, o wiele większą, niż to by uzasadniały przychody, które mamy denominowane w euro. Krzysztof postawił weto. Powiedział mniej więcej „po moim trupie”, nawet jeśli nie tymi słowami.

Widzi pan, to wynika z tego, że Krzysztof ma, przepraszam, miał, pesymistyczny ogląd obecnej sytuacji. Uważał, że gospodarka jest nie tyle w fazie rozkwitu, ile jest przegrzana, a złoty jest dramatycznie przewartościowany. Co więcej, był przekonany, że zbliża się duży kryzys w skali ogólnoswiatowej, że w zasadzie czekamy na jakieś zdarzenie, które wywoła lawinę. Dajmy na to, nagle zbankrutuje jakiś duży bank w Stanach, który udzielił za dużo pożyczek hipotecznych. A jak się zacznie światowy kryzys, złoty polecą na łeb na szyję i zaangażowanie w opcje okaże się kamieniem przywiązany do naszej szyi.

– Pan się zgadzał z tą oceną?

– Panie prokuratorze, ja jestem tak naprawdę prostym księgowym. Za głupim na te sprawy. Mam za to pewność, że Krzysztof

Oleńczuk był najinteligentniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek było mi dane poznać, a także najlepszym ekspertem w dziedzinie finansów, z jakim było mi dane pracować. Jeśli więc on tak uważał, to zapewne miał rację.

– Powiedział pan, że postawił weto. Ale przecież on miał tylko jeden głos w zarządzie...

– Oraz głos swojego brata, proszę nie zapominać, który w takich sprawach w pełni mu ufał. W tym wypadku nie mówimy o prostej arytmetyce głosów w zarządzie. W grę wchodzi przede wszystkim polityka związana z udziałami w spółce. Czegoś takiego jak wejście w opcje walutowe nie da się zrobić bez udziału dyrektora finansowego. Krzysztof oświadczył, że dopóki pozostaje na stanowisku, nie wyrazi na to zgody. Zwolnienie go nie było decyzją, którą Zawirski mógł sobie podjąć ot, tak.

– I uważa pan naprawdę, że tak mu na tym zależało, że wolał się Oleńczuka pozbyć na zawsze?

– Chodzi o naprawdę spore sumy dla firmy, panie prokuratorze. Mówię o sumach, które Zawirski sobie wyobrażał jako efekt wejścia w opcje. Poza tym jest kwestia władzy, którą prezes kocha chyba bardziej niż pieniądze. Krzysztof Oleńczuk stanowił tak naprawdę jedyną opozycję dla prezesa. I potrafił zająć mu za skórę także pod innymi względami. Ciągłe twierdził, że ze względu na zbliżający się kryzys powinniśmy ograniczyć inwestycje. W tym przypadku nie stawiał sprawy na ostrzu noża, ale dla prezesa to także było irytujące.

– I sądzi pan, że teraz Zawirski wciągnie OKZ w te opcje?

– Już wciąga. Wczoraj przyjechał do niego przedstawiciel Sukces Banku, najpierw rozmawiali pół godziny, potem wezwał mnie. Po śmierci Krzysztofa jestem p.o. dyrektora finansowego. Zawirski pokazał mi propozycję banku i kazał do jutra przygotować jej ocenę pod kątem finansowym. Wiem, jakiej oceny oczekuje.

– I co pan zamierza zrobić?

Owdziak głośno odetchnął i nieco się zgarbił. Wilk odniósł wrażenie, że jego rozmówca jeszcze bardziej poszarzał.

– No cóż, w pewnym sensie znalazłem się między młotem a ko-

wadłem. Jeśli spróbuję się postawić Zawirskiemu, to... To lepiej, żebym wcześniej miał spakowane rzeczy. A jeśli się pod tym podpiszę... to za jakiś czas, nie wiem, pół roku, rok, jak ten cały kryzys wybuchnie, wylecę z hukiem jako ten, który naraził firmę na kolosalne straty.

Mężczyzna podniósł oczy i spojrzał na Wilka, który zdał sobie sprawę, że jego gość zrobił to po raz pierwszy w toku całej rozmowy i że jego oczy są nie szare, tylko jasnoniebieskie.

– To moje zmartwienie. Pan niech się zajmie Zawirskim, bo Witold Oleńczuk jest niewinny.

– Nie ufam papugom – powiedział Zakrzeński – ale jeśli dane z logowania potwierdzą, że z telefonu Oleńczuka prowadzono rozmowy w Podkowie Leśnej właśnie w tym czasie, kiedy zginęła Anna Szulc...

– Spodziewam się, że tak właśnie będzie – westchnął Wilk.

Zakrzeński wstał i przeszedł się po pokoju. Codzienne wizyty u Wilka szybko stawały się tradycją. Chyba wolał to niż niespodziewane odwiedziny prokuratora u siebie, tak jak w poniedziałek.

– A co pan sądzi o kwestii Zawirskiego? – zapytał Wilk.

Zakrzeński wzruszył ramionami.

– Nie do końca rozumiem, o co chodzi z tymi opcjami. Wiem jedno: chodzi o potencjalnie duże pieniądze i to może być motyw, bez dwóch zdań. Zawirski nie ma alibi na czas śmierci Szulc... Kłopot w tym, że Oleńczuka nie otruł, to wiemy.

– Tak – pokiwał głową Wilk. – Na pewno nie wrzucił trucizny do kieliszka, wszyscy by to zauważyli, bo przecież na nim skupiała się uwaga, kiedy nalewał szampana. Potem był z Oleńczukiem u siebie. Paradoksalnie to właśnie daje mu alibi, bo wiemy, że cyjanek został podany w szampanie, który cały czas stał w sali posiedzeń.

Wilk skończył mówić i przez dłuższą chwilę przyglądał się Zakrzeńskiemu spojrzeniem, które można było uznać za pytające. Zakrzeński skinął głową, a potem spojrzał na zegarek.

– Panie prokuratorze, czy jeszcze coś pan do mnie ma?

Wilk drgnął.

– Przepraszam – powiedział. – Zawiesiłem się trochę. Dam panu wniosek o udostępnienie przez Orange danych dotyczących logowania się telefonu Witolda Oleńczuka. Napisałem, muszę tylko wydrukować. Chwileczkę, papier się skończył.

Wyszedł z pokoju. Drzwi ledwie zdążyły się zamknąć, kiedy otworzyły się tak gwałtownie, że Zakrzeński mocno by oberwał, gdyby stał chociaż odrobinę bliżej. Wilk niemal wskoczył do pokoju.

– To oczywiste – krzyknął – to właśnie tak się odbyło!

Gapił się na Zakrzeńskiego z idiotycznym uśmiechem na twarzy. Najwyraźniej nie miał zamiaru wyjaśniać swojego epokowego odkrycia.

– Panie prokuratorze, proszę mi wybaczyć, ale nie rozumiem...

Przez twarz Wilka przemknęło zdziwienie, potem energicznie pokiwał głową. Zamknął drzwi do pokoju i szybkim krokiem wrócił na swoje miejsce za biurkiem. Nie usiadł jednak na krześle, tylko oparł się rękami o blat i pochylił.

– Zawirski zrobił to, co ja przed chwilą. W trakcie rozmowy z Oleńczukiem w swoim gabinecie powiedział mu, że musi coś przynieść. Notes albo kalendarz, który zostawił w sali posiedzeń. Najprawdopodobniej rzeczywiście go potrzebował i wychodząc z pokoju, nie planował zabójstwa. Inaczej. Od jakiegoś czasu planował pozbyć się Oleńczuka i nosił ze sobą fiolkę z trucizną, tylko czekał na odpowiedni moment. I wtedy ten moment się nadarzył. Bo kiedy Zawirski wyszedł ze swojego gabinetu, sekretarka nie siedziała na swoim miejscu, a drzwi do magazynku były zamknięte. Jak wiemy, Pajak rozmawiała wtedy w środku z Witoldem Oleńczukiem, Jan Kulak podglądał ich z balkonu. Zawirski tego nie wiedział, ale przynajmniej miał pewność, że nikt nie będzie wiedział o jego wyjściu z gabinetu ani powrocie do sali posiedzeń. Wszedł do środka i zobaczył, że Szulc jest odwrócona plecami do drzwi. Nic nie mogło go powstrzymać od sięgnięcia po fiolkę.

Zakrzeński pokiwał głową i siadł.

– Okej, to mogło tak wyglądać. Chociaż muszę przyznać, że średnio do mnie przemawia taka koncepcja z noszeniem przy sobie cyjanku i wyczekiwaniem.

– Panie komisarzu, mam wrażenie, że w tej sprawie ocieraliśmy się o większe nieprawdopodobieństwa. Jest jeszcze coś, co może mieć znaczenie. Być może Zawirski nosił tę fiolkę, ale wcale nie był pewien, że jej użyje. Lecz nadarzyła się okazja, a na dodatek on był wściekły na Oleńczuka. W takiej sytuacji nie mógł się powstrzymać.

Zakrzeński znowu skinął głową.

– Nie jestem tylko pewien, jak się w to wszystko wpisuje śmierć Szulc – kontynuował Wilk. – Na podstawie tego, co o niej wiemy, trudno mi sobie wyobrazić, że porwała się na szantażowanie prezesa...

– Nie musiała go szantażować – zauważył Zakrzeński. – Nie musiała nawet nic widzieć. Zawirski mógł dojść do takiego wniosku: jeśli istnieje prawdopodobieństwo, że coś widziała, pozostawienie jej przy życiu jest zbyt ryzykowne. Kto wie, czy ten nieszczęśny artykuł w „Super Prawdzie” nie przechylił szali.

– Myśli pan, że ten artykuł mógł mieć tak wielkie znaczenie? – Wilk wyraźnie posmutniał. – No nie wiem... A co z tym kluczem?

– Zawirski miał co najmniej taką samą możliwość jak Witold Oleńczuk, jeśli nie większą, żeby ukraść klucz Szulc. I na pewno go potrzebował. Umieć sobie wyobrazić, że Witoldowi jakoś się udaje przeskoczyć przez ten płot. Grubas Zawirski nie dałby rady.

– No dobrze, ale w jaki sposób ten klucz znalazł się wśród rzeczy Zbigniewa Oleńczuka?

– Zawirski podrzucił klucz po morderstwie. To był jedyny powód, dla którego zabrał go z miejsca zbrodni.

Zakrzeński wstał. Po raz pierwszy od dłuższego czasu czuł, że rozpiera go energia związana z czymś innym niż seks. Wiedział doskonale dlaczego: coraz wyraźniej rysowała się perspektywa zatrzaśnięcia kajdanek na grubych łapskach prezesa Zawirskiego, tuż obok złotych spinek do mankietów.

– W jaki sposób go podrzucił? – zapytał Wilk.

– Musimy się dowiedzieć. Jadę teraz do Podkowy.

– Czy myśli pan, że mógłbym pojechać z panem?

– Nie wiem... Tak, oczywiście, zapraszam.

To nie taki zły pomysł, pomyślał Zakrzeński. Jak dobrze pójdzie, zaraz będzie potrzebny jakiś nakaz.

Kobieta, która otworzyła im drzwi domu Zbigniewa Oleńczuka, była przeraźliwie chuda. Wydawało się, że za chwilę złamie się pod ciężarem wielkiego koka upiętego z kruczoczarnych włosów. Trudno było sobie wyobrazić kogoś bardziej niepodobnego do pielęgniarki, którą Zakrzeński widział poprzedniego dnia przy łóżku umierającego. Tylko pełne niechęci spojrzenie było to samo.

– Nie jestem w stanie udzielić żadnych informacji o tym, kto tu przychodził w ostatnich dniach – stwierdziła. – Od niedzieli do wczoraj dyżurowała moja koleżanka. Zwykle każda z nas dyżuruje dobę, ale tym razem zamieniłyśmy się, bo w sobotę jechałam do córki do Krakowa i chciałam tam zostać trochę dłużej. Basia mówiła mi, że ją pytaliście. Zgodnie z prawdą powiedziała wam, że nikt nie przychodził, więc nie rozumiem, o co to zamieszanie.

– Prezes Zawirski też nie? – zapytał Wilk.

Koścista pielęgniarka obrzuciła go spojrzeniem tak lodowatym, że natychmiast oblał się rumieńcem.

– Jeśli nikt, to oczywiście także nie prezes Zawirski. Nie uczą was logiki? Owszem, pan prezes odwiedza pana Zbigniewa, ale nie aż tak często. Przecież był tu w piątek.

– Słucham? – Zakrzeński niemal krzyknął. – Co pani powiedziała?

Niechęć w oczach pielęgniarki zaczęła się przeradzać we wściekłość.

– Powiedziałam, że pan prezes Zawirski odwiedził pana Zbigniewa w zeszły piątek. Wtedy akurat miałam dyżur. Czy to tak trudno zrozumieć?

– Z góry to zaplanował – podsumował Zakrzeński, kiedy z Wil-

kiem znaleźli się w samochodzie. – Podrzucenie klucza. Podwędził go Szulc, dorobił kopię i dzień przed zabiciem Szulc podrzucił go u ojca Oleńczuków.

– Skąd wiedział, że będzie tu przeszukanie?

– Nie musiał wiedzieć. To mógł być rodzaj polisy ubezpieczeniowej. Gdyby dokoła niego zrobiło się gorąco, wysłałby anonim i w ten sposób nakierowałby nas na klucz. Albo znowu przyszedłby w odwiedziny i sam „znalazłby” klucz. Całkiem sprytnie.

– Co teraz?

– Muszę ściągnąć ludzi. Pan może pisać nakaz.

Wilk posłusznie sięgnął do teczki.

Mieli szczęście: Zawirski był w firmie, a w domu zastali sprzątaczkę, młodą dziewczynę, która na dźwięk słów „nakaz przeszukania” prawie się rozpłakała i uciekła do kuchni. Ponieważ oba agresywne psy zamknięto na wybiegu, zapewne dlatego, żeby nie zjadły sprzętaczki, policjanci mogli działać zupełnie swobodnie, przynajmniej przez pierwsze pół godziny. Wtedy zjawiał się Zawirski, którego zaalarmował zapewne sąsiad, bo tkwiąca cały czas w kuchni dziewczyna była zbyt roztrzęsiona, żeby to zrobić.

Nikt nie miał wątpliwości, że prezes Zawirski zdecydował się porzucić koncyliacyjną postawę z ostatnich kilku dni i wrócić do agresji dnia pierwszego. I to wrócić z nawiązką.

– Jeśli myślicie, że jesteście nietykalni, bo jesteście z Warszawy, to się cholernie mylicie – krzyczał. – Ja mam dużo znajomości. Do tej pory się powstrzymywałem, ale... Już nie pracujesz, jeden z drugim! Nie mówiąc o tobie – zwrócił się bezpośrednio do Zychowicz. – Ty w ogóle nie masz czego szukać w Ożarowie.

– Jeśli się pan natychmiast nie uspokoi, zakuję pana w kajdanki – wkroczył do akcji Zakrzeński, bo zobaczył, że Wilk nie ma zamiaru się odzywać. – Może pan obserwować czynności funkcjonariuszy, ale nie może pan im przeszkadzać.

Zawirski nabrał powietrza, ale w ostatniej chwili powstrzymał się przed odpowiedzią. Zamiast tego wyciągnął z kieszeni komórkę, podniósł ją i potrząsnął nią w dziwny sposób, tak jakby to był

nóż. Odszedł na bok i zaczął wybierać numer.

Nie skończył, bo nagle zauważył coś z prawej strony domu – coś, co sprawiło, że zastygł i zbladł. Po chwili Zakrzeński, Wilk i Zychowicz także zobaczyli zjawę, która go tak przeraziła – zza rogu wyłonił się sierżant Leńczyk. Szedł z garażu i niósł w rękę niezbyt dużą torebkę z szarego papieru. Minął prezesa dosyć szerokim łukiem i wyraźnie unikał patrzenia w jego kierunku.

– Zastanawiam się, co to jest – powiedział. – Biały proszek bez żadnego zapachu, podobny do cukru. A na torebce jest tylko napisane długopisem „trucizna”.

Zawirski upuścił telefon, zachybotał się lekko, ale nie upadł.

– „Jeśli chodzi o znaleziony w moim garażu cyjanek potasu, to otrzymałem go od mojego szwagra Andrzeja Zawadowskiego, kiedy likwidował on prowadzony przez siebie zakład galwanizacyjny” – przeczytał Wilk. – „Miało to miejsce około pięciu lat temu. Otrzymany cyjanek przechowywałem w szafie w garażu i wykorzystywałem jako trutkę na gryzonia. W ostatnim czasie o posiadanym cyjanku zupełnie zapomniałem i nie skojarzyłem go ze śmiercią Krzysztofa Oleńczuka. Według mnie mój garaż nie nosi śladów włamania i nie sądzę, by mogły do niego mieć dostęp osoby niepowołane”.

Wilk skończył czytać. Spojrzał pytająco na Zawirskiego. Ten skinął głową. Nie był podobny do siebie – przygarbiony, błądy i bardziej napuchnięty niż gruby.

– Poproszę pana w takim razie o podpisanie protokołu.

Zawirski sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął z niej swojego złotego watermana. Zawahał się, jakby przeszło mu przez myśl, że to pióro niezbyt pasuje do sytuacji, ale zdjął końcówkę i podpisał protokół ruchem szybkim i zdecydowanym, choć pozbawionym tej zamaszystości, którą Wilk zaobserwował u niego poprzednio.

– Wobec zebranych dowodów będę zmuszony wystąpić do sądu o areszt tymczasowy dla pana – poinformował Wilk. – Do czasu decyzji pozostanie pan zatrzymany.

Wstał, żeby wyprowadzić Zawirskiego z pokoju, ale ten nie zareagował. Pozostał skulony na swoim krześle.

– Więc w końcu im się udało – powiedział cicho jakby w przestrzeń.

Wilk z powrotem usiadł.

– Komu co się udało? – zapytał.

Zawirski podniósł wzrok, ale jego spojrzenie było nieobecne. Po chwili odpowiedział:

– Tego na sto procent nie wiem. Ludzie z moją pozycją nie narzekają na brak wrogów. Na pewno są oni bardzo potężni, skoro wiedzieli o czymś, o czym ja sam na śmierć zapomniałem.

– Przepraszam, ale zupełnie nie rozumiem, o czym pan mówi.

Przez twarz prezesa przemknął wyraz zniecierpliwienia.

– O tym cyjanku, oczywiście. Musieli wiedzieć, że mam w garażu cyjanek, bo przecież w innym przypadku nie zabiliby Oleńczuka właśnie w ten sposób.

Prezes jakby się ożywił, nabrał rumieńców.

– Chciałbym mieć jasność. Pan uważa, że Krzysztof Oleńczuk został zabity po to, żeby uderzyć w pana?

– I w moją firmę. Tak samo zresztą jest ze śmiercią Szulcowej.

Zawirski sprawiał wrażenie przekonanego o słuszności swoich słów.

– Panie prezesie, nie chciałbym, żeby to zabrzmiało niegrzecznie, ale czy pan nie przecenia własnego znaczenia? – zapytał Wilk.

– Nie – odpowiedział od razu Zawirski. – Jestem bardzo ważnym człowiekiem, nawet jeśli chwilowo znalazłem się pod wozem. Coś jeszcze panu powiem.

Zawirski pochylił się w kierunku Wilka. Kiedy przemówił, jego głos brzmiał spokojnie i dobitnie.

– Ta gra się nie skończyła. Muszę tylko znowu zebrać siły.

Gra, powtórzył w myślach Wilk.

Wilk oddał Zawirskiego w ręce mundurowych i wrócił do głównego pomieszczenia komisariatu w Ożarowie. Kiedy wchodził do środka, siedzący przy stole Zychowicz i Zakrzeński gwałtownie od siebie odskoczyli, jak przyłapani na gorącym uczynku. Pewnie

właśnie o mnie plotkowali, pomyślał Wilk.

– No to co, mamy go? – powiedziała wesoło Zychowicz.

– Nie jestem tego taki pewien – odparł Wilk. – Na razie nie mamy nawet dość materiału na poszlakówkę.

– Znajdzie się, teraz można szukać na spokojnie. Poza tym to typ mocny w gębę. Parę tygodni na dołku i zmięknie.

– Nie wydaje mi się. Na razie utrzymuje, że jest niewinny, i albo jest bardzo dobrym aktorem, albo mówi prawdę.

Zakrzeński wstał. Wydawało się przez chwilę, że podejdzie do Wilka, ale pozostał w miejscu.

– Panie prokuratorze, to był pański pomysł. Bardzo zresztą dobry.

Wilk potrząsnął głową.

– Wiem, ale... mam coraz większe wątpliwości. I mam wrażenie, że ciągle coś nam umyka. Nie wszystko tu pasuje. Mamy wątki, które na zdrowy rozum powinny być ważne, i nic z nich nie wynika.

– Co pan ma na myśli?

– Choćby to, co pan mi powiedział na temat skłonności Oleńczuka do hazardu. Coraz więcej o tym myślę. Chciałbym uzyskać na ten temat więcej informacji.

– Ten wątek jest rozpracowywany – skłamał Zakrzeński. – Na razie nie ma żadnych nowych informacji.

– Mam nadzieję, że to się zmieni – głos Wilka zabrzmiał dziwnie stanowczo. – Ja oczywiście wierzę panu, kiedy pan mówi, że to się nie wiąże ze sprawą, ale są przecież inne fakty, które można z tym powiązać. Choćby karta, którą Kulak...

– Panie prokuratorze, czy dotąd w każdym śledztwie był pan w stanie wyjaśnić absolutnie wszystko? – weszła mu w słowo Zychowicz.

Wilk potrząsnął głową.

– Nie chcę wyjaśnić wszystkiego. Chcę mieć wystarczającą pewność, że osoba, którą oskarżam, jest winna – podkreślił i spojrzał na zegarek. – Na mnie czas. Jeśli byłaby możliwość zorganizowania radiowozu, byłbym ogromnie wdzięczny. A do tej rozmowy wrócimy jutro.

Kiedy się odwrócił, Zychowicz pokazała mu język.

– To co, pizza? – zapytała Zakrzeńskiego, kiedy za Wilkiem zamknęły się drzwi.

Radiowóz wiozący Wilka wjeżdżał do Warszawy, kiedy zadzwonił redaktor Walny.

– Moje uszanowanie dla drogiego pana prokuratora – zaskrzeczał. – I gratuluję rozwiązania sprawy. I to w najlepszy możliwy sposób, naprawdę.

– Najlepszy możliwy sposób? – powtórzył pytająco Wilk.

– No a nie? Człowiek sukcesu, bogaty i arogancki, przecież każdy lubi patrzeć, jak się takiemu noga powinie. Wtedy można się spokojnie przyjrzeć szczegółom. Co to za sukces, jak nawet nie potrafi zbudować prostych ścian. Bogaty, pewnie, a jaki przy tym skąpy! Arogancki, jaki tam arogancki, zwykłe chamidło z niego cały czas wyłazi. Zresztą proszę sobie jutro przeczytać mój artykuł.

– Ciekawe, na czym się ten pański artykuł opiera.

– Na informacjach. Przecież pan wie, że ja się żywię informacją jak mucha gównem.

– Myślę, że ma pan niezbyt dokładne informacje. W tej sprawie nic nie jest pewne.

– O Matko Bosko, jakby cokolwiek było w życiu pewne. Ale ja w sumie nie w tej sprawie. Chciałem zapytać, jak się panu pracuje z droгим komisarzem Zakrzeńskim.

– Słucham?

– Ten policjant, mały, łysy.

– Dlaczego on pana interesuje?

– Ciekawy człowiek podobno. Dobrze, powiem panu prawdę. Chcemy zamieścić mały profil tego Borewicza. No bo przecież o panu nie będziemy pisać, nie możemy narażać czytelników na ryzyko, że sobie będą rozwalać głowę o stół, jak przysną nad gazetą. No więc?

– No więc co?

– Jakiś komentarz o tym Kojaku? Najlepiej coś negatywnego,

wie pan, żaden bohater nie powinien być zbyt idealny, bo to nudne.

– Nie mam zamiaru udzielać panu żadnych informacji. A na pewno negatywnych.

Walny głośno zachichotał.

– Może pan mi nie uwierzy, ale to w sumie jest dla mnie bardzo dobra odpowiedź. Czuwaj!

Rozdział 9

Kolejny czwartek

Kiedy Zakrzeński się obudził, dochodziło wpół do ósmej. Leżał w łóżku sam. Pomacał prześcieradło koło siebie, było zimne. To znaczyło, że Marta poszła na swój poranny bieg jakiś czas temu. A to z kolei znaczyło, że niedługo wróci. Na samą myśl o tym poczuł rosnące podniecenie.

Wczoraj przed snem przyszło mu na myśl, że wreszcie się odważy i pobiegnie z nią. Zanim ją poprosił, żeby go obudziła, przypomniał sobie, że nie ma u niej żadnych butów. W sumie bardzo dobrze, pomyślał teraz. Dawno nie czuł się tak doskonale jak w tej chwili i żaden nawet najlepszy bieg by tego nie poprawił. Za to powrót Marty podniesie jego dobre samopoczucie na jeszcze wyższy poziom, tego był pewien.

Usłyszał szcęk klucza w zamku i po chwili w pokoju pojawiła się Marta. Nabrał przekonania, że będzie jeszcze lepiej, niż sobie wyobrażał. W jej błyszczących oczach zobaczył coś dzikiego, coś, czego nie widział wcześniej.

Po drodze na plac Bankowy Wilk miał co prawda kiosk, ale wolał go minąć i zamiast tego kupić „Super Prawdę” w samoobsługowym saloniku prasowym na stacji Ratusz Arsenal. W ten sposób nie musiał podawać sprzedawcy tytułu.

Całą pierwszą stronę poświęcono sprawie z Ożarowa. Jej większą lewą część zajmowało zdjęcie prezesa Zawirskiego. Musiało ono zostać zrobione parę lat wcześniej, bo prezes wyglądał na nim nieco młodziej niż w rzeczywistości. Fotografowi udało się uchwycić go z miną, której mógłby mu pozazdrościć najgorszy mafioso. Uwagę Wilka przykuł tytuł: *Łowca jeleni złowiony!* Jak wynikało z pobieżnej lektury pierwszego akapitu, Jerzy Z. (l. 65)

był „łowcą jeleni” z powodu zarówno swojej pasji myśliwskiej, jak i sprzedawania naiwnym bublowatych mieszkań.

Wilk szybko przerwał lekturę, żeby zająć się artykułem zamieszczonym na prawej dolnej części jedyńki. Pod tytułem *Casanova z Komendy Stołecznej* zamieszczono dwa zdjęcia: Zakrzeńskiego i Agnieszki Pająk. Zakrzeńskiego sfotografowano w chwili, kiedy mrugał; połączenie półprzymkniętych oczu i zaciśniętych w cienką kreskę ust dało demoniczny efekt. Agnieszka Pająk była ubrana w białą bluzkę i słodko uśmiechała się do obiektywu.

„To, że uznawany za asa oficer śledczy romansuje w godzinach pracy, oczywiście bulwersuje, bo «w godzinach pracy» znaczy «za nasze pieniądze»” – czytał Wilk. „Ale rodzą się poważniejsze pytania. Czy wykorzystywanie zagubienia i lęków młodej dziewczyny, która miała nieszczęście być świadkiem zbrodni, przez prawie dwa razy od niej starszego policjanta jest w porządku? A co, gdyby Agnieszka Pająk (l. 22) była nie tą niewinną i nieco naiwną dziewczyną, nieporadnie próbującą znaleźć dla siebie miejsce w świecie (patrz wywiad na str. 3), ale kimś zamieszonym w przestępstwo, które pan komisarz Zakrzeński (l. 40) ma wyjaśnić? Jak się można było spodziewać, przedstawiciel prokuratury, z którym rozmawiał nasz reporter, nie ma żadnych uwag do pracy komisarza”.

Wilk poczuł, że na usta ciśnie mu się brzydkie słowo. Pohamował się, ale zmiął gazetę i wrzucił ją do teczki. Potem sięgnął po telefon. Zakrzeński nie odbierał.

Kiedy Wilk dotarł do prokuratury okręgowej, po raz kolejny próbował się dodzwonić na komórkę Zakrzeńskiego i po raz kolejny mu się nie udało. Zadzwonił pod numer stacjonarny.

– Katz – usłyszał po drugiej stronie i przypomniał sobie inteligentnego, kopącego jak lokomotywa współpracownika Zakrzeńskiego.

– Prokurator Wilk – przedstawił się. – Chciałem rozmawiać z panem komisarzem.

Po drugiej stronie przez chwilę panowała cisza.

– Obawiam się, że to nie będzie takie proste – powiedział w końcu Katz.

Prokurator Kaszyński, który dostał do prowadzenia sprawę Zakrzeńskiego, pojawił się na Chocimskiej dopiero koło trzynastej. Przyjął Wilka wylewnie, żeby nie powiedzieć serdecznie, jak długo wyczekiwanego gościa. Wilk miał wrażenie, że małe oczka Kaszyńskiego aż się zaświeciły za grubymi szkłami okularów.

– Proszę, niech pan siada, panie kolego – poprosił Kaszyński. – Nie wiem, ile pan wie, zatem pokrótce: cała sprawa pojawiła się dzisiaj wcześniej rano. Dostałem telefon tuż po ósmej, dyżurny z prokuratury rejonowej zdecydował się zwrócić bezpośrednio do nas. Wiadomo, sprawa z policjantem z KSP w roli podejrzanego to gorący kartofel. Od razu tam pojechałem i dopiero niedawno zamknąłem czynności wstępne.

– Jak bardzo to źle dla niego wygląda?

– Jak bardzo to źle wygląda... – powtórzył Kaszyński, przestał się uśmiechać i czujnie spojrzął na Wilka. – Panie kolego, proszę tego źle nie odebrać, ale muszę wiedzieć, w jakim charakterze zadaje pan to pytanie.

Wilk spodziewał się usłyszeć coś w tym rodzaju, i chyba z tego powodu udało mu się powstrzymać zmieszanie i nie oblać rumieńcem.

– Czysto zawodowym – powiedział. – Komisarz Zakrzeński był główną siłą napędową śledztwa, które w tej chwili prowadzę.

– No cóż, będzie pan musiał zmienić napęd. O ile dobrze rozumiem, ta sprawa została rozwiązana.

– Nie jestem tego pewien. Na razie dysponujemy poszlakami.

– Panie kolego, od czegoś trzeba zacząć. Jeszcze się pan nauczy, że w tym zawodzie trzeba w pewnym momencie zapomnieć o wątpliwościach i skupić się na celu, jakim jest doprowadzenie do skazania. Dopiero wtedy ma się szansę powodzenia.

– Czy w tej sprawie zapomniał pan o wątpliwościach?

Kaszyński roześmiał się serdecznie. Niespodziewanie uniósł prawą rękę i pogroził Wilkowi palcem.

– Widzę, że nie daje się pan odprawić z kwitkiem. W porządku, powiem panu o sprawie, ale najpierw muszę się dowiedzieć jeszcze czegoś.

– Oczywiście.

– Czy z podejrzanym Zakrzeńskim łączy pana więzy o charakterze przyjacielskim?

– W żadnym razie – odparł szczerze Wilk. – Było nam po prostu dane ze sobą dwa razy współpracować. Słowo honoru.

– Honor, wspaniałe pojęcie, szkoda, że przez wielu zapomniane – westchnął Kaszyński z nutą rozmarzenia w głosie. – No cóż, wydaje się w każdym razie, że komisarzowi Zakrzeńskiemu to pojęcie jest obce. Mamy po pierwsze romans ze świadkiem, tu pan zapewne wie więcej ode mnie, bo to pan przecież prowadzi tę sprawę. Być może na późniejszym etapie sam zwrócę się do pana o pomoc.

– Nic nie wiem – zaprzeczył Wilk. – Wiem, że coś napisała gazeta. Mówiąc oględnie, niezbyt wiarygodna gazeta.

– No to mogę panu powiedzieć, że komisarz Zakrzeński nie zaprzecza faktom podanym w artykule. Twierdzi, że jej nie uwodził i nic jej nie obiecywał, ale wiadomo, jaka jest wartość takich zapewnień. Do pana należy ocena, jak to karygodne zachowanie mogło wpłynąć na tok śledztwa. W każdym razie tuż po tym, jak ta dziewczyna, jak jej tam było...

– Agnieszka Pająk.

– No właśnie, tuż po tym, jak ta dziewczyna oprzytomniała i powiedziała mu, że nie chce go więcej widzieć, przerzucił swoją uwagę na policjantkę, z którą współpracował przy sprawie, tę Zychowicz. Wchodzi tu w grę zależność służbowa, więc pozostaje sprawą otwartą, czy możemy mówić o molestowaniu seksualnym. Pewne elementy zeznań Zychowicz na to wskazują, chociaż może to być trudne do udowodnienia. To i tak błędnie przy zarzucie kryminalnym, czyli usiłowaniu gwałtu.

Według zeznań Zychowicz minioną noc spędzili razem w mieszkaniu pokrzywdzonej. Miało miejsce obcowanie płciowe za obopólną zgodą; pomijam tu oczywiście kwestię ewentualnego molestowania. Rano ona obudziła się pierwsza i poszła się

przebiec, Zakrzeński spał dalej. W czasie biegu, to naprawdę wysportowana dziewczyna, jakieś maratony kiedyś skuteczniała, mijała kiosk i trudno jej było nie zauważyć pierwszej strony dzisiejszej „Super Prawdy”. Wie pan, wywieszają ją na takich specjalnych uchwytych. Informacja o tym, że Zakrzeński dosłownie chwilę przed rozpoczęciem romansu z nią zaliczył, jeżeli wybaczy mi pan użycie takiego wulgarnego sformułowania, tę Pająk, bardzo Martę Zychowicz zbulwersowała. Zupełnie naturalne: zrozumiała, że jest dla niego tylko jedną z wielu, i to na dodatek, jak mówią, drugim wyborem. Nietrudno zrozumieć, że poczuła się, powiedzmy, dotknięta. Zgodzi się pan chyba ze mną, panie kolego.

– Zgadzam się. – Wilk skinął głową. – Ale to by znaczyło, że ona żywiła wobec niego jakieś silniejsze uczucia. Chyba trudno byłoby to pogodzić z molestowaniem seksualnym, prawda?

– Może trudno, może nie – Kaszyński wyraźnie się zachnął. – Nie chcę tu panu dawać wykładów, ale uczucia i stany emocjonalne kobiet zaplątanych w relacje osobiste z mężczyznami, od których są zależne służbowo, to trudny temat. W każdym razie to w dużej mierze sprawa strategii oskarżenia, jaką przyjmę, a chyba nie o tym chciał pan ze mną rozmawiać, panie kolego?

Wilk szybko pokręcił głową.

– No dobrze, więc wróćmy do sprawy – zdecydował Kaszyński. – Chociaż zaczynam coraz bardziej czuć, że powinienem przerwać tę rozmowę. Ale podejrzewam, że i tak większości tego, co panu powiem, dowie się pan z prasy. Zychowicz wróciła do siebie do domu w stanie silnego wzburzenia i zażądała od Zakrzeńskiego wyjaśnień. On nie był zainteresowany udzielaniem wyjaśnień, natomiast dość bezceremonialnie próbował doprowadzić do kolejnego zbliżenia płciowego. Nie wiem, co sobie myślał, ale podejrzewam, że ma wysokie mniemanie o swoich umiejętnościach w tej dziedzinie. Wyobrażał sobie, że w ten sposób na nią wpłynie. Nic z tego nie wyszło, więc zaczął się robić coraz bardziej brutalny. Obdukcja wykazała na ciele Zychowicz zadrapania, sińce po uderzeniach, wyraźny ślad ugryzienia i przede wszystkim ślady podduszania. Plus oczywiście podarta koszulka

i spodenki. Do gwałtu nie doszło, bo Zakrzeński miał co prawda przewagę fizyczną, ale dziewczyna jest wysportowana. W końcu udało jej się zneutralizować go kopniakiem w czułe miejsce i ogłuszyć. Kiedy po niego przyjechali, był nieprzytomny, ale bez przesady. Nie było nawet wstrząśnienia mózgu, więc zwykły areszt jest jak najbardziej stosowny.

– Jaka jest wersja Zakrzeńskiego?

– Och, bzdury, te same bzdury co zawsze. Chciała dzikiego seksu i kazała się dusić i gryźć. Myślał, że naprawdę, więc się włączył do zabawy. Okazało się, że chodziło jej tylko o to, żeby go wrobić. Działała z zazdrości, bo zobaczyła ten artykuł.

Kaszyński nieoczekiwanie wstał, sygnalizując zakończenie rozmowy. Wilk także się podniósł.

– Myślę, panie kolego – kontynuował Kaszyński – że to naprawdę wszystko, co mogę panu powiedzieć na tym etapie.

– Dziękuję, panie prokuratorze. Czy myśli pan, że mógłby mi pan pozwolić na widzenie z nim?

Kaszyński, który zdążył usiąść przy biurku i zająć się przeglądaniem jakichś akt, skierował na Wilka spojrzenie wyrażające głęboki szok.

– Panie kolego, to jest absolutnie wykluczone. Bardzo mi przykro. Po pierwsze chodzi o kwestię pańskich relacji z podejrzanym. Broń Boże, nie kwestionuję pańskiego stwierdzenia, że tu nie ma mowy o przyjaźni. Ale mam nieodparte wrażenie, że dostrzegam u pana o wiele większą sympatię dla tego człowieka, niż można się spodziewać u pierwszego lepszego policjanta. Po drugie nawet z pańskim nie największym doświadczeniem musi pan sobie zdawać sprawę, że każdy areszt pełni po części funkcje wydobywcze. Mamy mocne podstawy, ale lepiej by było, żeby Zakrzeński się przyznał. Parę dób na przemyślenie tego w izolacji od świata z pewnością mu się przyda. Czy jest jeszcze coś, panie kolego?

Wilk potrząsnął głową i w pośpiechu wyszedł, niemal uciekł. Czuł, że tym razem nie udało mu się powstrzymać rumieńca.

Leon Wilk dłuższą chwilę nie odpowiadał. Kacper zaczął się zastanawiać, czy ojciec przypadkiem nie zasnął ze słuchawką przy uchu albo z roztargnienia jej nie odłożył. Jedno i drugie kiedyś się zdarzyło. Wreszcie milczenie zostało przerwane.

– Kaszyński, Kaszyński... Na pewno z tych Kaszyńskich. Tu, niestety, nie mam bezpośredniego przełożenia. Mogę zadzwonić wyżej, ale zdajesz sobie sprawę, jak to zostanie odebrane przez tego całego Kaszyńskiego?

– Zdaję.

– I uważasz, że to gra warta świeczki?

Znowu ktoś mówi o grze, pomyślał Wilk.

– Nie wiem.

– No właśnie. Bo co ty w zasadzie chciałbyś osiągnąć tym wizerowaniem?

– Sprawa z Ożarowa ciągle nie jest zakończona. Mamy teoretycznie podejrzanego, ale nie jestem stuprocentowo przekonany o jego winie. Sądzę, że coś nam umyka. Zakrzewski siedział w tej sprawie od samego początku...

Leon Wilk głośno kichnął.

– Przepraszam. I co, wydaje ci się, że tak sobie siądziecie na przeciwko siebie i będziecie przez szybę dyskutować o sprawie, aż złapiecie to, co wam umyka? Chyba sobie zdajesz sprawę, synu, że areszt śledczy to nie miejsce na takie rozmowy. Ten cały twój Zakrzewski ma teraz dużo czasu na przemyślenia, ale ma inne sprawy na głowie, nad którymi się zastanawia. Jeśli masz konkretne pytanie, możesz je przecież zadać przez tego, jak mu tam... No, tego, do którego chcesz, żebym dzwonił. Nie sądzisz, że mam rację?

– Chyba tak, tato, rzeczywiście.

– Poza tym coś ci powiem. Jak z tego Zakrzeńskiego jest taki szajbus, że próbował zgwałcić kobietę, i to milicjantkę, a ja w życiu nie widziałem milicjantki wartej grzechu, nie wspominając o paragrafie...

Ojciec zrobił pauzę i Kacper pomyślał, że oczekuje od niego wybuchu śmiechu. Umysł Leona Wilka zszedł na inne tory.

– Chociaż w zasadzie była taka jedna w komendzie Warszawa-

Śródmieście, Markowska się chyba nazywała. I jeszcze ta, jak jej tam było... Stare dzieje. W ogóle kiedyś kobiety były ładniejsze niż teraz. Dajmy na to twoja matka. Jak się z nią żeniłem, to można by nawet powiedzieć, że piękna. A teraz? I charakter jej się zmienił. Dlatego może i masz rację, że się nie żenisz. Tylko nie mów matce, że ci to powiedziałem.

– Tato, chciałeś coś powiedzieć o Zakrzeńskim.

– Jakim znowu Zakrzeńskim? A, tym. Co ja mogę ci o nim powiedzieć? Przecież człowieka na oczy nie widziałem. Nasuwa mi się tylko tyle, że jak ktoś próbuje zgwałcić kobietę, i to jeszcze milicjantkę...

Ojciec znowu przerwał i Kacper się przestraszył, że cała dygresja zacznie się na nowo. Tym razem Leon Wilk nie zбочzył z tematu.

– Jak ktoś ma tak niepoukładane w głowie, czy możesz mieć pewność, że to, co robi w pracy, ma sens? Poszedłbyś do bezzębnego dentysty?

Pytanie było retoryczne, ale ojciec zrobił pauzę i Kacper odpowiedział, żeby nie pozwolić mu odpłynąć.

– Chyba nie, chociaż nie wiem, czy to dobra analogia.

– Dobra, dobra. Więc może zamiast planować pogaduszki z nim, zastanów się, czy on ci tego śledztwa w jakiś sposób nie spieprzył. Przez niedbalstwo albo celowo, kto to może wiedzieć. I jeszcze jedno ci powiem. Przywiązać to się można do kobiety, dziecka albo psa. To znaczy takiego prawdziwego psa. Do milicjantów się nie przywiązuj, bo to najbardziej niewdzięczne stworzenia pod słońcem. Z wyjątkiem milicjantek. Rozumiesz?

– Rozumiem. Dziękuję, tato, muszę wracać do pracy.

– No, to rozumiem – powiedział z wyraźnym zadowoleniem Leon Wilk. – I nie myśl, że ci nie chciałem pomóc. Jak będzie trzeba, zadzwonię, do kogo będziesz chciał. Rozumiesz chyba, że to takie narzędzie, które lepiej zostawić na naprawdę ważne okazje.

Wilk spędził resztę dnia na wnikliwej lekturze akt sprawy, ale kiedy dochodziła siedemnasta, nie czuł się mądrzejszy, czuł nato-

miast, że zaczyna go boleć głowa. Wyłączył komputer i zaczął wkładać rzeczy do teczki. Zadzwoił telefon.

– Moje uszanowanie panu prokuratorowi – usłyszał po drugiej stronie piskliwy głos Walnego. – Cóż tam słysząc?

– Właściwie nie chce mi się z tobą gadać.

– Oho ho, a czemuż to?

– Wiesz doskonale.

– Nie, nie wiem. Ale jestem dzisiaj w takim nastroju, że wszystko mi jedno. Przebaczymy i prosimy o przebaczenie, co?

– A co pana wprowadziło w taki doskonały nastrój?

– Chyba pan widział dzisiejszą jedynekę? Już to było zajebiste, ale po tym, co ten komisarzyk odwalił rano... Jutro zapowiada się jeszcze piękniej. Artykuł mam w sumie napisany, dopiero piąta... Życie jest piękne. Aż mam ochotę zaprosić pana na drinka, mimo że ostatnim razem to ja stawiałem.

– Po tym ostatnim razie to ja serdecznie dziękuję. Nie dostrzegam niczego, co by warto świętować.

– Mówi się trudno. Oczywiście czuję się w jakiś sposób zawiedziony, że nie ma pan obiekcji przed wpędzaniem starego przyjaciela w nałóg samotnego picia, ale cóż, wiedziałem, że jest pan bezwzględny egoistą. Czuwaj!

– Zaraz, poczekaj. W zasadzie jest jedno miejsce, dokąd bym mógł z tobą pójść...

Siedzieli przy barze. Wilk rozglądał się po przestronnej sali. Walny w zastraszająco szybkim tempie kończył dużego heinekena, którego postawił mu Wilk. Mimo wczesnej pory właściciele kasyna nie mogli narzekać na brak klientów.

– Musi się pan trochę rozluźnić, zanim podejmiemy bliżej – powiedział Walny. – Wygląda pan jak inspektor ze skarbowki. Ci biedni ludzie zaczną się zachowywać nienaturalnie, więc pańskie obserwacje będzie można o kant dupy potłuc.

– Jak pan będzie stał obok mnie, to mnie nikt nie zauważy – odciął się Wilk.

Na tę okazję redaktor Walny wyzbył się swojego dzinsowego

uniformu i włożył jasny, prawie biały garnitur oraz kwiecistą koszulę w krzykliwych kolorach. Zestaw uzupełniały nieco podniszczone i nie do końca czyste trampki.

– Tłumaczyłem panu, że to się nazywa swobodna elegancja. A to – dodał, machając nogami – nazywa się szczypta oryginalności. Chodźmy. Tylko błagam, niech pan przynajmniej ściągnie krawat.

Wilk potrząsnął głową, wstał i ruszył w kierunku środka sali. Walny po raz kolejny upewnił się, że jego kufel jest naprawdę pusty, zeskoczył ze stołka i poszedł za Wilkiem. Zatrzymali się najpierw przy stole do gry w pokera. Walny pociągnął Wilka za rękaw, więc ten się schylił.

– To jest poker – szepnął Walny. – Gra karciana.

– Dziękuję. Czy ja wyglądam na aż takiego idiotę?

– Aż takiego to nie. Ale chciał pan, żebym był dla pana przewodnikiem, nie?

Wilk i Walny byli jedynymi obserwatorami przy tym stole. Kru-pierka obrzuciła ich badawczym spojrzeniem i przestała zwracać na nich uwagę. Czterej mężczyźni, z których przynajmniej dwaj byli cudzoziemcami, siedzieli zatopieni w grze.

– Stawiam, że wygra ten z dłuższymi włosami – szepnął Walny. – A pan?

– Dziękuję, nie lubię hazardu.

– Kurde, przecież jesteśmy w kasynie! Nie każę się panu zakładać o pieniądze!

Wilk nie odpowiedział, tylko ruszył w głąb sali, a Walny z pewnym wahaniem podreptał za nim. Zatrzymali się przy stole do ruletki, który otaczał spory tłum ludzi. Wilk przyjrzał się zgromadzonemu: większość mężczyzn stanowili cudzoziemcy, większość kobiet wyglądała na Polki.

– Z autobusem Arabów zdradziła go – skomentował Walny, któremu najwyraźniej udało się odczytać myśli Wilka. – No więc dobrze, co pan obstawia?

– Mówiłem, że nie gram.

– No dobrze. Ja czerwone, pan czarne.

Krupier puścił w ruch koło, wypuścił kulkę. Wilk początkowo

obserwował to ze spokojem, ale kiedy kulka zjechała do środka hamującego koła, poczuł, że jego serce zaczyna nieznacznie przyspieszać. Kiedy koło prawie stanęło, wszystko wskazywało na to, że kulka wpadnie do przegródki z czerwoną dwudziestkajedynką. Jakimś cudem wykonała jednak ostatni nieoczekiwany podskok, zatańczyła na ścianie oddzielającej przegródki i ostatecznie wpadła do sąsiedniej, z czarnym trzydzieści trzy.

– Czarne – powiedział Wilk. – Co wygrałem?

– Nic – odparł Walny. – Żeby coś wygrać, trzeba coś postawić. To jak, zabawimy się naprawdę?

Wilk pokręcił głową. Walny wzruszył ramionami i dał mu spokój. W milczeniu obejrzelni następną rundę. Kiedy krupier puścił koło w ruch, Wilkowi przyszło nagle na myśl, że tym razem kulka wylądowała w czerwonej przegródce. Miał rację. Później założył, że w czarnej, i znowu się nie pomylił. Ciekawe, ile by to było, gdybym za pierwszym razem postawił głupie dziesięć złotych, pomyślał.

– Idziemy stąd – powiedział.

– Że co? – zaprotestował redaktor. – Akurat mi się zaczyna podobać. Zapomniałem, jak to jest: widzieć kogoś w szponach nałogu, od którego sam jestem wolny. A pan co, już się pan naoglądał tego, co pan chciał zobaczyć?

– Tak, to mi wystarczy.

– Pan to naprawdę jest dziwny. Zaciągnął mnie pan tutaj, żeby się czegoś dowiedzieć o hazardzistach. Tylko zamiast się przyglądać ludziom, cały czas się pan gapi na koło. Jak to ma panu w czymkolwiek pomóc?

Krupier po raz kolejny puścił koło w ruch. Czarne, pomyślał Wilk, ale kulka wylądowała w przegródce z czerwoną trzydziestką. I wszystko byś przegrał, pomyślał. Z ulgą poczuł, jak pokusa sprawdzenia się w grze go opuszcza.

– To co, idziemy stąd czy dalej będziemy stać? – chciał wiedzieć Walny.

– Jeszcze chwila.

– Oszaleć z panem. Wprowadza pan w moje życie wielką niestabilność. Należy mi się piwo za to, że tak tu pana niańczy.

– Już panu piwo postawiłem.

– Myślałem, że to było na znak przyjaźni. No dobrze, niech stracę, zrobimy tak: jak teraz wypadnie czerwone, pan mi stawia piwo, jak czarne, ja stawiam panu herbatę. Tak powinno być sprawiedliwie.

Wilk uśmiechnął się.

– Gdyby w taki sposób można było rozstrzygać kwestie sprawiedliwości...

– Czemu nie? Ja tam sądzę, że dawałoby to lepsze rezultaty niż obecny system. Tylko nie na tym stole, bo ten jest jakiś lewy! – dodał, kiedy zobaczył, że kulka wpadła do przegródki z czarną ósemką. – Oczywiście ta herbata to kiedyś w przyszłości, nie będziemy pić herbaty w kasynie.

Chwilę potem koło znowu poszło w ruch. Jeśli czerwone, to Zawirski jest winny, jeśli czarne, Zawirski jest niewinny, pomyślał Wilk. Wypadło czerwone dwadzieścia pięć. Pewnie to znaczy, że mam wnosić o dwadzieścia pięć lat. Co za bzdury!

– Chodźmy – zrobił dwa kroki w bok, po czym się zatrzymał i znowu odwrócił w kierunku stołu.

Sfrustrowany Walny machnął ręką.

– Czekam przy barze.

Została mi czwórka, pomyślał Wilk. Czerwone parzyste to Zawirski. Czerwone nieparzyste – Kulak. Czarne parzyste – Witold Oleńczuk. Czarne nieparzyste – Pająk.

Koło poszło w ruch i kręciło się długo, bardzo długo. Wilk miał wrażenie, że o wiele dłużej niż w poprzednich rundach. Wreszcie kulka jak na filmie puszczonej w zwolnionym tempie stoczyła się do przegródki oznaczonej cyfrą zero.

Obudził się nagle i od razu wiedział, że jest za późno, że nie zdąży. Nie chodziło przy tym o konieczność rezygnacji z biegania, mycia zębów, zawiązania sznurowadeł; chociaż nie miał pod ręką telefonu ani zegarka, po prostu wiedział, że nie zdąży. Mimo to musiał spróbować, wiedział, że musi spróbować, więc najszybciej, jak tylko mógł, siadł na łóżku i wstał. Jego głowa znowu ude-

rzyła w górną pryczę.

Jego współosadzony, nieszczęsny, zalękniony rencista, który wyjątkowo zdecydował się wypić drugie piwo, chociaż wiedział, że będzie musiał prowadzić, i nie wyhamował przed przejściem dla pieszych, poruszył się niespokojnie na swojej pryczy, tak jak za każdym razem, kiedy Zakrzeński zrywał się ze swojej. Nic nie powiedział, prawdopodobnie zajęty wciskaniem się w szparę między materacem a ścianą.

Zakrzeński z powrotem położył się na swojej pryczy, przymknął oczy. Wiedział, że sen znowu przyjdzie w miarę szybko tylko po to, by się skończyć gwałtownym, nieprzyjemnym wybudzeniem pół godziny później. Może trochę mniej, może trochę więcej, nie był pewny, bo przestał liczyć.

Rozdział 10

Kolejny piątek

W nocy z czwartku na piątek Wilk nie spał zbyt dobrze. Kilka razy przyśnił mu się koszmar, w którym był jeleniem lub sarną i uciekał przed myśliwym. W pewnym momencie w samym środku lasu dostrzegł potężny budynek z czerwonej cegły, który przypominał zamek, ale Wilk wiedział tą pewnością, którą ma się tylko w snach, że w środku jest luksusowe kasyno. Budynek uniemożliwiał dalszą ucieczkę i Wilk przerażony patrzył, jak ścigający go mężczyzna, którego twarzy nie rozpoznawał, chociaż wiedział, że powinien, podnosi dwururkę i celuje wprost w niego. Krzyczał: „To pomyłka, nie jestem jeleniem, jestem wilkiem!”, i budził się zlany potem.

Tak jak zawsze, kiedy nie udało mu się przespać całej nocy nieprzerwanym snem, obudził się zmęczony, zwłaszcza że tym razem nastawił sobie budzik o czterdzieści pięć minut wcześniej niż zwykle. Mimo to wytrwał w poczynionym poprzedniego dnia postanowieniu, szybko wstał, przyspieszył, ile mógł, poranną toaletę i w rezultacie dotarł do prokuratury niemal godzinę przed zwykłą porą. Od razu zagłębił się w pełną skupienia lekturę akt sprawy Oleńczuka i Szulc.

Około dwunastej poczuł, że powtarza się sytuacja z dnia poprzedniego – mimo najszczerzych chęci i skupionego wysiłku nie posuwał się wcale naprzód. Od czasu do czasu trafiał na potencjalnie interesujący szczegół, który wcześniej mu umknął albo o którym zdążył zapomnieć, ale po chwili refleksji uświadamiał sobie, że nie był to nowy trop, za którym warto podążyć. Poza tym odczuwał senność i przestraszył się, że przyśnie i znowu w śnie zobaczy przerażającego łowcę jeleni. Było jasne, że potrzebuje odmiany.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wezwać Zawirskiego

z aresztu na kolejne przesłuchanie, ale zrezygnował z tego pomysłu. Zamiast tego wykreślił numer Witolda Oleńczuka.

Na czas pobytu prezesa Zawirskiego w areszcie starszy z braci Oleńczuków przejął jego obowiązki. Nie przyszło mu jednak na myśl, żeby przejąć jego gabinet. Przyjął zatem Wilka w swoim pokoju na trzecim piętrze, niewielkim i urządzonym bez elegancji pomieszczeniu, które dzielił ze swoim zastępcą, tego dnia akurat nieobecnym.

– Firma jest do pańskiej dyspozycji – powiedział Wilkowi. – Oczywiście w pewnych rozsądnych granicach, chociaż mam pewność, że pan ich nie przekroczy. Wszyscy chcielibyśmy wiedzieć, co się naprawdę stało.

– Czy to znaczy, że nikt tutaj nie wierzy w winę prezesa?

Oleńczuk przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Nie, myślę, że jest spora grupa ludzi, którzy chcieliby, żeby to on się okazał winny. Jak pan zapewne zauważył, to człowiek, który nieszczerze liczy się z uczuciami innych. Nie czyni to z niego automatycznie mordercy, ale na pewno nie dodaje mu przyjaciół, zwłaszcza wśród ludzi, których byt od niego zależy. Chyba wszyscy rozumieją, że w sprawie pozostaje bardzo dużo niewiadomych.

– Pan wierzy w jego winę? – chciał wiedzieć Wilk.

Oleńczuk wzruszył ramionami.

– Powinienem, prawda? Dzięki temu sam nie jestem podejrzany. Ale muszę przyznać, że wszystko to wydaje mi się zbyt fantastyczne. Pan, jak rozumiem, też nie jest w pełni usatysfakcjonowany, skoro pan tu przyjechał. Chociaż nie, przecież pan może szukać dowodów winy. Tak czy inaczej, od czego chce pan zacząć?

– Myślę, że najpierw chciałbym jeszcze raz zobaczyć gabinet pańskiego brata.

– Oczywiście – odparł Oleńczuk i podniósł słuchawkę telefonu. – Poproszę, żeby go panu pokazano.

Do gabinetu Krzysztofa Oleńczuka zaprowadził i wpuścił Wilka Mirosław Owdziak, który wydawał się teraz nieco mniej szary niż

podczas ich poprzedniego spotkania.

– Proszę bardzo, panie prokuratorze – powiedziała. – Chociaż nie wiem, co pan chce zobaczyć. Żadnych rzeczy osobistych tu chyba nie ma. Nie dlatego, że ktoś coś wyrzucił, tylko on po prostu nie kolekcjonował pierdół. Te trzy obrazki na ścianach są jego, to wszystko.

Sterylnie, tak jak w mieszkaniu, pomyślał Wilk.

– Pan się tu nie zamierza przenieść? – zapytał Owdziaka.

– Nie dostałem na razie takiej propozycji – Owdziak wzruszył ramionami. – Zresztą to bez znaczenia. Mam przecucie, że Zawirski wróci, a wtedy moje dni tutaj będą policzone. Nawet jeśli nikt życzliwy nie powie mu o mojej wizycie u pana – dodał szepciem.

– Myśli pan, że Zawirski będzie się pana chciał pozbyć? Dlaczego?

– Choćby przez te opcje. Żeby nie wiem jak nalegał, ja w to nie pójde.

Nie wyjaśnił dlaczego, tylko podszedł do stojącego na biurku laptopa i odpalił go, a potem uruchomił prezentację w PowerPointcie zapisaną na pulpicie.

– Jak policja zwróciła komputer Krzyśka, przeglądałem go i znalazłem perełkę. Superrzecz, w dziesięciu slajdach pokazuje, dlaczego opcje walutowe to prawdopodobny stryczek dla firm, które w nie wejdą. I że generalnie tylko idiota może się chcieć w to bawić. Píše, że to najbardziej bezrozumny rodzaj hazardu, bo ze względu na liczbę zmiennych nawet w przybliżeniu nie da się określić prawdopodobieństwa wygranej. Chwileczkę, wydrukuję to panu.

Odszedł w kąt pokoju i po chwili podał Wilkowi plik kolorowych kartek. Jakość druku wyglądała na idealną.

– Proszę przejrzeć, nawet jeśli pan nie zrozumie całej matematyki, zobaczy pan, jakim inteligentnym gościem był Krzysztof.

– Kiedy wymieniono toner w drukarce? – zapytał Wilk. – Już po śmierci Oleńczuka?

Owdziak nie krył zdziwienia.

– Wymieniono toner? A skończył się? Nie mam zielonego poję-

cia. Po jego śmierci raczej nie, pokój stał przecież zamknięty. Mogę zadzwonić do informatyków i się zapytać. Czy to takie ważne?

– Nie wiem – odparł zgodnie z prawdą Wilk. – Może się okazać, że tak.

– Mają oddzwonić – powiedział Owdziak, kiedy odłożył słuchawkę. Przez chwilę czekali w milczeniu.

– Powiedział pan, że Krzysztof Oleńczuk sprzeciwiał się opcjom, bo uważał je za bezrozumny rodzaj hazardu – powtórzył Wilk. – Czy wiedział pan, że w życiu prywatnym on miał słabość do gier hazardowych?

– Pierwsze słyszę. Ale ja nie miałem z nim wiele kontaktu na gruncie prywatnym. Chociaż moment, przypomina mi się jedna historia...

Telefon zadzwonił.

W drodze z siedziby OKZ Development na stację SKM Wilk zadzwonił pod numer stacjonarny Zakrzeńskiego. Miał nadzieję, że odbierze aspirant Katz, i tak się stało.

– Pan zastępuje komisarza we wszystkich sprawach? – zapytał. – Świetnie. Będę potrzebował wsparcia, dosyć pilnie, także w weekend. Mam nową teorię związaną ze sprawą. Jeszcze jej w całości nie rozumiem, ale to może wiele zmienić, naprawdę wiele. Mam nadzieję, że znajdzie pan czas.

Katz powiedział, że znajdzie.

Rozdział 11

W następnym tygodniu

Nie powiedzieli mu, dokąd go wiozą, więc Zakrzeński założył, że na kolejne bezsensowne przesłuchanie u Kaszyńskiego. Gdy radiowóz nie zjechał na Wisłostradę, tylko pojechał dalej prosto Trasą Armii Krajowej, zorientował się, że się myli. Dokąd? Nic mu nie przychodziło do głowy. Po lewej stronie Wisły nie było żadnego aresztu, do którego mogliby go przеносić, ani żadnego sądu, w którym musiałyby się stawić.

Wszystko jedno, pomyślał, i tak zaraz się przekonasz. Przyknał oczy, ale tym razem sen nie nadchodził. Zakrzeński zdał sobie sprawę, że odczuwa jakiś irracjonalny lęk, i przez chwilę miał ochotę zapytać konwojentów. Powstrzymał się nie bez trudu. Nie wyglądali na całkowitych sukinsynów, ale ryzyko, że zignorują jego pytanie albo każą mu stulić pysk, było duże. Weź się w garść człowieku, powiedział sobie w myślach, przecież na pewno nie wiozą cię na rozstrzelanie.

W dalszym ciągu nie wiedział, dokąd jedzie, co wcale się nie zmieniło, kiedy radiowóz zjechał na trasę poznańską. Zrozumiał, że jadą gdzieś poza Warszawę, i od razu przyszło mu do głowy rozwiązanie zagadki. Musieli zabrać to śledztwo z Prokuratury Okręgowej w Warszawie i przekazać innej. Łódź albo Poznań. Ruch wcale nie taki zaskakujący, jeśli wziąć pod uwagę, jak dobrze Zakrzeński jest znany w kręgach policyjno-śledczych w Warszawie.

Tylko czego się obawiali, skoro przenosili śledztwo? Raczej nie tego, że śledczy w Warszawie potraktują Zakrzeńskiego zbyt surowo. Obawiali się raczej tego, że Zakrzeński dostanie taryfę ulgową. Oczywiście nonsens, jeżeli się pamięta, jaki stosunek ma do niego ten skurwysyn Kaszyński. Zakrzeński mógł więc przyjąć, że nie wróży to zbyt dobrze.

Zorientował się, że przejeżdżają przez ten przeklęty Ożarów. Ironia losu, pomyślał, a potem poczuł, że radiowóz zwalnia, i to zwalnia przed skrzyżowaniem, które doskonale rozpoznawał. Po chwili nie mógł już mieć żadnych wątpliwości: skręcali w prawo, w kierunku OKZ Development. I teraz zupełnie nie wiedział, o co chodzi.

Wilk nerwowo przechadzał się pod drzwiami sali posiedzeń zarządu na czwartym piętrze siedziby OKZ Development. Było cztery po jedenastej, a ciągle brakowało Zakrzeńskiego i Kaszyńskiego. Czyżby Kaszyński ostatecznie zdecydował się zignorować ustalenia, których akceptację wymusił na nim sam prokurator okręgowy? A może udało mu się skutecznie wykorzystać znajomości gdzieś wyżej, w Prokuraturze Generalnej albo w Ministerstwie Sprawiedliwości?

Oczywiście obecność samego Kaszyńskiego nie była Wilkowi do niczego potrzebna, to on sam zażądał prawa do uczestniczenia w spotkaniu. Zresztą to, co miało za chwilę się wydarzyć, mogło się tak naprawdę obyć i bez Zakrzeńskiego. Ale Wilk potrzebował jego obecności. Nie wszystko rozumiał i z pewnością nie wszystko był w stanie udowodnić. Miał nadzieję, że Zakrzeński mu w tym pomoże – coś sobie przypomni, skojarzy jakieś dodatkowe fakty, których Wilkowi nie udało się skojarzyć. Mogło się też okazać, że jako człowiek mający przed sobą kilka ładnych lat za kratkami będzie miał w nosie los ostatniego śledztwa, jakie prowadził w życiu – bo przecież po odsiadce do policji nie wróci. Ale Wilk czuł, że tak nie będzie.

Spojrzał na zegarek. Jedenasta sześć. Za chwilę będzie trzeba zacząć, nie czekać na Zakrzeńskiego. Szkoda, pomyślał Wilk i poczuł gwałtowny przypływ tremy. To, co zamierzał powiedzieć, ćwiczył nieustannie od ponad dwóch dni. Teraz nie bardzo mógł sobie przypomnieć, od czego planował zacząć.

W tym momencie usłyszał szcęknięcie zamka w drzwiach wejściowych. Zza załomu ściany wyłonił się prokurator Kaszyński. To znaczyło, że Zakrzeński też będzie. Wilk poczuł ogromną

ulgę. Zanim zdołał się powstrzymać, uśmiechnął się. Kaszyńskiemu, który miał minę ponurą jak chmura gradowa, wcale to się nie spodobało. Jego małe oczka wyglądały tak, jakby zaraz miały ciśkać gromy.

– Jeszcze raz chciałem podkreślić, że uważam tę sytuację za poważne nadużycie – oświadczył, kiedy doszedł do Wilka i zatrzymał się przy nim. – Nadużycie procedur i, co może nawet gorsze, nadużycie zaufania, które powinno panować w instytucji tak newralgicznej dla państwa jak prokuratura. Ale nie dano mi wyjścia.

Zrobił krok w kierunku drzwi sali konferencyjnej. Zatrzymał się jeszcze raz i ponownie spojrzął na Wilka.

– Radziłbym panu pamiętać, że nadejdzie taki czas, kiedy nie będzie pan mógł poprosić tatusia o telefon do wiadomych osób, tylko będzie pan sobie musiał radzić sam. Stanie się to chyba wcześniej niż za dwadzieścia lat.

Może prezes wyszedł na wolność i został w pełni oczyszczony z zarzutów, pomyślał Zakrzeński, wchodząc do windy, a dzięki znajomościom udało mu się załatwić, że przywiozą mu Zakrzeńskiego, żeby mógł się nad nim poznać, choćby psychicznie. Nie-dorzeczne, ale żaden inny pomysł nie przychodził mu do głowy, dopóki nie znalazł się w holu czwartego piętra, nie przeszedł za załom muru i nie zobaczył tam Wilka. No tak, działo się coś dziwnego, więc powinien zgadnąć, że prokurator będzie w jakiś sposób maczał w tym palce.

– Dzień dobry, panie komisarzu – powiedział Wilk. – Niestety, wszyscy czekają, więc nie mamy czasu na wyjaśnienia. Chodźmy. Aha, proszę zdjąć panu komisarzowi kajdanki.

Konwojujący spojrzeli po sobie ze zdziwieniem, ale żaden się nie poruszył.

– Jestem prokuratorem i biorę odpowiedzialność za to, co się tu będzie działo – powiedział Wilk.

Starszy z konwojujących wzruszył ramionami, wyciągnął z kieszeni kluczyki i rozpiął Zakrzeńskiemu kajdanki.

– Proszę – powiedział Wilk, wskazując drzwi do sali konferencyjnej.

Zakrzeński powiedział sobie, że nie zdziwi go nic, co zobaczy w sali posiedzeń, ale się mylił. Niewielkie pomieszczenie pękało w szwach. Łatwiej by było powiedzieć, kogo tam nie ma.

Pozostali przy życiu członkowie zarządu siedzieli dokoła stołu. Jan Kulak i Witold Oleńczuk na swoich miejscach, natomiast prezes zajął krzesło na końcu stołu, dokładnie naprzeciwko miejsca, w którym stał dwa tygodnie wcześniej, kiedy zginął Krzysztof Oleńczuk, a które teraz było puste. Po prawej ręce prezesa, a więc na miejscu, które w czasie pamiętnego posiedzenia zajmował Krzysztof Oleńczuk, siedział Mikołaj Kulak. Siedział zatem dokładnie naprzeciwko syna, ale nie patrzył na niego; nic nie wskazywało, żeby był między nimi jakikolwiek kontakt. Stałe miejsce Anny Szulc przy drzwiach na taras zajęła Agnieszka Pająk. Na widok Zakrzeńskiego przemknął przez jej twarz wyraz zdziwienia, zaraz potem uśmiechnęła się złośliwie.

Pozostałe osoby siedziały na krzesłach powciskanych między stół i ściany. Zakrzeński najpierw zauważył Martę Zychowicz, chociaż była wciśnięta w kąt. Patrzyła w bok i udawała, że go nie widzi. Nie potrafiła jednak ukryć rumieńca.

Obok Zychowicz siedział sierżant Leńczyk, a po jego prawej ręce Katz. Jego widok Zakrzeńskiego zaskoczył, ale to, że Katz miał przymknięte oczy, już nie. Tym razem Katz nie spał, a przynajmniej niezbyt głęboko, bo zaraz otworzył oczy i pozdrowił Zakrzeńskiego lekkim poruszeniem brwi.

W drugim kącie pokoju, po stronie drzwi wejściowych, siedział prokurator Kaszyński i lustrował Zakrzeńskiego swoimi świńskimi oczkami. Obok niego zajęto miejsca dwóch umundurowanych policjantów dobrze po pięćdziesiątce, szpakowaty podinspektor i łysy inspektor. Żaden z nich nie był z Komendy Stołecznej, tego Zakrzeński był pewien, musieli więc być stąd, z powiatu Warszawa-Zachód. Nie miał zielonego pojęcia, co tu robili.

Przez chwilę wydawało mu się, że jako jedyny w pomieszczeniu będzie musiał stać. Potem dostrzegł jeszcze jedno krzesło po swojej lewej, niedaleko Mikołaja Kulaka. Usiadł. Zaraz potem zo-

baczył, jak Wilk nieco niepewnym krokiem podchodzi do szczytu stołu i staje w miejscu, które na ostatnim posiedzeniu zarządu zajmował prezes Zawirski.

Prokurator sprawiał wrażenie jednocześnie podekscytowanego i speszonego. Przez chwilę stał nieruchomo i wodził wzrokiem po sali, tak jakby chciał dokładnie przyjrzeć się wszystkim obecnym. Jednocześnie widać było, że nie wie, co ma zrobić z rękami. Najpierw splótł dłonie na brzuchu, ale nie udało mu się utrzymać ich nieruchomo; zaczął nimi obracać, jakby je mydlił. Żeby z tym skończyć, rozłączył dłonie i ułożył je wzdłuż ciała. Przez chwilę wydawało się nawet, że wsadzi je do kieszeni. W końcu wpadł na inny pomysł – zrobił krok w kierunku stołu i położył dłonie na blacie, tuż obok siebie, tak że dotykały się kciukami. Zaczął mówić.

– Witam państwa i dziękuję za przybycie. Żałuję, że musiałem państwa wszystkich tu fatygować, ale doszedłem do wniosku, a właściwie z aspirantem Katzem, który bardzo mi ostatnio pomagał w śledztwie, doszliśmy do wniosku, że tego rodzaju spotkanie jest niezbędne. W ciągu ostatnich kilku dni zajmowaliśmy się weryfikacją pewnych nowych koncepcji dotyczących sprawy śmierci Krzysztofa Oleńczuka i Anny Szulc. Wydaje mi się, że osiągnęliśmy rezultaty, z którymi powinni się państwo zapoznać.

– Proszę głośniej – odezwał się Kaszyński. – Tu, z tyłu, nic nie słyszymy.

Wilk mówił cicho, ale nie tak cicho, żeby go nie było słychać; Kaszyńskiemu najwyraźniej chodziło wyłącznie o to, żeby go wybić z rytmu i zdenerwować. Z początku wydawało się, że mu się powiodło, bo Wilk oblał się charakterystycznym dla siebie rumieńcem. Kiedy jednak ponownie zaczął mówić, rzeczywiście głośniej, brzmiał pewniej i od razu przeszedł do rzeczy.

– Chciałbym zacząć od krótkiego przypomnienia faktów. Wprawdzie wszyscy państwo mają sporą wiedzę na temat tego, co zaszło, ale zaryzykowałbym twierdzenie, że nie mają państwo tak pełnego obrazu, jaki udało nam się uzyskać w toku śledztwa. Zacznijmy od tego, co się zdarzyło w czwartek prawie dwa tygodnie temu.

Odbyło się wtedy posiedzenie zarządu OKZ Development. Uczestniczyło w nim pięć osób: prezes Jerzy Zawirski, Witold Oleńczuk, Krzysztof Oleńczuk, Anna Szulc i Jan Kulak. Oprócz tego na czwartym piętrze znajdowała się wtedy także Agnieszka Pająk, zatrudniona w charakterze sekretarki prezesa.

Posiedzenie rozpoczęło się od głosowania nad pewną uchwałą, która została przyjęta przez akklamację. Później zaplanowane było uczczenie tego głosowania lampką szampana. Prezes Zawirski otworzył butelkę i rozlał trunek. Każdy wziął kieliszek, ale nikt nie zdążył się napić, bo Krzysztof Oleńczuk powiedział coś, co sprawiło, że prezes zdecydował się przerwać wygłaszany toast i zaprosił Krzysztofa Oleńczuka na indywidualną rozmowę w swoim gabinecie. Nastąpiła przerwa w posiedzeniu, wszyscy w tym czasie opuścili salkę. Przerwa trwała kilka minut, potem wszyscy wrócili i wznieśli toast. Po pierwszym łyku szampana Krzysztof Oleńczuk padł martwy na skutek przyjęcia bardzo dużej dawki cyjanku potasu.

Było dla nas jasne, że trucizna musiała zostać dodana do kieliszka Krzysztofa Oleńczuka w trakcie przerwy w posiedzeniu. Nie było natomiast jasne, kto mógł to zrobić. Żaden z członków zarządu nie mógł być na sto procent wykluczony. Anna Szulc w czasie przerwy wyszła na taras, a świadek z zewnątrz – młody chłopak na wózku, który z nudów zajmuje się obserwowaniem budynku OKZ – twierdzi, że nie wchodziła do środka aż do końca przerwy. To by ją wykluczało, ale czy można mieć pewność, że ten świadek się nie myli?

Witolda Oleńczuka wykluczały zeznania Anny Szulc, która twierdziła, że na pewno nie dodał trucizny, bo obserwowała go przed wyjściem z salki, a potem nie miał po temu sposobności. Anna Szulc raczej się nie myliła, patrzyła z bliska. Ale może widziała dodawanie trucizny i nie interweniowała z premedytacją?

Jana Kulaka jako mordercę wykluczały zeznania Witolda Oleńczuka, który twierdził, że na pewno nie dodał on trucizny przed wyjściem z salki na przerwę. Później wyszło na jaw, że Jan Kulak złożył nie do końca prawdziwe zeznania i nie opuścił czwartego piętra. Wyszło też na jaw, że Agnieszka Pająk i Witold Oleńczuk

nie pozostali, tak jak zeznali, koło blatu recepcji, tylko przenieśli się do magazynku. Jan Kulak poszedł na taras z tamtej strony, bo chciał podsłuchać, o czym mówią. Nie zmienia to faktu, że przez chwilę znalazł się w holu sam. Przynajmniej teoretycznie mógł szybko wejść do sali posiedzeń i wsypać truciznę do kieliszka.

Przez długi czas wydawało się, że najmniej podejrzanym członkiem zarządu jest prezes Jerzy Zawirski, bo przebywał z Krzysztofem Oleńczukiem w swoim gabinecie. Uświadomiliśmy sobie, że przez pewien czas hol był zupełnie pusty. Więc prezes mógł na chwilę opuścić gabinet pod pretekstem konieczności przyniesienia czegoś z sali posiedzeń i wtedy zatruć szampana.

Trzeba też było postawić pytanie: *Cui prodest*. I w tym wypadku każdy z członków zarządu miał potencjalny motyw. Anna Szulc z pewnością nienawidziła Krzysztofa Oleńczuka, bo to z jego powodu jej córka próbowała popełnić samobójstwo i od kilku lat znajduje się w szpićce. W wypadku Witolda Oleńczuka mogło chodzić o pieniądze, o dodatkowe miliony, które odziedziczyłby po śmierci ojca. Prezes Zawirski z kolei miał z denatem na pieńku, bo ten blokował niektóre jego pomysły, zwłaszcza pomysł wejścia w tak zwane opcje walutowe. Na tym prezes spodziewał się dużo zarobić. Wreszcie Jan Kulak, który wydawał się mieć najślabszy motyw: Krzysztof Oleńczuk znany był z tego, że sobie z niego pokpiwał, zwykle publicznie.

W toku śledztwa nasze podejrzenia przenosiły się z osoby na osobę, ale nigdy nie zdobyliśmy prawdziwego dowodu. Najwyżej jedną silną poszlakę: w garażu prezesa Zawirskiego znaleźliśmy cyjanek. Ale prezes rzeczywiście dostał go od szwagra kilka lat temu; czy zaryzykowałby wykorzystanie go w zabójstwie i nie pozbył się reszty?

Na pewno udowodnienie przestępstwa komukolwiek nie byłoby łatwe. Bardziej niepokoiło mnie coś innego. Cały czas miałem wrażenie, że coś nam umyka. Zdałem sobie sprawę, że bardzo mało wiedzieliśmy o zabitym. Nawet jego własny brat nie potrafił zbyt wiele o nim powiedzieć. Nie udało nam się znaleźć osób, które można by określić jako przyjaciół zmarłego, ani nawet bliższych znajomych. Co to wszystko znaczyło?

Wtedy się dowiedziałem, że Krzysztof Oleńczuk był nałogowym hazardzistą. Taką informację przekazał wywiad policyjny. Przy czym było w tym coś dziwnego: z jednej strony informacja ta miała być stuprocentowo pewna, z drugiej nie sposób było uzyskać na ten temat jakichkolwiek szczegółów. Próbowałem w ostatnich dniach, ale było to trochę jak walenie głową w mur. Wydaje mi się jednak, że ustaliłem przynajmniej dlaczego.

Otóż Krzysztof Oleńczuk miał za sobą etap grywania w oficjalnych kasynach, nawet tych najdroższych. W ostatnich latach oddawał się nałogowi w miejscach, które nie mają licencji na prowadzenie gier hazardowych. Policja wie o istnieniu takich miejsc, ale nic z tym nie robi. Być może obserwuje te miejsca i zdobywa tam cenne informacje. A być może chodzi o to, że w tych miejscach bywają bardzo, ale to bardzo wpływowe osoby. Nie wiem.

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że jako prokuratora powinno mnie to zainteresować, ale w tej chwili ważne jest coś innego. Mianowicie to, że Krzysztof Oleńczuk ostatnio dużo przegrywał i miał długi. Spore długi. Dłużnika się nie zabija, zwłaszcza jeśli ma wkrótce odziedziczyć miliony. A nawet gdyby został na niego wydany wyrok, przecież nie zostałyby wykonane w ten sposób, na zamkniętym posiedzeniu zarządu. Wygląda więc na to, że wszyscy ci ludzie w Komendzie Stołecznej, którzy próbowali mi udzielić jak najmniej informacji, mają rację: śmierć Krzysztofa Oleńczuka nie była związana z hazardem.

Aspekt hazardowy nie dawał mi spokoju. Im więcej się nad nim zastanawiałem, tym silniejsze było moje przekonanie, że hazard rzeczywiście stanowi klucz do poznania osobowości zmarłego. Jak każdy nałóg, a może nawet bardziej niż inne, hazard prowadzi do osamotnienia, niszczy kontakty z ludźmi. Chociaż hazardziści w większym stopniu niż alkoholicy oraz narkomani potrafią dobrze funkcjonować w życiu zawodowym. Wszystko się zgadza. Życie prywatne Krzysztofa Oleńczuka było pustynią, w życiu zawodowym świetnie sobie radził.

Hazard wyniszcza też finansowo, bardziej niż jakikolwiek inny nałóg. Muszę przyznać, że z początku nie przyglądaliśmy się zbyt dokładnie sytuacji finansowej denata, bądź co bądź wiedzieliśmy,

że odziedziczy ogromne pieniądze. W ostatnich dniach spojrzeliśmy na to bliżej. Mieszkanie, w którym mieszkał, było wynajęte. Samochód służbowy. Na rachunku bieżącym miał niecałe siedem tysięcy złotych. Żadnych lokat, w domu żadnych kosztowności ani wartościowych przedmiotów. Miał długi idące w setki tysięcy złotych.

Jak powiedziałem, nie zabija się dłużnika, który w przyszłości stanie się kurą znoszącą złote jajka. Żeby z hazardu mógł wyniknąć motyw, musiałoby być na odwrót, to znaczy Krzysztofowi Oleńczukowi ktoś musiałby być winien pieniądze. Oczywiście ktoś spośród członków zarządu.

Wilk zamilkł, rozejrzał się po zgromadzonych i zatrzymał wzrok na Janie Kulaku, który poruszył się niespokojnie i zrobił taką minę, jakby chciał pokazać, że nie wie, dlaczego to jego się czepiają.

– Panu zdarza się bywać w kasynach, prawda? – zapytał go Wilk.

– No nie! – Kulak niemal zerwał się z krzesła. – To znaczy zdarza się, ale tylko dlatego, że czasem ktoś z towarzystwa się uprze. Raz na kilka miesięcy. Jak tam jestem, to coś czasem postawię, tak na luziku. Nie zdarzyło mi się przegrać więcej niż dwa, no trzy kawałki. Mnie to wcale nie kręci.

– Zgadza się – skinął głową Wilk. – Z obserwacji zebranych przez policję wynika, że z hazardem pan akurat problemu nie ma, przynajmniej do tej pory. Zdarzyło się panu przegrać większą kwotę, chociaż nie w kasynie.

Kulak poczerwieniał i zbłądł. Wyglądał tak, jakby miał zaraz zemleć albo co najmniej zwymiotować.

– Skąd pan o tym wie? – wydukał.

– Działania operacyjne. Nie mogę ujawniać szczegółów.

Prokurator Kaszyński nagle bardzo głośno chrząknął.

– Nie chciałbym panom przerywać tej fascynującej rozmowy. Chciałbym tylko zapytać, czy nasza obecność jest do czegokolwiek potrzebna, czy możemy sobie iść. Bo wie pan, panie kolego, niektórzy mają czasem do zrobienia ważne rzeczy.

Wilk wyraźnie się zmieszał, ale szybko udało mu się opanować.

Nawet nie oblał się rumieńcem.

– Proszę o wybaczenie. Już wyjaśniam. Otóż w toku ostatnich działań udało nam się dowiedzieć, że mniej więcej trzy lata temu Jan Kulak zawarł zakład wzajemny z Krzysztofem Oleńczukiem na sumę, bagatela, dziesięciu tysięcy złotych. O ile nam wiadomo, przegrał ten zakład i zapłacił denatowi rzeczoną sumę. Czy zechciałby pan nam wyjaśnić, o co był ten zakład?

– Podeszedł mnie – powiedział Kulak. – Dałem mu się trochę wrobić. Zaczął ze mną rozmawiać o klubie i szansach na przyszły sezon. Ja mu wtedy powiedziałem, że celujemy w piąte miejsce, bo rozmawiałem z trenerem na ten temat. A Oleńczuk na to, że nie ma takiej możliwości, żebyśmy zajęli piąte miejsce, no więc się założyliśmy. Ja mówiłem, że piąte, a on, że nie.

– I jaki był wynik? – zapytał Wilk.

– Czwarte miejsce – rzuciła podkomisarz Zychowicz.

– Dokładnie – potwierdził Kulak. – Z początku myślałem nawet, że wygrałem, ale on na to, że nie powiedziałem „co najmniej piąte”. No fakt, nie powiedziałem, zresztą świadek to potwierdził. Ten, co przecinał, zastępca Oleńczuka. O kurwa, już wiem, kto to wam wszystko podkablował! Sukinsyn!

Ze strony Mikołaja Kulaka dobiegło coś w rodzaju stłumionego westchnienia, potem jakby z niedowierzaniem potrząsnął głową.

– Czy kiedykolwiek potem zakładał się pan jeszcze o cokolwiek z Krzysztofem Oleńczukiem? – dociekał Wilk.

– Broń Boże. To był pierwszy i ostatni raz. On jakiś czas potem próbował mnie zagadywać w tej sprawie, ale taki głupi to ja nie byłem, żeby się mu drugi raz dać podejść.

– Mamy na to tylko pańskie słowo?

– Kurde, a co, to mało?

Wilk przez chwilę przyglądał mu się bez słowa.

– Do tej pory spośród wszystkich członków zarządu OKZ Development miał pan najśłabszy motyw. Krzysztofowi Oleńczukowi zdarzało się z pana kpić, także publicznie. Na pewno powód, żeby go nie lubić, ale czy wystarczający do tego, żeby go zabić? Nie jestem pewien. Być może jeszcze uważał pan, że to z jego powodu pański klub nie dostaje tyle pieniędzy, ile powinien. To by ten

pański motyw wzmacniało, ale raczej w dalszym ciągu nie czyniłoby go nadzwyczajnie silnym. Ale jeśli miałyby się okazać, że znowu się panowie o coś założyli, tym razem, dajmy na to, o sto tysięcy złotych...

– Rany boskie, jakie sto tysięcy? – rozdygotany Kulak wyglądał na przerażonego. – Ani sto, ani dziesięć, ani nic!

– Warunki do popełnienia zabójstwa pan miał – powiedział Wilk. – Kiedy Agnieszka Pająk i Witold Oleńczuk weszli do magazynku za recepcją, został pan sam w holu. Wiemy, że pobiegł ich pan podglądać z balkonu, ale nie musiał pan tego robić od razu. Wejście do sali posiedzeń i wrzucenie trucizny do kieliszka Oleńczuka było kwestią kilku sekund.

– Jak rany, no przecież... – wykrzyknął Kulak, a potem nagle zamilkł i przez chwilę się nie odzywał.

Kiedy znowu zaczął mówić, był o wiele spokojniejszy.

– Pan nie ma żadnych dowodów, nie? No to chyba może pan sobie całą tę gadkę o kant dupy potłuc. Poza tym, ludzie, przecież to nonsens, wystarczy trochę pomyśleć. Skąd ja miałem wiedzieć, że będę miał okazję? Że będzie przerwa przed szampanem albo że ci dwoje pójda na zaplecze?

– Nie mógł pan tego przewidzieć – potwierdził Wilk. – To bardzo ważny punkt w tym wszystkim i za chwilę do niego wrócimy. Teraz chciałbym na chwilę zmienić temat. Do tej pory mówiliśmy o członkach zarządu OKZ Development. Tamtego dnia na czwartym piętrze był jeszcze ktoś: Agnieszka Pająk...

Dziewczyna drgnęła i szybko schowała coś do zawieszanej na oparciu krzesła torebki. Położyła dłonie na blacie. Chyba piłowała paznokcie, zanim Wilk o niej wspomniał.

– Słucham pana? – powiedziała z przymilnym uśmiechem.

– Tak naprawdę w żadnym momencie śledztwa nie była pani traktowana jako podejrzana. A przecież pani też miała okazję. Kiedy wyszła pani z magazynku z Witoldem Oleńczukiem, a on wszedł do gabinetu prezesa, na chwilę została pani w holu sama. To znaczy, tak się pani wydawało, bo nie zdawała sobie pani sprawy, że za załomem muru stoi Jan Kulak. Mogła więc pani wejść do sali posiedzeń i dodać truciznę do szampana. Wykładzina tłumi

kroki, drzwi otwierają się cicho, więc Jan Kulak w drugiej części korytarza nic by nie usłyszał.

Agnieszka Pająk odruchowo zaczęła się bawić włosami.

– Jejku, nigdy nie byłam o nic takiego oskarżona – stwierdziła. – Muszę powiedzieć, że to całkiem podniecające. Tylko że ja chyba nie miałam żadnego motywu, co?

Wilk pokręcił głową.

– Nie miała pani. W ostatnich dniach prześwietliliśmy panią dokładnie i rzeczywiście wszystko wskazuje na to, że mówiła pani prawdę i pani znajomość z Krzysztofem Oleńczukiem ograniczała się do kilku spotkań tutaj, w OKZ Development.

– Uff, czyli to jednak nie ja? Co za ulga, naprawdę. W więzieniach podobno pełno starych lesb – wzdrygnęła się przesadnie i uśmiechnęła jeszcze szerzej niż do tej pory.

– Wiemy natomiast, że weszła pani w bliższy związek z Witoldem Oleńczukiem – kontynuował Wilk. – To właśnie dlatego rozmawialiście w magazynku. I wynik tej rozmowy niespecjalnie się pani spodobał, prawda?

Agnieszka Pająk przestała się uśmiechać.

– No a co to ma do rzeczy? – zapytała ostrzejszym tonem, w którym brak było uprzedniej zalotności.

– Pani na posiedzeniu nie było nawet przez chwilę. Wstawiła pani szampana i kieliszki do sali posiedzeń wcześniej, zanim się ono zaczęło. Było to zresztą pierwsze posiedzenie zarządu, które pani, jeśli się tak mogę wyrazić, obsługiwała, bo jest pani w tej firmie, a zwłaszcza na tym stanowisku, nowa.

– No to co?

– To wszystko znaczy, że nie wiedziała pani, gdzie kto siedział.

Agnieszka Pająk zmarszczyła brwi i przyglądała się Wilkowi w milczeniu. Wyglądało na to, że rzeczywiście nie wie, dokąd prokurator zmierza.

– Załóżmy więc, że po pani rozmowie z Witoldem Oleńczukiem ogarnia panią pragnienie zemsty. Kiedy wydaje się pani, że jest pani sama w holu, wchodzi pani szybko do sali posiedzeń. Teraz musi pani zdecydować, gdzie siedzi Witold Oleńczuk, bo to jego chce pani, nazwijmy to, ukarać. Między krzesłami przy drzwiach

widzi pani jego teczkę. Wie pani, że Witold Oleńczuk jest praworęczny, ale nie wie pani, że ma w zwyczaju stawiać teczkę po swojej lewej stronie. Dlatego decyduje pani, że krzesło pana Witolda, a tym samym jego kieliszek, znajdują się po lewej stronie teczki. Ale to jest krzesło i kieliszek młodszego z braci, i to jemu serwuje pani truciznę.

Agnieszka Pająk zamarła. Po kilku sekundach szybko zatrzepotała rękami i nagle zaniósła się gwałtownym płaczem, od którego po jej policzkach natychmiast popłynęły strugi czarnego tuszu.

– Dlaczego pan mi to robi? – wyłkała. – Przecież ja nic nie zrobiłam, naprawdę. Dlaczego chcecie to na mnie zwalić?

Wilk po raz kolejny sprawiał wrażenie mocno zmieszanego. Przez chwilę można nawet było mieć wrażenie, że wyjdzie ze swojego miejsca za stołem i podejdzie do dziewczyny, żeby ją spróbować pocieszyć.

– Przepraszam – powiedział. – Nie chcę niczego na panią zwać. Nie uważam, że to pani go otruła. Chciałem jedynie pokazać, że to teoretycznie możliwe.

Agnieszka Pająk jeszcze raz załkała i powoli się uspokoiła. Zaczęła szperać w torebce. Wyciągnęła z niej chusteczkę i lusterko.

– Nie wiem, w co się pan tutaj bawi, panie kolego – odezwał się Kaszyński. – Mam wrażenie, że gdyby niektórzy spośród tu zebranych poszukali pomocy adwokata, miałyby pan problemy. Jest coś takiego jak artykuł 212 kk, panie kolego, zniesławienie.

– Dwieście dwanaście ka co? – Agnieszka Pająk z ciekawością odwróciła się w jego stronę. Była pomazana tuszem, ale nie sprawiała wrażenia zrozpaczonej.

– Dziękuję, panie prokuratorze – powiedział Wilk. – Rzeczywiście, przesadziłem. Chodziło mi o to, żeby coś zademonstrować. Chciałem państwu pokazać, że absolutnie każda z osób, które znajdowały się wtedy na czwartym piętrze OKZ Development, miała motyw i możliwość popełnienia morderstwa. Jeśli chodzi o możliwość, możemy uznać, że każdy z państwa jest równie prawdopodobnym kandydatem na mordercę. Albo raczej równie nieprawdopodobnym.

Na chwilę zamilkł.

– W każdym przypadku musimy założyć to samo. Że sprawca stale nosił ze sobą fiolkę z trucizną i czekał na odpowiedni moment. A kiedy ten moment nadszedł, sprawca w ułamku sekundy popełnił swój czyn. Teraz państwu wytłumaczę, dlaczego wydaje mi się to mało prawdopodobne. Po pierwsze Anna Szulc cały czas stała na tarasie i paliła. Była odwrócona do sali tyłem, ale przecież w każdej chwili mogła zmienić pozycję. Czy to rzeczywiście idealna sytuacja do działania dla mordercy?

Jest też drugi problem, w moim odczuciu o wiele poważniejszy. Mianowicie w tej sprawie mamy do czynienia z wykorzystaniem trucizny, i to bardzo specyficznej trucizny. Zbrodnie, w których narzędziem jest cyjanek albo na przykład arsenik, są zwykle bardzo dobrze zaplanowane i przemyślane. Z psychologicznego punktu widzenia wydaje się mało prawdopodobne, że sprawca zdecydowałby się na plan, w którym tak dużą rolę odgrywałby przypadek – to, czy dojdzie do sytuacji takiej jak w czasie posiedzenia zarządu.

Wilk zamilkł, jakby czekał na opinię zebranych. Odezwał się Kaszyński.

– Panie kolego, gdyby miał pan trochę więcej doświadczenia, toby pan wiedział, że liczą się twarde fakty, a nie jakieś niesprawdzone wymysły w rodzaju „prawdopodobieństwa psychologicznego”.

– Nie wątpię, że ma pan rację, panie prokuratorze – odparł Wilk. – Zaraz przejdziemy do faktów. Na razie chciałbym poprosić o chwilę cierpliwości. Spróbujmy założyć, że mamy do czynienia z typowym przestępstwem z wykorzystaniem trucizny, to znaczy takim, które sprawca dokładnie zaplanował. I to zaplanował tak, by się nie martwić, że ktoś, na przykład Anna Szulc, zobaczy go w działaniu. Przy takich założeniach jak by to mogło wyglądać?

Niemal jednocześnie Zakrzeński i Zychowicz potrząsnęli głowami.

– No właśnie, trudno sobie wyobrazić taki scenariusz. Ale spróbujmy. Jeśli weźmiemy pod uwagę powyższe założenia, odpowiedź jest jasna: trucizna musiała się znaleźć w kieliszku, zanim

rozpoczęło się posiedzenie zarządu.

Chociaż nikt nie powiedział nic na głos, na sali zapanowało wyraźne poruszenie. Wilk tymczasem schylił się i wyciągnął ze swojej teczki fioletowy kieliszek do szampana w przezroczystym woreczku foliowym.

– Proszę państwa, oto kieliszek, z którego Krzysztof Oleńczuk napił się po raz ostatni. Ma on pewną ciekawą właściwość: pustą w środku nóżkę. Dzięki temu podobno nalany do niego szampan dłużej bąbelkuje, chociaż niektórzy uważają taką opinię za bzdurną, podobnie jak trik z wkładaniem łyżeczki do otwartej butelki. Ale to nieważne, przepraszam. Ważne jest to, że w tej nóżce może się zmieścić nawet kilkanaście mililitrów płynu. Jeżeli weźmiemy pod uwagę stężenie cyjanku, jakie zmierzylśmy w szampanie Krzysztofa Oleńczuka, możemy przyjąć, że sprawca musiał tam wlać zaledwie kilka mililitrów roztworu cyjanku z wodą. Ze względu na kolor kieliszka taka ilość byłaby niedostrzegalna, zwłaszcza jeśli nikt nie sprawdzał czystości kieliszków przed ich podaniem na stół.

Domyślam się, że wszyscy państwo zastanawiają się nad zasadniczym problemem. Skąd sprawca mógł wiedzieć, że zatruty kieliszek trafi do właściwej osoby? Pierwsza możliwa odpowiedź brzmi, że miał kontrolę nad wręczaniem kieliszka ofierze. To oczywiście kierowałoby podejrzenia w pańską stronę, bo to pan podał kieliszek bratu.

Ostatnie słowa Wilk skierował do Witolda Oleńczuka, który poruszył się niespokojnie i szybkim ruchem dotknął swoich wąsów, jakby chciał je powstrzymać przed drganiem.

– Porównanie kieliszków wskazuje, że są identyczne, to znaczy kieliszek, z którego pił pański brat, nie ma żadnego wyszczerbienia ani zarysowania, które mogłoby panu pomóc go rozpoznać. Taki znak szczególny można było stworzyć w taki sposób, żeby się dał usunąć. Mogłaby to na przykład być kropka na podstawie namalowana zmywalnym mazakiem. Potem wystarczyłoby, żeby pan tę kropkę starł palcem w trakcie przekazywania kieliszka bratu, co mógłby pan zrobić w sposób niezauważalny.

Witold Oleńczuk głośno zakasłał.

– Panie prokuratorze, chciałbym zwrócić uwagę, że kiedy brałem z tacki kieliszek dla siebie i dla brata, nie przebierałem w kieliszkach stojących na tacce. Wziąłem te dwa, które stały najbliżej mnie. Wszyscy to chyba widzieli.

Prezes Zawirski energicznie pokiwał głową.

– Potwierdzam.

– Nie kwestionuję tego – powiedział Wilk. – Ale taki plan mógł się powieść, gdyby zatruty kieliszek był jednym z dwóch po pańskiej stronie tacki, a pan by o tym wiedział. Przypomnijmy, że taczkę z kieliszkami przyniosła do salki i postawiła na stole Agnieszka Pająk. Tacki nikt potem nie ruszał.

Na sali znowu dało się wyczuć wyraźne poruszenie.

– Pan sugeruje, że... – zaczął Witold Oleńczuk.

– Sugeruję tylko tyle, że jest to możliwy przebieg zdarzeń. Taki, w którym działa pan w zмовie z Agnieszką Pająk. W tym scenariuszu jedno z was, prawdopodobnie ona, wlewa truciznę do kieliszka przed posiedzeniem i w dyskretny sposób zaznacza go piśakiem. Potem, kiedy stawia taczkę z kieliszkami w sali posiedzeń, robi to w taki sposób, żeby prezes mógł od razu nalewać szampa do kieliszków, oraz, co ważniejsze, w taki sposób, żeby zatruty kieliszek stał po stronie tacki najbliższej Witolda Oleńczuka.

W tym scenariuszu musimy założyć, że Agnieszka Pająk pozostała pana kochanką, a wasza kłótnia w czasie przerwy w obradach była udawana. To logiczne i czyni motyw bardziej prawdopodobnym. Jest pan człowiekiem majątnym i nie żyje pan ponad stan. Ale jeśli się pan zakochał i myślał pan o rozwodzie, mógł pan dojść do wniosku, że ta część spadku po ojcu, którą miał przejąć pański brat, bardzo się panu przyda.

Wiemy, że dzień po śmierci pańskiego brata Agnieszka Pająk nawiązała romans z komisarzem Zakrzeńskim. Musielibyśmy założyć, że zaraz po zabójstwie doszło między wami do zerwania. Chyba że chodziło o to, żeby Agnieszka Pająk zbliżyła się do komisarza, żeby mieć informacje o śledztwie i w razie czego na nie wpływać.

– Zaraz – powiedziała Agnieszka Pająk, która znowu wyglądała, jakby się miała rozpłakać. – Chcecie to jednak na mnie zwalić?

– Panie prokuratorze, to jest bardzo ciekawa teoria – powiedział spokojnie Witold Oleńczuk. – Tylko czy potrafi pan to w jakikolwiek sposób udowodnić?

– Nie – powiedział Wilk. – Co więcej, wcale nie uważam, że to się właśnie w ten sposób odbyło. Już wyjaśniam dlaczego. Żeby popełnienie tej zbrodni w taki skomplikowany sposób miało sens, musiałby pan być pewny tego, że z zeznań innych uczestników spotkania będzie jednoznacznie wynikać, że nie mógł pan zatruć napełnionego kieliszka. Owszem, zeznania Anny Szulc pana wykluczały. Ale powinien pan zrobić coś innego: natychmiast po rozpoczęciu przerwy w obradach opuścić salę. W ten sposób także Jan Kulak mógłby potwierdzić, że nie zbliżył się pan do kieliszka swojego brata. Ale pan pozwolił Janowi Kulakowi wyjść jako pierwszemu, co jest zupełnie nielogiczne.

Być może część z państwa zaczyna dostrzegać o wiele poważniejszy problem, który w tym wszystkim tkwi. Żeby dokonanie zabójstwa w ten sposób miało sens, przerwa w obradach była po prostu niezbędna. W przeciwnym wypadku od razu byłoby wiadomo, że nikt nie mógł dodać trucizny do pełnych kieliszków i podejrzenia automatycznie skierowałyby się w pana stronę, ponieważ to pan podawał kieliszek bratu, oraz w stronę Agnieszki Pająk, bo to ona wniosła kieliszki do sali. A na to, że dojdzie do przerwy w obradach, nie miał pan żadnego wpływu.

Dochodzimy do sedna. Rozegranie sprawy w ten sposób, to znaczy dodanie trucizny do jeszcze pustego kieliszka, miałyby sens tylko w jednym wypadku: musiałyby być oczywiste, że sprawca nie miał możliwości zatrucia pełnego kieliszka, natomiast niektóre osoby obecne na posiedzeniu, jeśli nie wszystkie, taką możliwość miały. Żeby tak się stało, musiało dojść do przerwy w obradach między nalaniem szampana a jego wypiciem. No i sprawca musiał sobie zapewnić na tę przerwę stuprocentowe alibi. Nie wiem, czy widzą państwo, dokąd zmierzam...

Witold Oleńczuk wyprostował się, przez chwilę można było mieć wrażenie, że wstanie, ale tego nie zrobił. Kiedy zaczął mówić, brzmiał poważnie i wrażenie to pogłębiało się z każdym słowem, tak jakby był adwokatem wygłaszającym mowę obrończą.

– Zmierz pan do tego – powiedział – że mój brat zatrul swój kieliszek jeszcze przed posiedzeniem, a potem doprowadził do przerwy w obradach, bo trafnie przewidział, jak prezes zareaguje na jego odzywkę. To znaczy, że zaprosi go do siebie na rozmowę na stronie, dzięki czemu Krzysztof będzie jedyną osobą obecną na czwartym piętrze, która nie mogła zatruci kieliszka w czasie przerwy. Innymi słowy, sugeruje pan, że Krzysztof popełnił wyrafinowane samobójstwo i że zrobił to w taki sposób, żeby pozostać po sobie chaos, w którym wszyscy pozostali przy życiu będą podejrzewani o jego śmierć. Jeśli pan pozwoli, chciałbym zgłosić kilka wątpliwości. Po pierwsze nie wydaje mi się, żeby mój brat był typem samobójcy...

– Jeśli pan pozwoli – wszedł mu w słowo Wilk – chciałbym przypomnieć, że sam pan wielokrotnie przyznawał, że słabo znał brata. To jedno. A drugie... Według danych amerykańskich samobójstwo to krok, na który decyduje się jedna piąta nałogowych hazardzistów.

– Niech będzie – powiedział Witold Oleńczuk. – Ale mam zastrzeżenie poważniejsze. Krzysztof nie miał żadnej kontroli nad tym, który kieliszek dostanie do ręki. Skąd mógł wiedzieć, że kieliszek zatruty trafi właśnie do niego?

– Nie mógł tego wiedzieć. Ale też wcale nie liczył na to, że ten kieliszek trafi właśnie do niego. On jedynie liczył się z tym, że tak się może stać.

Wilk przesunął wzrokiem po zebranych, skupił się zwłaszcza na prezesie, Janie Kulaku i Witoldzie Oleńczuku.

– Widzą panowie, on z wami zagrał – powiedział. – W coś, co można określić jako specyficzny rodzaj rosyjskiej ruletki. Zagrał o wielką stawkę. Miał wielkie szanse na zwycięstwo. Prawdopodobieństwo porażki było stosunkowo niewielkie.

Jeśli państwo pozwolą, chciałbym się odrobinę cofnąć w czasie. Skupmy się chwilę na osobie Krzysztofa Oleńczuka. Jest to człowiek z jednej strony piekielnie inteligentny, z drugiej głęboko nieszczęśliwy, jak każdy tkwiący w szponach poważnego nałogu. Być może odczuwa wyrzuty sumienia z powodu tego, co się stało z Karoliną Szulc, być może ciąży mu coś innego. Tego nie wiemy

i prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy. Nie udało nam się znaleźć nikogo, kogo można by nazwać jego przyjacielem, komu by się zwierzał.

W każdym razie gra, i to gra ostro, o wielkie stawki. Człowiek taki jak on, który od prawie dziesięciu lat pracuje na kierowniczych stanowiskach i który nie ma na utrzymaniu rodziny, powinien coś zaoszczędzić. Krzysztof Oleńczuk mieszka w wynajętym mieszkaniu, na rachunkach bankowych ma grosze. Co gorsza, ma potężne długi, a wierzyciele zaczynają się coraz ostrzej domagać zwrotu pieniędzy.

Krzysztof Oleńczuk jest piekielnie inteligentny. Dlatego zdaje sobie sprawę, że człowiek w jego sytuacji potrzebuje naprawdę dużych zasobów finansowych. Albo inaczej: podejrzewam, że był dość inteligentny, żeby zdawać sobie sprawę, że w ostatecznym rozrachunku i tak przegra, straci wszystko. Ale im więcej będzie miał, tym dłużej będzie trwał ten czas, kiedy będzie mógł swobodnie oddawać się grze. Czyli robić to jedno, na czym mu tak naprawdę zależy.

W tej chwili, to znaczy kilka tygodni temu, Krzysztof Oleńczuk wie jedynie, że z dużym prawdopodobieństwem w najbliższym czasie umrze jego ojciec. Dostanie po nim w spadku połowę majątku, z tego kilka milionów w gotówce czy innych łatwo spieniężalnych aktywach. Kilka milionów złotych to dla większości nas niewyobrażalna suma, ale nie dla niego. Pół miliona pójdzie na spłatę dotychczasowych długów. Minie kilka lat, a pewnie jeszcze mniej, i z tych pieniędzy nie zostanie nic.

Wiedział też, że odziedziczy po ojcu połowę udziałów w spółce o wartości kilkunastu milionów złotych – powiedzmy piętnastu. Tylko że w tym przypadku mowa o wartości teoretycznej. Bo po pierwsze umowa spółki uzależnia sprzedaż udziałów od zgody dwóch trzecich udziałowców; innymi słowy, prezes Zawirski i pani Kulak mogliby tę sprzedaż zablokować. Po drugie, nawet gdyby wyrazili na nią zgodę, kupujący na pewno nie zapłaciłby pełnych piętnastu milionów, tylko żądałby sporego upustu ze względu na brak rzeczywistej możliwości wpływania na decyzje spółki. Po trzecie pamiętajmy, że Krzysztof Oleńczuk miał bardzo

pesymistyczne oczekiwania co do przyszłości rynku mieszkaniowego w Polsce i w ogóle polskiej gospodarki. A w najczarniejszym scenariuszu te piętnaście milionów mogło wyparować, gdyby spółka zbankrutowała.

Co innego, gdyby brat odszedł z tego świata przed śmiercią ojca. Bo zapewne ta myśl przyszła Krzysztofowi Oleńczukowi do głowy jako pierwsza. Doszłoby dodatkowe kilka milionów z majątku osobistego ojca i nie jedna szóstą, ale jedna trzecia udziałów w spółce, o wartości rynkowej mniej więcej trzydziestu milionów złotych. Ale ważniejsze chyba było to, że byłaby to aż jedna trzecia udziałów. Wtedy prezes musiałby się z Krzysztofem Oleńczukiem o wiele bardziej liczyć. A może wołałby się go pozbyć jak najszybciej i wyraziłby zgodę na sprzedaż udziałów? O wiele łatwiej byłoby znaleźć kupca na jedną trzecią udziałów niż na jedną szóstą i upust od wartości rynkowej nie musiałby być tak znaczny. Nie było to może rozwiązanie problemów, ale zdecydowanie poprawiało sytuację Krzysztofa Oleńczuka.

Mniej więcej w tym samym czasie Krzysztof Oleńczuk uświadomił sobie, że ma inne opcje poza usunięciem brata. Załóżmy, że umiera prezes Jerzy Zawirski. Jego udziały przechodzą na rodzinę, żonę i dzieci. Z tego, co o nich wiemy, żadne nie jest zainteresowane firmą jako taką, więc można założyć, że dążyliby do jak najszybszej sprzedaży, czy to przez giełdę, czy w inny sposób. To otwierałoby przed Krzysztofem Oleńczukiem perspektywę sprzedaży również jego udziałów – cały czas zakładam, że w najbliższym czasie odziedziczyłyby je po ojcu – bez większej straty.

Założmy teraz, że umiera Jan Kulak. Zaangażowanie jego matki w OKZ Development wynika z tego, że traktuje ona firmę jako miejsce, w którym jej syn może się rozwijać, robić karierę. Gdyby zginął, nic by jej tutaj nie trzymało i dążyłaby do sprzedaży udziałów. Prezes Zawirski sam nie byłby w stanie tego zablokować, a potencjalny inwestor mógłby liczyć na zakup połowy udziałów – jednej trzeciej od pani Kulak, jednej szóstej od Krzysztofa Oleńczuka, więc cena byłaby dobra.

Pozostaje Anna Szulc. Ona nie była współwłaścicielką firmy, więc jej śmierć nie byłaby aż tak opłacalna. Ale też coś by przy-

niosła. Anna Szulc zgromadziła pewien majątek przez lata pracy w OKZ Development – nieźle zarabiała, otrzymywała też bonusy, a oprócz wydatków związanych z opieką nad córką żyła skromnie. Na dodatek we właściwym czasie kupiła tanio kilka mieszkań budowanych przez OKZ, które potem wynajmowała. Łącznie wartość jej majątku przekraczała dwa miliony złotych. Dziedziczyła by go córka, a z punktu widzenia prawa Krzysztof Oleńczuk był jej mężem.

Jak mówiliśmy, każdy z członków zarządu miał motyw, lepszy lub gorszy, żeby pragnąć śmierci Krzysztofa Oleńczuka. A teraz widzimy, że on również miał motyw, żeby pragnąć śmierci każdego z członków zarządu. Ale być może tak naprawdę napędzało go coś innego – pomyśl, że może to rozegrać właśnie w ten sposób. Zrobić z tego dramatyczną partię rosyjskiej ruletki.

Nie wiem, kiedy dokładnie wpadł na ten pomysł, ale mam pewne podejrzenie. W poniedziałek przed feralnym posiedzeniem zarządu Agnieszka Pająk rozpoczęła zastępstwo jako asystentka prezesa Zawirskiego. Krzysztof Oleńczuk przyszedł wtedy na spotkanie z prezesem. Czy może nam pani przypomnieć, co się wtedy stało?

– Nic się nie stało – powiedziała Agnieszka Pająk i wzruszyła ramionami. – No bo co się miało stać?

– Proszę sobie dokładnie przypomnieć, co nam pani powiedziała. Podała pani kawę i...

– A, już wiem. Chodzi panu o to, że on przyszedł się poskarżyć, że ma filizankę, tego, nie do końca czystą.

– Dokładnie. Prawdopodobnie wtedy uświadomił sobie, że... Jak by to powiedzieć, nie ma pani w zwyczaju przesadnie dbać o czystość podawanych naczyń. A to oznaczało, że najprawdopodobniej nie będzie pani sprawdzać, myć ani przecierać kieliszków do szampana przed ustawieniem ich w sali posiedzeń. Jeśli więc miał uderzyć w ten sposób, to na najbliższym posiedzeniu zarządu, zanim do pracy wróci stała sekretarka pana prezesa, która miała, powiedzmy, zupełnie inne podejście do czystości.

– No tak, wiedziałam, że w końcu zrobicie z tego moją winę – mruknęła Agnieszka Pająk.

– Jeśli Krzysztof Oleńczuk się wahał – kontynuował Wilk – zmieniło się to w środę, dzień przed posiedzeniem zarządu. Na parkingu podziemnym w bloku, w którym mieszkał, Krzysztof Oleńczuk został pobity przez wysłannika swoich wierzycieli. Było to dosyć stanowcze przypomnienie, że jeśli ma dalej żyć tak, jak chce, a dla niego to znaczyło „grać”, potrzebuje pieniędzy, i to szybko. Zapewne wtedy podjął decyzję.

Wilk na chwilę przerwał, sięgnął do teczki i wyciągnął z niej plik kolorowych kartek.

– Następnego dnia przyszedł na czwarte piętro rano i poprosił Agnieszkę Pająk o zrobienie kopii tego dokumentu dla wszystkich członków zarządu. Była to ta sama prezentacja, za pomocą której kilka godzin później planował doprowadzić do przerwy w obradach. Tak się składa, że druga kolorowa kopiarka, która znajduje się na trzecim piętrze, rzeczywiście tego dnia nie działała. Ale proszę rzucić na to okiem.

Wilk szybko przewertował kartki.

– To prezentacja w programie PowerPoint. Krzysztof Oleńczuk miał u siebie w gabinecie kolorową drukarkę, mógł wydrukować kopię dla każdego, nie musiał korzystać z kopiarki. To był pretekst. Przyszedł tu, dał Agnieszce Pająk zadanie, a kiedy się nim zajęła, szybko otworzył szafkę z kieliszkami, która znajduje się za blatem recepcji, i wlał truciznę do pierwszego lepszego kieliszka. Teraz czekał, co się stanie w czasie posiedzenia zarządu.

Kiedy zaczęło się posiedzenie i szampan został rozlany, Krzysztof Oleńczuk za pomocą odpowiednio przygotowanej i przemyślanej odzywki doprowadził prezesa do wściekłości. W rezultacie prezes zaprosił go do siebie na indywidualną rozmowę. Dokładnie o to i tylko o to chodziło. Dzięki temu Krzysztof Oleńczuk zapewnił sobie doskonałe alibi. Wszyscy widzieli, jak wychodził, można było mieć pewność, że kto jak kto, ale on pełnego kieliszka w czasie przerwy w posiedzeniu nie zatruł. Gdyby wygrał tę rozgrywkę i kieliszek z trucizną trafiłby do kogoś innego, Krzysztof Oleńczuk byłby poza wszelkimi podejrzeniami.

Wilk przerwał i rozejrzał się po zgromadzonych. Przez chwilę wszyscy milczeli, wreszcie odezwał się prokurator Kaszyński.

– Panie kolego, to oczywiście bardzo ciekawa historia, ale musi pan przyznać, że nieco fantastyczna. Czy ma pan na to wszystko jakiegokolwiek dowody?

– Zgodzę się, że ta wersja może się wydawać nieprawdopodobna – odparł Wilk. – Ale moim zdaniem o wiele mniej nieprawdopodobna niż inne wersje, które rozpatrywaliśmy. I wyjaśnia przy tym kilka dziwnych faktów, które w innym przypadku pozostałyby niewyjaśnione. Po co Krzysztof Oleńczuk przyszedł rano przed posiedzeniem, po co wywołał awanturę na posiedzeniu zarządu... Ale mam też coś mocniejszego.

Wilk znowu sięgnął do teczki i wyciągnął z niej sporego formatu księgę w granatowej oprawie.

– W toku śledztwa osoby, które wspominały Karolinę Szulc, nie były pewne, co ona właściwie studiowała... Wspominano biologię i chemię, a w jej pokoju były książki z obu tych dziedzin... Otóż Karolina Szulc studiowała na Wydziale Farmacji Akademii Medycznej i napisała pracę magisterską w katedrze toksykologii. Oto ona. Państwo pozwolą, że przeczytam tytuł: *Oznaczenie cyjanków metodą XCRD*.

Wiemy, że Karolina Szulc była śmiertelnie zakochana w Krzysztofie Oleńczuku. Jeśli poprosił ją o dawkę cyjanku z laboratorium, zapewne nie była w stanie odmówić. Być może jej powiedział, że chce mieć możliwość ucieczki, jeśli życie stanie się zupełnie nieznosne, albo coś w tym rodzaju. W każdym razie, kiedy ponownie przeszukaliśmy jego mieszkanie i wiedzieliśmy, czego szukamy, znaleźliśmy resztę tego cyjanku. Miał ją ukrytą w całkiem sprytnym schowku w łazience.

Proszę zwrócić uwagę, że Karolina Szulc, która miała dostęp do cyjanku, zdecydowała się otruć lekami. To jasno pokazuje, że nie była to prawdziwa próba samobójcza, tylko wołanie o pomoc. Sytuacja wymknęła się jej spod kontroli... Podejrzewam, że Krzysztof Oleńczuk zdawał sobie z tego doskonale sprawę. W tej sytuacji to tylko smutny szczegół.

Wilk znowu przerwał i rozejrzał się po zgromadzonych, tak jakby czekał na pytania. Milczenie przerwał prezes Jerzy Zawirski.

– No dobrze. W takim razie kto zabił Annę Szulc?

Jedyną osobą, która skorzystała z przerwy, był Wilk. Szybkim krokiem opuścił pomieszczenie, tak jakby był politykiem uciekającym z konferencji prasowej przed gradem pytań. Nikt inny nie ruszył się z miejsca. Dał się słyszeć lekki szmer, kiedy ten i ów prostował nogi lub ręce, poza tym panowała cisza. Przerwał ją Jan Kulak.

– Nieźle, co? – zaśmiał się jakby nerwowo i zamilkł, bo dotarło do niego, że reszta nie ma zamiaru się odzywać.

Cisza, która nastąpiła, trwała do powrotu Wilka. Kiedy prokurator pojawił się w drzwiach sali konferencyjnej, Zakrzeński od razu zauważył dwie rzeczy. Po pierwsze Wilk umył w łazience twarz – na jego czole lśniło kilka kropelek wody, a na prawym policzku miał strzępki ręcznika papierowego. Po drugie sprawiał teraz wrażenie o wiele mniej pewnego siebie niż przed przerwą i ten brak pewności dawało się łatwo wychwycić w jego głosie.

– Przejdźmy do sprawy zabójstwa Anny Szulc – zagał. – Niemal automatycznie założyliśmy, że popełniła je ta sama osoba, która otruła Krzysztofa Oleńczuka, najprawdopodobniej dlatego, że uznała ją za niebezpiecznego świadka, a może nawet zaczęła być przez nią szantażowana. Jeśli jednak ta wersja pierwszej śmierci, którą państwu przedstawiłem, jest prawdziwa, nasze założenie okazuje się fałszywe. Rzecz jasna, Krzysztof Oleńczuk nie mógł zamordować Anny Szulc, bo od kilku dni nie żył.

Istnieje też możliwość, że te śmierci wiążą się ze sobą w jakiś inny sposób, tylko trzeba się mocno nagłowić, żeby taki scenariusz wymyślić. Może na przykład Witold Oleńczuk doszedł do wniosku, że to Anna Szulc zamordowała jego brata, i postanowił się zemścić? Ten i podobne pomysły mają jedną podstawową wadę – są zupełnie nieprawdopodobne z psychologicznego punktu widzenia.

Należy rozważyć inną możliwość, chyba jedyną logiczną, jaka nam zostaje. Że śmierć Krzysztofa Oleńczuka i śmierć Anny Szulc nie miały ze sobą żadnego związku. Przepraszam, drobne spro-

stowanie, pewien słaby związek mógł istnieć. W dniu śmierci Anny Szulc w jednej z gazet ukazał się artykuł sugerujący, że znała ona lub przynajmniej mogła znać tożsamość mordercy Krzysztofa Oleńczuka. Istnieje, niestety, pewne prawdopodobieństwo, że właśnie ten artykuł skłonił mordercę Anny Szulc do natychmiastowego działania, bo uznał on to za doskonałą okazję. Słusznie założył, że policja i prokuratura automatycznie powiążą ze sobą te sprawy. Postanowił to wykorzystać.

Wilk przerwał i rozejrzał się po zgromadzonych. Milczenie przerwał Witold Oleńczuk.

– Kim według pana jest ta tajemnicza osoba?

Wilk nie odpowiedział od razu. Zakrzeński miał wrażenie, że widzi rumieniec, który zaczyna wpełzać mu na twarz, ale prokuratorowi udało się go opanować.

– Nie wiem – prawie wyszeptał.

Przez salę przebiegł wyraźny szmer. Kiedy umilkł, Wilk kontynuował.

– Pracujemy nad tym. Osobiście skłaniam się ku temu, że było to morderstwo na tle rabunkowym. Dom nie został wprawdzie splądrowany, ale jeśli mordercy chcieli zamaskować swój czyn jako coś związanego ze śmiercią Krzysztofa Oleńczuka, nie mogli wyrzucić rzeczy do góry nogami. Stąd wniosek, że wiedzieli, po co przyszli, i wiedzieli, gdzie tego szukać. Być może była to gotówka. Muszę nadmienić, że pan aspirant Katz nie zgadza się ze mną i uważa, że śmierć Anny Szulc ma jakiś związek z jej przeszłością, jest na przykład wynikiem zemsty za coś, co zdarzyło się kiedyś. Tak czy inaczej, pracujemy nad tym.

– Chwileczkę. – Zakrzeński usłyszał swój własny głos i od razu poczuł na sobie spojrzenia kilkunastu par oczu, a zaraz potem poczuł, że jego policzki zaczynają płonąć żywym ogniem. – A co z kluczem od furtki?

– Tak. – Wilk pokiwał głową. – I właśnie tutaj zaczyna się robić naprawdę ciekawie.

Zakasał, jakby był mocno zmieszany.

– Proszę państwa, chciałbym zacząć od krótkiego przypomnienia roli, jaką w tej sprawie odegrał Mikołaj Kulak. Policja, a kon-

kretnie rzecz biorąc, komisarz Zakrzeński i podkomisarz Zychowicz, ujęła go na miejscu zbrodni po krótkim pościgu. Według jego własnych zeznań przyszedł do domu Anny Szulc, żeby z nią porozmawiać. Chciał mieć pewność, że jego syn nie był zamieszany w śmierć Krzysztofa Oleńczuka. Na tarasie domu zobaczył zwłoki. Głównym czynnikiem uwiarygodniającym te zeznania był fakt, że nigdzie w pobliżu nie znaleziono narzędzia zbrodni.

Kiedy Mikołaj Kulak składał zeznania w prokuraturze, poprosiłem go o dokładne przypomnienie sobie tego, jak wyglądał taras, na którym znalazł ciało. Jak się okazało, potrafił to zrobić z bardzo dużą, wręcz zaskakującą dokładnością. Ma to być może związek z uważnością, czyli pewną techniką medytacyjną, której, jak mi powiedział, ostatnio się uczy. Dzięki tej technice Mikołaj Kulak potrafił zapamiętać bardzo dużo szczegółów, być może wszystkie.

Anna Szulc lubiła porządek i na jej tarasie wszystko było na swoim miejscu, pomijając oczywiście zwłoki właścicielki. I jeszcze jeden drobiazg: kartę do gry, która spadła koło stolika.

– Jaka kartę do gry? – powiedział na głos Zakrzeński. – Tam nie było żadnej karty.

– Jeśli pan pozwoli, panie komisarzu – zwrócił się do niego Wilk. – Przyznam się, że było to coś, co mnie zainteresowało, bo mniej więcej w tym samym czasie dowiedziałem się o hazardowych skłonnościach Krzysztofa Oleńczuka. W moim umyśle zaczęły powstawać dziwaczne obrazy, na przykład Anna Szulc i jej zabójca, kimkolwiek był, rozgrywający dramatyczną partię pokera na tym tarasie. Dopiero po jakimś czasie uświadomiłem sobie, że karta nie odgrywa w tym wszystkim jakiejś zasadniczej roli. Każdy czasem coś przeoczy. Może Anna Szulc poprzedniego dnia bawiła się we wróżenie z kart? Może próbowała się z nich dowiedzieć, kto zabił Krzysztofa Oleńczuka? Nie wiem.

– Panie prokuratorze, tam naprawdę nie było żadnej karty – stanowczo powtórzył Zakrzeński. – To można sprawdzić w protokole oględzin miejsca zbrodni.

Wilk sprawiał wrażenie mocno zakłopotanego.

– Panie komisarzu, przeoczenie może się zdarzyć każdemu,

zresztą dotyczy nieistotnego szczegółu. Dom Anny Szulc ciągle stoi pusty. Pojechaliśmy tam niedawno z aspirantem Katzem i znaleźliśmy tę kartę na tarasie. Przedstawia nie damę kier, tylko króla trefl i leżała w innym miejscu, niż twierdził pan Kulak, ale to przecież bez znaczenia. Mogła zostać przesunięta, kiedy na tarasie pracowali policjanci i technicy. W szufladzie szafki była talia, z której karta pochodziła.

Karta była, brakowało czegoś innego, o czym pan Kulak wspominał, opisując taras. I to czegoś, co zdecydowanie powinno się znaleźć w protokołach. Brakowało klucza. Czy może nam pan przypomnieć tę część swoich wspomnień?

Kulak gwałtownie potrząsnął głową, jak wyrwany ze snu.

– Klucz. Tak, oczywiście. Na filarze tarasu był niewielki haczyk, a na nim zawieszono klucz. Taki gruby, stary, na tasie. mce.

– Klucz od furtki – powiedział Wilk. – Anna Szulc nie nosiła tego klucza z innymi. Był na to za duży i tak naprawdę niepotrzebny, bo zwykle otwierała sobie bramę pilotem. Miała go pod ręką na tarasie na wypadek, gdyby chciała otworzyć furtkę. Stamtąd ten klucz zniknął nie przed morderstwem, ale po morderstwie. I to po przybyciu policji. Stąd oczywisty jest wniosek, że zabrała go jedna z osób, które na miejscu zbrodni były jako pierwsze. Żeby nie przedłużać, powiem wprost. Uważam, że to pani to zrobiła, pani podkomisarz.

Marta Zychowicz przez dłuższą chwilę przyglądała się Wilkowi. Potem odchyliła głowę do tyłu i odezwała się tonem, który miał brzmieć lekceważąco, ale w którym trudno jej było ukryć zdenerwowanie.

– Dlaczego miałabym to zrobić?

– Żeby potem w odpowiednim momencie ten klucz podrzucić – odparł Wilk. – Dokładnie tak, jak to pani potem zrobiła.

– Kompletny absurd. Jaki miałabym w tym interes?

– To nieco bardziej skomplikowana sprawa – powiedział Wilk.

Zakrzeński nabrał całkowitej pewności, że prokurator stąpa po bardzo niepewnym gruncie i wcale nie jest przekonany, że ma rację.

– Cofnijmy się do czwartku, dnia, w którym zginął Krzysztof

Oleńczuk. Większość osób obecnych przy tym zdarzeniu była skłonna uznać to za śmierć z przyczyn naturalnych, ale dzięki naleganiom pana Witolda Oleńczuka, który rozpoznał zapach cyjanku potasu, wezwano policję. Na miejsce przyjechała ekipa z Komendy Powiatowej Warszawa-Zachód, pod kierownictwem właśnie pani podkomisarz Zychowicz.

Pani podkomisarz od razu zorientowała się, że sprawa ma wybuchowy potencjał. OKZ Development to w Ożarowie potentat. Prezes Zawirski jest osobą cenioną i popularną, dobrym znajomym wszystkich najważniejszych postaci powiatu, z większością spotyka się na polowaniach. Jest wśród nich także inspektor Michał Gmoch, komendant powiatowy policji.

Łysy inspektor poruszył się niespokojnie i rozejrzał dokoła z bardzo niepewnym wyrazem twarzy. Było jasne, że nie ma zielonego pojęcia, dokąd zmierza Wilk.

– Prezes Zawirski bezceremonialnie powołuje się na swoje znajomości i żąda, żeby policjanci się wycofali. Nie jest w stanie bezpośrednio do tego doprowadzić, ponieważ inspektor Gmoch przebywa na urlopie poza granicami kraju.

Co robi podkomisarz Zychowicz? Miała do wyboru zachowanie rozsądne, to znaczy rozsądne w rozumieniu swojego własnego interesu, oraz zachowanie może nie bohaterkie, ale na pewno odważne. Zachowaniem rozsądnym byłoby jak najszybsze przeprowadzenie podstawowych czynności i powstrzymanie się z innymi działaniami do czasu przeprowadzenia sekcji zwłok, która i tak musiałaby zostać przeprowadzona, ponieważ śmierć miała charakter nagły i niewyjaśniony. Ale podkomisarz zdecydowała się na działanie odważne, bardzo odważne. Poprosiła o pomoc Komendę Stołeczną. A właściwie zrobił to podinspektor Artur Zubrzycki, szef wydziału dochodzeniowego komendy powiatowej, bo podkomisarz Zychowicz cały czas działa w porozumieniu z nim. A podinspektor dobrze się zna z szefem wydziału zabójstw w Warszawie.

Tym razem to szpakowały podinspektor poruszył się niespokojnie i rozejrzał dokoła zdziwionym wzrokiem.

– Gdyby się miało okazać, że Krzysztof Oleńczuk zmarł śmier-

cią naturalną, działania, na które zdecydowali się podinspektor i podkomisarz, mogłyby ich wiele kosztować po powrocie komendanta z urlopu. Być może nawet ich posady. Ale gdyby się miało okazać, że Krzysztof Oleńczuk został otruty przez któregoś z członków zarządu spółki... Wtedy kłopoty mógłby mieć komendant, ze względu na swoją zażyłość z prezesem Zawirskim. A gdyby komendant Gmoch utracił swoje stanowisko, podinspektor Zubrzycki, drugi pod względem rangi i doświadczenia w komendzie, miałby bardzo duże szanse, żeby go zastąpić.

Podkomisarz Zychowicz znana jest jako protegowana podinspektora Zubrzyckiego. Bez żadnych dwuznaczności, po prostu u niego zaczynała pracę i cieszy się jego wielkim zaufaniem. Można więc zakładać, że jego ewentualny awans jej także by się opłacił.

Przypuszczam, że zdecydowali się zagrać *va banque*. Być może operowało się to na głębokim przekonaniu, że śmierć Krzysztofa Oleńczuka nie była naturalna, nie wiem. Tak czy inaczej, decyzję, żeby zrobić coś, co komendantowi powiatowemu na pewno się nie spodoba, trudno nazwać inaczej niż odważnym działaniem.

– Przepraszam, jeśli mogę słówko – odezwał się nagle podinspektor Zubrzycki. – Nikt tego nadzwyczaj dziwnego spotkania nie protokołuje, ale chcę zaznaczyć, że to, co do tej pory zostało powiedziane na mój temat, to stek bzdur.

Kiedy skończył mówić, spojrzął na komendanta powiatowego, jakby oczekiwał, że ten w jakiś sposób potwierdzi odbiór jego słów. Ale inspektor Gmoch tylko mu się przyglądał zimnym, nieprzyjaznym wzrokiem.

– Oczywiście ma pan prawo tak mówić – zauważył Wilk. – Ale ja także chciałbym skończyć to, co mam do powiedzenia. Tak więc szybko się okazało, że podinspektor Zubrzycki i podkomisarz Zychowicz obstawili dobrze: śmierć Krzysztofa Oleńczuka nie była naturalna, zginął otruty cyjankiem potasu. Z ich punktu widzenia najlepiej by było, gdyby osobą odpowiedzialną za śmierć Krzysztofa Oleńczuka okazał się prezes Zawirski. On jednak wydawał się najmniej podejrzany spośród wszystkich członków zarządu. Tak naprawdę było jeszcze gorzej.

Przypuszczam – w tym momencie Wilk zwrócił się do Zychowicz – że dość szybko odkryła pani prawdziwe wyjaśnienie śmierci Krzysztofa Oleńczuka. Nie podzieliła się pani tą wiedzą z nikim. Bo śmiertelna ruletka, w którą Krzysztof Oleńczuk zagrał na posiedzeniu zarządu, nie była może najlepszą reklamą dla OKZ Development, ale z całą pewnością nie kompromitowała prezesa Zawirskiego osobiście.

I wtedy wpadł wam w ręce prezent od losu. Anna Szulc została zamordowana. Podkomisarz Zychowicz miała szczęście być na miejscu zbrodni jako pierwsza, razem z komisarzem Zakrzeńskim. Ponieważ przypuszczała, że sprawcą śmierci Krzysztofa Oleńczuka był on sam, od razu założyła, że zamordowanie Anny Szulc musi być zupełnie niezwiązane z pierwszą śmiercią. Przyszło jej na myśl, żeby skorzystać z uprzywilejowanej pozycji na miejscu zbrodni. W panującym zamieszaniu zabrała klucz od furtki wiszący na tarasie.

– Nie musiała korzystać z zamieszania – odezwał się niespodziewanie Zakrzeński. – To ona znalazła zwłoki na tarasie. Ja pobiegłem za Kulakiem.

– Ciekawy fakt. – Wilk wyraźnie się ucieszył. – To nie było jednoznacznie stwierdzone w protokole. Tak czy inaczej, zakładam, że podkomisarz Zychowicz zabrała klucz z intencją podrzucenia go prezesowi Zawirskiemu. Najpierw jednak nadarzyła się okazja obciążenia Witolda Oleńczuka. Skorzystała z niej i podrzuciła klucz w czasie przeszukania w domu jego ojca. Miała szczęście, bo prezesa Zawirskiego też dało się w to uwikłać.

Wilk zamilkł i rozejrzał się po zgromadzonych. Wyglądało na to, że skończył, ale nie miał zbyt pewnej miny.

– Bzdury – powiedziała, a raczej syknęła Marta Zychowicz. – Kompletne i całkowite bzdury.

– Jak ktoś zauważył, publiczne zniesławienie jest w Polsce karalne – powiedział podinspektor Zubrzycki. – Mam nadzieję, że zdaje pan sobie z tego sprawę, podobno jest pan prokuratorem.

– Widzi pan, panie kolego, musi się pan nauczyć, że nie wystarczy po prostu wpaść na jakiś pomysł – powiedział prokurator Kaszyński. – Trzeba mieć jeszcze jakieś argumenty, które ten po-

mysł uzasadnią. W przeciwnym wypadku ryzykuje pan sytuację taką jak teraz. Że to, co pan wygłosi, dla osób postronnych będzie brzmiało jak stek bzdur.

– Bo to jest stek bzdur – powiedział Zubrzycki.

Wilk się nie odzywał. Jego ciało nie zmieniło pozycji, cały czas stał wyprostowany. Trudno było nie zauważyć rumieńców, które zaczynały oblewać jego policzki.

– Bo tak naprawdę było inaczej – odezwał się nagle Zakrzeński. – Trochę inaczej. Ona zabrała ten klucz i kartę, ale z zupełnie innego powodu.

Prokurator Kacper Wilk i redaktor Wojciech Walny siedzieli przy barze w kasynie. Walny kończył drugie piwo, Wilk sączył pierwszy kieliszek czerwonego wina.

– A więc, jak mówiłem, Annę Szulc zamordowała ciotka tej policjantki – zaczął Wilk. – Elżbieta Skąpska. Nienawidziła jej serdecznie, bo właśnie Anna Szulc, którą na początku lat dziewięćdziesiątych sama przyjęła do pracy, doprowadziła do tego, że została zwolniona czy też zmuszona do odejścia z OKZ. Powiedziała nam to, kiedy z nią rozmawialiśmy drugiego dnia. Nie bezpośrednio. Stwierdziła, że Anna Szulc bezwzględnie traktowała ludzi.

– Ja tam chciałbym, żeby mnie ktoś zmusił do przejścia na emeryturę – mruknął Walny.

– Tak się tylko panu wydaje. Dla tej owdowiałej kobiety praca w OKZ była wszystkim. Została zupełnie sama. Całe dni stawiała pasjansy. Prawdopodobnie od dłuższego czasu marzyła, żeby się w jakiś sposób zemścić na Szulc. I kiedy przeczytała w sobotę pański głupi artykuł ujawniający całemu światu, że Anna Szulc była lub mogła być świadkiem wsypania cyjanku do kieliszka Krzysztofa Oleńczuka...

– Dlaczego głupi? Sama prawda tam była. Pisanie prawdy w gazetach to służba społeczeństwu.

– Skąpska przeczytała ten głupi artykuł i wpadła na pomysł, że jeśli zabije Szulc, nikt jej nie będzie podejrzewał, bo my automatycznie założymy istnienie związku między tymi dwoma zabój-

stwami. Pojechała do domu Szulc na rowerze, otworzyła furtkę wytrychem...

– Wytrychem? – zainteresował się Walny. – Skąd była główna kadrowa OKZ miała takie umiejętności, jeśli wolno spytać?

– Jej mąż prowadził kiedyś zakład ślusarski, nauczyła się od niego kilku sztuczek. A to był prosty zamek. Weszła do środka, usiadła na tarasie i czekając na powrót Anny Szulc, zaczęła sobie stawiać pasjansa. Szulc wróciła. Skąpska szybko zebrała karty, stanęła za filarem i kiedy Szulc weszła na taras, zabiła ją kilkoma uderzeniami tłuczka do mięsa. Płaską stroną, więc patolog nie mógł rozpoznać, co to za przedmiot. Potem wróciła do domu, umyła i wygotowała tłuczek. Znowu siadła do pasjansa. Wtedy ku swojemu przerażeniu stwierdziła, że brakuje jednej karty. Nie zauważyła, że zgubiła ją na tarasie...

– Bardzo plastycznie pan opowiada. – Walny wypił ostatni łyk piwa i zamlaskał. – Normalnie czuję się, kurde, jakbym był u niej w domu, jak ku swojemu przerażeniu stwierdza...

– Tymczasem do domu Szulc przyjechał Mikołaj Kulak. Zobaczył ciało, zauważył kartę. Chwilę potem zjawili się Zakrzeński i Zychowicz. Kulak rzucił się do ucieczki, Zakrzeński pobiegł za nim. Zychowicz najpierw wbiegła na taras, co u policjantki było naturalnym odruchem. Dostrzegła kartę. Prawdopodobnie rozpoznała talię swojej ciotki i domyśliła się, co zaszło. Doskonale zdawała sobie sprawę z nienawiści, jaką ciotka żywiła wobec Szulc... Postanowiła działać, wykorzystać fakt, że była pierwszą przedstawicielką policji na miejscu zbrodni. Schowała kartę do kieszeni. W oczy rzucił się jej klucz od furtki zawieszony na haczyku. Pomyślała, że będzie mogła go wykorzystać, by w odpowiednim momencie skierować podejrzenia na kogoś innego, więc też go zabrała. Ten klucz był ważny, bo dom Szulc ma wysokie ogrodzenie, którego nie da się przeskoczyć.

– I to wszystko dla ciotki? Ja mam kilka ciotek i sam nie wiem, której bardziej nienawidzę.

– Skąpska jest jej ciotką i matką chrzestną. To nie wszystko. Zychowicz straciła matkę, kiedy miała piętnaście lat, a ojca rok później. Przez kilka lat Skąpska i jej mąż byli dla Zychowicz i jej sio-

stry rodziną zastępczą. Ma wobec niej dług wdzięczności.

Jeszcze tego samego dnia Zychowicz nawiązała romans z Zakrzeńskim...

Walny parsknął śmiechem.

- Panie prokuratorze, dziewiętnasty wiek się skończył jakiś czas temu. Może na przykład „zaprosiła go do łóżka”, co?

- Wszystko jedno. Nie wiem, czy zrobiła to tylko dlatego, żeby mieć na Zakrzeńskiego wpływ i być jak najbliżej śledztwa. Pewnie jej się też podobał. W każdym razie doprowadziła do przeszkolenia u Witolda Oleńczuka: to była jej sugestia. W trakcie przeszkolenia z premedytacją upuściła koszyczek z lekami i przyrzędanami, by podrzucić klucz.

Wszystko szło po jej myśli, ale był jeden problem. Mikołaj Kulak widział kartę na tarasie i ja się o tym dowiedziałem. Tylko nie skojarzyłem tego ze Skąpską, bo kiedy u niej byliśmy, przeoczyłem pasjansa...

- Myślenie o niebieskich migdałach, co?

- Zatrzymałem się na chwilę w przedpokoju, a ona w tym czasie sprzątnęła karty. Zakrzeński z kolei wiedział, że Skąpska ma zwyczaj stawiania pasjansa, ale nie wiedział o karcie na tarasie Anny Szulc. Mnie ta karta nie dawała spokoju, co chwila nawiązywałem do niej w rozmowie. Zychowicz przestraszyła się, że Zakrzeński w końcu zacznie mnie słuchać i wszystko stanie się dla niego jasne. Po pierwsze skojarzy kartę ze Skąpską i jej pasjanssem, po drugie będzie wiedział, że jedyną osobą, która mogła ją usunąć z tarasu, była Zychowicz.

Wtedy ukazał się kolejny pański głupi artykuł, wywiad z tą Pająk.

- Znowu głupi. Czy pan myśli, że mogłem pozostać nieczuły na krzywdę biednej dziewczyny brutalnie wykorzystanej przez bezwzględnego policjanta...

- Gdybym pana nie znał, tobym pomyślał, że ona pana też, hm, zaprosiła do łóżka. W każdym razie dla Zychowicz to była doskonała okazja. Mogła przedstawić spójną historię: zobaczyła w gazecie artykuł o romansie Zakrzeńskiego z Pająk i zażądała od niego wyjaśnień, a on zareagował agresją i próbował ją zgwałcić.

W rzeczywistości było inaczej, dokładnie tak, jak mówił Zakrzeński. Najpierw zachęciła go do, hm, powiedzmy ostrej gry.

Walny zachichotał.

– A potem ogłuszyła i oskarżyła o próbę gwałtu. Dzięki temu Zakrzeński trafił do aresztu, przestał się zajmować śledztwem i został skompromitowany. Gdyby nawet wpadł na rozwiązanie sprawy, nikt by go nie chciał słuchać. Dla pewności Zychowicz po aresztowaniu Zakrzeńskiego podrzuciła na taras domu Szulc talię kart i zostawiła jedną na podłodze.

Na szczęście udało mi się zaaranżować to spotkanie w OKZ i sprowadzić na nie Zakrzeńskiego. Wtedy byłem pewien rozwiązania zagadki śmierci Oleńczuka, ale wcale nie byłem pewien, że mam rację, jeśli chodzi o zabójstwo Szulc. Liczyłem na to, że właśnie Zakrzeńskiemu coś przyjdzie do głowy, i tak się stało...

– Co na to wszystko prokurator, który go zapuszkował?

– Był wściekły. Najpierw nie chciał pozwolić Zakrzeńskiemu mówić, potem utrzymywał, że to rojenia kryminalisty, który próbuje uciec od odpowiedzialności. Zychowicz na początku też szła w zaparte. Ale Skąpska załamała się od razu, przy pierwszym przesłuchaniu. Tak naprawdę od pewnego czasu rozważała przyznanie się, bo to, co zrobiła, bardzo jej ciążyło. Powstrzymywała ją Zychowicz.

Poza tym udało się zebrać pewne dowody. Świadkowie, w tym patrol policji, widzieli ją w tę sobotę na rowerze w pobliżu domu Szulc. Wcześniej nikt się tym nie zainteresował z dwóch powodów: po pierwsze wśród podejrzanych nie było kobiety w tym wieku, a po drugie zbieranie zeznań koordynowała Zychowicz. Dalej, wśród śladów zabezpieczonych przed domem Szulc był ślad opony rowerowej zbieżny z oponami roweru Skąpskiej. Na tłuczku do mięsa nie było wprawdzie żadnych śladów, ale jego kształt i wielkość idealnie pasowały do ran. To mniej więcej tyle. Jeszcze piwa?

Walny sprawiał wrażenie zaskoczonego propozycją.

– Nigdy nie odmawiam, ale mówiłem panu, że mogę tu dzisiaj wskoczyć tylko na chwilę, bo muszę wracać do redakcji, i to w zasadzie już... A jak pan wie, nie piję...

– Bezpośrednio przed jazdą, wiem. Poproszę jeszcze raz piwo dla kolegi. Ja dziękuję.

– No cóż, będę się musiał pospieszyć – oznajmił Walny, przechylił kufel i od razu wypił dwie trzecie zawartości. – Dziękuję. Mogę zapytać, skąd taka hojność?

– Wie pan, doszedłem do wniosku, że trochę mi pan w tym wszystkim pomógł. Może nawet bardzo. Tytuł artykułu o Zawirskim *Łowca jeleni* był jedną z rzeczy, które doprowadziły mnie do rozwiązania sprawy Oleńczuka.

Walny zrobił bardzo zdziwioną minę.

– *Łowca jeleni*, taki film z De Niro i Walkenem. O amerykańskich jeńcach w Wietnamie, którzy są zmuszani do gry w rosyjską ruletkę...

– Pan i te pańskie skojarzenia – Walny wzruszył ramionami. – Jak pan wie, ja film mam w głębokim poważaniu, bo...

– Tak, wiem, nie uważa pan filmu za prawdziwą sztukę. A tak na marginesie: jak pańska powieść?

Walny nic nie odpowiedział, sięgnął po kufel i jednym haustem wypił to, co w nim pozostało.

– Naprawdę muszę jechać.

– Trudno, nie zatrzymuję – zgodził się Wilk. – Chciałbym tylko uzyskać od pana odpowiedź na jedno pytanie. Czym tak naprawdę mnie pan wtedy upił?

Walny zachichotał.

– Dałem panu tabletkę gwałtu. Nie, żartuję. Kapka spirytusu, jak się pan odwrócił. Proszę wybaczyć, ale pan się tak powoli rozkręca... Gdyby pan siebie zobaczył tamtego wieczora...

– Wiedziałem, że to nie mogło być samo wino. No cóż, muszę chyba panu wybaczyć.

– Czuwaj! – Walny zeskoczył ze stołka barowego.

Kiedy zniknął za drzwiami, Wilk sięgnął po telefon.

– Zaraz wsiada i będzie ruszał – poinformował. – Tylko proszę, zdejmijcie go od razu, nie chcę, żeby komuś zrobił krzywdę.

Odłożył telefon i spojrzął na zegarek. Podejrzewał, że ma jakieś dziesięć minut. W sam raz, żeby skończyć wino i poobserwować, co się dzieje na sali.

Walny zadzwonił dokładnie jedenaście minut później.

– To straszne – powiedział Wilk po wysłuchaniu opowieści redaktora. – Bardzo mi przykro. Czy mogę pomóc? Nie wiem, spróbuję się zorientować... Tak, obiecuję, że zrobię wszystko, żeby pan nie trafił do więzienia, ale musi pan zachować spokój i być cierpliwy. Obawiam się, że spędzenia dzisiejszej nocy w areszcie chyba pan nie uniknie....

Na szczęście policjanci kazali Walnemu kończyć. Wilk dopił wino i zszedł ze stołka. Przez chwilę stał nieruchomo, potem zdjął krawat, włożył go do kieszeni i wolnym krokiem ruszył w kierunku stołu do ruletki.

Zakrzeński obudził się o piątej trzydzieści, kilka sekund przed budzikiem. Zdołał go wyłączyć po pierwszym dzwonku, dzięki czemu Laura się nie obudziła. Szybko wciągnął spodenki i podkoszulek, przygotował śniadanie dla Laury i o piątej trzydzieści siedem był już przed blokiem. Zapowiadał się kolejny upalny dzień, ale o tej porze skórę muskał jeszcze przyjemny chłodek.

Zaczął biec.